



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

PG7132

B5

v.53





BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LIII.

**THIS ITEM HAS BEEN MICROFILMED BY
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
REFORMATTING SECTION 1994. CONSULT
SUL CATALOG FOR LOCATION.**



(Rzewuski, Henryk)

PAMIĄTKI

PANA SEWERYNA SOPLICY

CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO.

Polonus sum,
Poloni nihil a me alienum puto.

WYDANIE NOWE, POMNOŻONE.

Wincenty Dąbrowski
Klonowiac Włki.



NOTE TO THE READER

The paper in this volume is brittle or the inner margins are extremely narrow.

We have bound or rebound the volume utilizing the best means possible.

PLEASE HANDLE WITH CARE

GENERAL BOOKBINDING CO., CHESTERLAND, OHIO

„Pamiętki Soplicy“ nadzwyczaj chętnie po całej Polsce studjowano. Przypominały one czasy polskie, chociaż niestety i chwile upadku, a można powiedzieć, chwile narodowej rozwigłności szlachty naszej, która nam podobno najwięcej do utraty bytu narodowego dopomogła. Dzisiaj te same „Pamiętki szlacheica polskiego“ powinny i będą zajmować czytelników, ale już nie lubować i nie głaskać ich własnej miłości. Dziś będą nam one, przypominając czasy polskiej naiwności uczuć narodowych, bodźcem do energicznego postępowania naprzód, abymy już podobnych przykładów dla potomności nie zostawili.

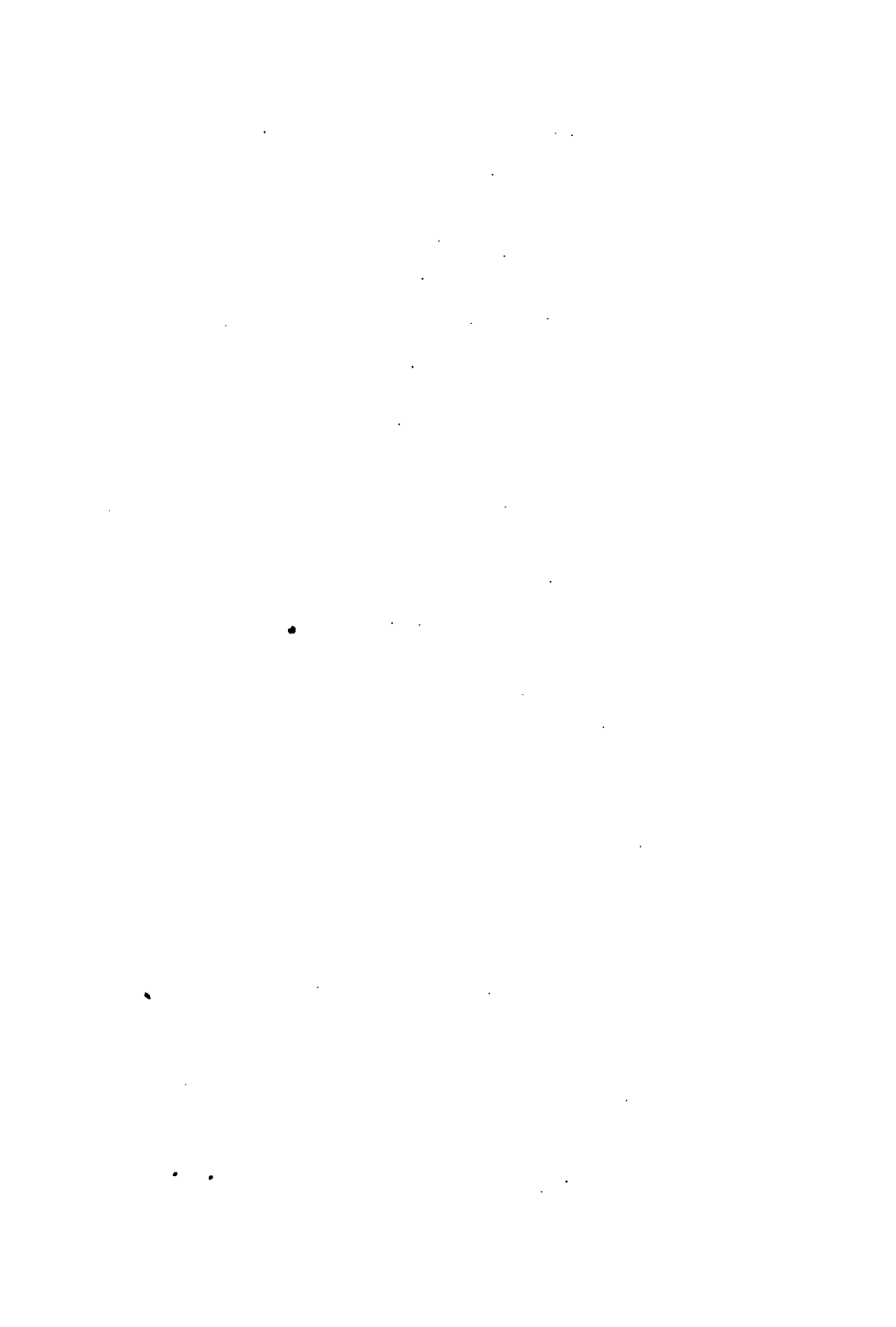
Z drugiej strony „Pamiętki Soplicy“ są jedyną pracą ś. p. autora, jaką, z jego wielu utworów napisanych z niezaprzeconym talentem, poważa się wydawca w poczet tomów „Biblioteki pisarzy polskich“ zaliczyć. Bo z wielką chęcią pragnął by potrzeba, aby zasady i myśl, wydawaniem tejże Biblioteki przewodzące, rządziły każdym piórem polskiej narodowości. Wszelako nieszczęściem, bardzo wiele od tej chęci zbroczeń przekazuje literatura polska tego wieku. Pomimo wszystkich idei skrzywionych i zwichnionych dróg żywota ś. p. autora „Pamiętek Soplicy“, są one dlań ofiarą na ołtarzu ojczyzny. Przyjmijmyż tę równiankę sercem wdzięcznem, błagając narodu o odpuszczenie win dla zabłądzonego jej dawcy. Bo autor „Pamiętek Soplicy“, pomimo tylu skrzywionych pojęć i czynów, jakie imię jego osławiły, nigdy nie przestał być szczerym Polakiem! A i to już zasługa, patrząc na inne przykłady.

Przyjmijmy „Pamiętki Soplicy“ jako podarek od szczerzego, kochającego ojczyznę swą szlacheica polskiego, jako utwór napisany przedziwnym stylem i niezrównany do dziś dnia swoim kunsztownie wykonanym pomysłem. Przyjmijmy „Pamiętki Soplicy“ jako wzór błędów i cnót końca istnienia Polski, podany nam przez Polaka, pragnącego naszej poprawy, naszego szczęścia i naszej przyszłości w odrodzeniu. Niech czytanie tych „Pamiętek Soplicy“ na tej drodze najobfitsze przyniesie owoce. Niech nam obrzydza minione czasy upadku,

VII

zakorzenione w onczas złe, co nam upadek ten przyspieszyło — otwierając oczy ślepych, a widzącym wkładając obowiązki nowego posłannictwa i apostołstwa tam, gdzie go jeszcze najwięcej potrzeba.

Z tem gorącym życzeniem odważa się wydawca „Biblioteki pisarzy polskich“ puścić w świat „Pamiętki Soplicy“, odsyłając w dodatku do „przedmowy drugiego wydania paryskiego“, którą dla jej oryginalności i przy tem wydaniu umieścił.



PRZEDMOWA

DO DRUGIEGO PARYZKIEGO WYDANIA.

Jest to zadaniem stanowczem w teorii sztuki, co właściwie rozumieć przez twórczość. Filozofia języków różnie rozwiązywała tę zagadkę, w rozmaitych epokach i stanowiskach ludzkości, jak tego ślady w nazwiskach nadawanych poecie, któremu człowiek przypisuje głównie moc twórczą. Że Grecy mniemali dużo o potędze osobowej człowieka, przeto ich wyraz poeta mieści wyobrażenie zupełnej samodzielności. Do Rzymian przyszedł on ze zwietrzałym znaczeniem, jako i sama poezja, która tam była już drugim odblaskiem, robotą rozsądku i stylu. Ze wschodem sztuki chrześcijańskiej pojawiają się nowe nazwy. Poeci są to w rokosznych narzeczach romańskich, prowansalskiem i staro-francuzkiem, nalezcy (*Troubadours, Trouveres,*) jakoby z przypadku znachodzili poezję, którą Bóg podesał kwieciami całemu światu pod nogi, której zapachy cały świat czuje. Później w Niemczech mistrze-pieśniarze zawiązują się w towarzystwa; bo w świeżo i mocno wierzącem społeczeństwie natchnienie przez wszystkie dusze rozlewa; z każdych ust płynie akord, te akordy wiązać w symfonje staje się szczytnem rzemiosłem. Za ślepym zwrotem do starożytności, z tak zwanem odrodzeniem, co pogrzebało sztukę chrześcijańską,

ludy europejskie pożyczając rzecz samą, wzięły i nazwy grecko rzymskie; a kiedy je chciały zastąpić swoim wyrazem, to przez uczucie słuszności dla siebie samych, oznaczały li mechaniczną pracę: ztąd we wszystkich europejskich językach owe puste nazwisko rymotwórcy. W Polsce, gdzie język był zawsze daleko większym od ludzi filozofem, znalazł się wyraz głęboki na oznaczenie poety: mówimy wieszcz, to jest człowiek mający wieści z wyższego świata.

Nam się zdaje, że twórczość jest bierną pośredniczką dwóch światów: duchownego i realnego; jest to niby dwulicowe zwierciadło wskrósł ich granicy, niby toń rozpogodzona, która odbija na sobie i błękit z rąbkami obłoku i wodne ziela wyciągające się na dnie.

Tworzyć w sztuce, znaczy widniejszym zrobić co już ma istność swoją być w świecie fizycznym, bądź w powszechnem sumieniu ludzi. Utwór poezji jest to wcielony ideał, którego poślednie lecz wierne podobieństwa napotykaemy co krok w rzeczywistości. Poeta widzieć powinien lepiej, ale nie inne rzeczy jak drudzy. I podziw, jaki dzieło kunsztowne wznieca, polega na trafnem ugodzeniu w tajemne spodziewanie słuchacza lub widza, nie zaś na oszukaniu jego przewidzeń. Owa zgoda z uczuciem ogólnem stanowi i wskazuje prawdę utworu.

Próżną byłoby zabawką powtarzać te prawidła odwieczne, gdyby dzisiejsi artyści pracowali przy instyktowem uczuciu, jako ich starzy poprzednicy, pierwsi mistrze zachodniej sztuki. Wiadomo, że w Grecji teoria przyszła nierychło po arcydziełach. Długo nie było krytyki literackiej pisanej, a jako całą estetyką dla mistrzów było naśladować naturę, tak sąd narodu padał jedynie na sposób wykonania; na gorącym razie ferowany śmiech lub oklaski: oto była krytyka w swej pierwotnej prostocie. Ale dziś, w postarzałym świecie, wszystko się dzieje przez szkołę; każdy poczyną od przyjęcia lub wymyślenia teorii. A że kilkowiekowe doświadczenie naucza, jak wielkie genjusze

dały obłąkać się szkole, całe narody pociągnęły za sobą i potworzyły literatury sztuczne, fałszywe — dobrze jest, aby Rzeczpospolita czytających broniła głośno prawdy i w obec niebezpiecznych wznowień każdy jej obywatel mógł podnieść swoje: nie pozwalam. Oto od piętnastego wieku ludzie wyżsi inteligencją, w to obrócili swe siły, aby pożyczoną cywilizacją nakryć i przydusić miejscowe szczepy geniuszu. We Francji dopiero od wczoraj, w Niemczech od połowy zeszłego stulecia, zaczęto cenić te narodowo-chrześcijańskie plody, co oznaczone napisem: barbarzyństwo, czekały na powrót ludów. Nas łacińska cywilizacja ujęła dziećmi, kiedyśmy jeszcze nic nie stworzyli; jednak nasz uron większy, bo niepowrotny; bo nam wybiła z pamięci podania sławiańsko-polskie, na które przy braku pomników już dziś natrafić nie możemy. Przecien ten błąd tak zgubny wyszedł z prawdziwego uczucia, z żywego uwielbienia dla dzieł, co stoją rzeczywiście jako najpiękniejsze pamiątki myśli ludzkiej. Zdawało się, że starożytni dopatrzili naturę, i wzbroniono już sobie widzieć, aby przypadkiem nie widzieć inaczej jak oni. Człowiek zamknął się w izbie malarskiej, ubranej w krajobrazy, sceny domowe, wizerunki, obrazy historyczne, i wzięwszy jej ściany za widnokrąg, zaniechał oglądać już słońca, które pod jego niebem nową grę farb roztaczało; nie chciał uważać tłumu, co mu przed okiem wieczysty dramat odrabiał; ale cały zajęty ponawianiem arcydzieł przechowujących przeszłość, ich się radził jak widzieć kształty, farby, grę blasków i fizjonomji. Zapał, rzekł się twórczości.

Taki błąd już się zapewnie nie powtórzy. Sztuka otrząsnęła się greckich, a właściwie łacińskich więzów; chciwie łowi miejscowe, obecne wrażenia, miejscowych się podań dobiera. Ale wpada w nowe niebezpieczeństwo, albo raczej w toż samo niebezpieczeństwo wybieżenia od prawdy, tylko na inny manowiec. Nasi ojcowie spuścili z oka naturę, aby naśladować jej kopje; my przez dzisiejsze usposobienie do wyobrażeń o absolutnej twórczości, odchodzimy od natury, to jest od jej

pojęcia w sumieniu powszechnem. Prawdziwi wyzwoleńcy, wczorajmy nic nie mogli, dziś myślę, że mamy różczkę czarnoksięską, którą nam dość uderzyć, aby stanęły wnet światy po naszym kaprysie budowane. Ztąd w liryzmie ta dążność ekscentryczna, duchowidna, zrywająca rozumny stosunek poety ze światem. Ztąd fantastyczność brana jako element poezji, tak dziś podobna do szczerzej niedorzeczności: bo dziw nawet ma pewne prawa w przeświadczeniu ogólnem, do którego wielu artystów powoływać się nie chce. Ztąd zamiast malować rzeczy obecne, lub zeszele z rzeczywistości, ale żywe dotąd w historii, w podaniu, w pamięci ludu; radzi bierzemy się do przedmiotów, uchodzących zupełnie z pod sądu dla braku danych. Ktoś pisze tragedję, to odsyła ich cenę w czasy, które nie zostawiły po sobie żadnego wzoru dla artysty, żadnego znaku dla potomnych, poczem by się rozeznac na tym dalekim obszarze: niżeli rysować obrazy i sceny, o których podobieństwie świat mógłby sądzić umiejętnie, niżeli podejmować Szyllerowe prace w dziejach i psychologii; woli mocą fantazji zaludniać historyczne pustkowia i jakby z nudy kreślić figury dowolne. Ów chciał napisać poema z tematu: Poezja i nieszczęście; nie wybrał za bohatera Książka lub Karpińskiego, sobie i nam znajomych; nie pożądał opisać nadwiślańską przyrodę, albo Pińsk i Białowież, w czem każdy wieśniak miejsowy mógłby dlań zostać krytykiem — ale poszukał aż Kamoensa i wziął się malować nam widok Makao ze strony morza. Lada dzień napisze kto historję przedpotopową, nie radząc się ani Księgi rodzaju, ani Cuviera. Wszystkie takie utwory nie mają ciała, nie mają ujęcia.

To i niedziw, że w obec tych fałszów estetycznych — z których gdy jeden uchodzi, a drugi następuje, w literaturze polskiej bój z sobą toczą — skoro się zjawi dzieło zdjęte z natury w całej świeżości nowego odbicia pokazujące ludziom co czuli, co myśleli, czem są, okrzyk powszechny zdumienia i radości je przyjmie, okrzyk dzikiego, któregoś raz pierwszy przed zwiercia-

dłem postawił. Takeśmy witali Pana Tadeusza. Nizej odeń, a przecież nie zbyt daleko stoją Pamiątki pana Seweryna Soplicy.

Genjusz jest to cierpliwość, powiedział wielki uczony i arcy-wystawny pisarz, wypróbawwszy swojej. Że się definicja ostała wbrew interesowi próżności, to dowodzi że jest w niej coś prawdy. Jakoż, jeśli byłoby płonnem chcieć przez cierpliwość dojść genjuszu, marnem sądzić, że ona stanowi genjusz lub część jego istotną, przynajmniej trzeba przyznać, że jest jego warunkiem nieodzownym, okolicznością tyle niezbędną, co czas wielkiemu czynowi: to jest że przezeń się on tylko objawia. Polskiemu genjuszowi braknie cierpliwości, dla tegoż tak rzadkie i nie pełne jego pojawy. Dla tego Mickiewicz spozzył na prędcę powiatkę o Wallenrodzie i Aldonie, z najpiękniejszego przedmiotu do wielkiej romantycznej epopei. A pan Soplica, mąż zasobny w rozumienie przeszłości, który pamięta, i to gorąco, sercem pamięta ośmnasty wiek naszej Polski, zamiast ułożyć te bogactwa porządnie w dzieła większego zakroju, pojedynczemi wspomnieniami wytrząsa je od niechcenia. Dzięki mu przecie i za to.

Co bądź albowiem, pan Soplica jest wielkim twórcą w rzetelnem znaczeniu wyrazu: wypadki i osoby snione w naszym marzeniu, ale już coraz mgłą nawodzone, płowiejące; ułamki wspomnień, z których dzień każdy coś uroni. On dopełnił, wybitnie odrysował i rozświecił. Przez niego dzisiejsze pokolenie wyrzekło swój ideał onegdajszych swych ojców; z jego ręki już każdy może onegdajszymi portretami ubrać ściany swojego domu. Wprawdzie wszystko to robione z pośpiechem, jakby z oszczędnością czasu, farb i płótna; wszystko niewykończone, niepoprawne, nieraz tylko w półszkicowane; ale zawsze jest kilka zarysów głęboko prawdziwych, ożywych.

Szczęśliwie bo sztukmistrz obrał sobie świat przedmiotowy. Żyje on jeszcze w podaniu, każda rodzina ma o nim swoją legendę, a jednak trochę w tył usunięty; że zbyt wiele światła i głosów nie ślepi i nie ogłusza

artysty. Zupelna obecność pokazuje przedmioty w doskonalszej szczerości; artysta ociera się o prawdę: ale mało kto zachowuje śród walki spokojne oko dostrzegacza. Najlepiej maluje namiętności nie człowiek miotany od nich, ale ten, co pamięta jak mu przeszły nawałnicą przez życie. Potem trudno rozeznąć w obecności, co tu jest wszystkich wieków spuścizną, co prześlizga bez śladu, a co zostawia osad jako znamię epoki. Ta wczorajszość przedmiotu, która mu ustroń zapewnia, blaski jego łagodzi, dozwala artyście bezpiecznej pracy, a jednak daje do kogo się powołać o świadectwo prawdziwe, jest najwłaściwszem względnie do stanowiska artysty położeniem. Szyllerowskie:

Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen.

tak byśmy odmienili, że co zchodzi z rzeczywistości, rade się chroni w świat sztuki.

Spojrzenie pana Soplicy na wiek ósmnasty jest trójwzględne, z kąd i pamiętki jego rozkładają się naturalnie w trzy działy: w pierwszym się mieści życie szlachcica obywatelskie na zewnątrz, wyrażone przez Konfederację barską; w drugim jego życie powiatowe, sejmikowo trybunalskie, domowe i dworskie; w trzecim, co jest niby ustępem tej wielkiej powieści, wchodzi element kozacki. Troiste to widzenie mieni się i cieniuje w niejednym obrazie, a wszędzie, bądź osobiście w humorystycznym swym majestacie, bądź w oddali sposobem wzmianki, ukazana postać Karola Radziwiłła, którą Soplica położył na oś swych wspomnień.

Jakże pięknie w Kazaniu konfederackiem otwiera szereg tych ledwie zeszyłych, już staroświeckich typów. Książdz Marek, karmelita, rubaszny prorok i cudotwórca! Nieporównany kaznodzieja! co aby zatrząsnąć słuchaczami, stawia ich lice w lice z niebem i piekłem. Z ambony improwizuje dramat, gdzie kojarzy w poufałym djalogu przenajświętszą rodzinę, świętych pańskich i publiczność kościelną. Musi to jednak na-

rodowość z boskiego być ustanowienia, musi to ciężkim być grzechem, czy ją wydzierać drugim, czy zbyć się własnej rozmyślnie, skoro sam Pan Bóg na swych wybranych zostawia zupełne jej piętno. Figura ś. Marka po raz pierwszy występuje przed nami w swem świetle. Nie mógł jej pojąć, chociaż wielki artysta, przecie że filozof ósmnastego wieku, Rulhiere: ale książdz Marek pana Soplicy oddany z tak miłosną szczerotą, jak gdyby obyczajem chrześcijańskich malarzy, kreślił go autor, klęcząc i modląc, i na ideał przez pryzmę łez pozierając.

Skorośmy rzecz zaczęli o Konfederacji barskiej, a imię Rulhiera pod pióro nam nadbiegło, nie będzie niewczesnem przymierzyć do jego historii wspomnienia pana Soplicy, ma się rozumieć pod artystowskim względem, o ile mówią o jednychże wypadkach i osobach. To zbliżenie rozwidni ich zobopólny widnokrąg, a zarazem nastęrczy nam porę oddania hołdu najgorliwsiemu z obcych, najbieglejszemu ze wszystkich pisarzy polskiej historii; mężowi nie dosyć u nas cenionemu, nie wiem, przez nieznamość, czy niewdzięczność; nie dosyć w ojczyźnie własnej, może z błahego powodu, że pisząc o nas jedno z najpiękniejszych dzieł piśmiennictwa francuzkiego, musiał je upstrzyć trudnemi do wymówienia nazwiskami. Poczniwszy od wyświecenia stanowiska Rulhiera w literaturze historycznej.

Wiadomo że dotąd objawiło się dwojakie pojmowanie przeszłości, z czego się wyrodziły dwie główne metody historyczne: pierwsza bada człowieka, typ absolutny, którego szuka w wielkich indywidualnościach okresu, postępując w tem dziele bądź przez obrazowanie wypadków, wysadzające naprzód znakomitsze pojedyncze postacie. Jest to metoda starożytna, której dwa dopiero co rozróżnione sposoby widać najlepiej na dziełach Tacyta i Liwjusza. Druga rozpatruje się w społeczeństwach, poszukując ich myśli religijnej, ruchu umysłowego, jak się wyraził przez filozofję, przez prawodawstwo, przez sztukę; a wypadki brane massami odnosi do praw stałych, czy to je widokami Opatrzności, czy

logicznym pochodem rozumu przezwie. Przed okiem tej metody pojedynczości maleją, człowiek i przypadek skończyli razem swe królowanie: człowiek bywa już tylko potrzebą chwili, wyrazem ogólnego rozumu w danym czasie i miejscu, szczęśliwą okolicznością, jak nazwał siebie cesarz rosyjski Aleksander. Ta metoda mogła się narodzić aż w dojrzałości świata. Jakoż starożytni pisarze ani domysłem jej nie zaznali: Bossuet miał jej widzenie, Gibbon i Robertson dali jej próby pod wpływem innych wyobrażeń; a dopiero w wieku dziewiętnastym Hegel ustawodawcą, Guizot jej Tacytem. I w świecie wyobraźni odbywa się podobna przemiana: myt zbiorowy następuje po osobowym, legendy o rasach wchodzą na miejsce dawnych o Aleksandrze, Karolu, Arturze. Walter Scott jest opowiadaczem nowej legendy: w jego romansach bohaterem jest cała epoka, osoby znanymi jej niezmiernego oblicza. W historii, rozumiemy, że obie metody przetrwają, bo jedna drugą dopełnia, i ostatecznie są to dwa względy teje samej nauki — pojęcia człowieka. Ale pierwsza może być użyta na razie do przebiegających wypadków; druga musi patrzeć z wysoka, a zatem w pewnej od nich oddali. Liczba takich historii pojedynczych, analitycznych, osobowych, posłuży później za materiał do historycznej syntezy.

Rulhiere jest to historyk starożytnej szkoły, blizki pokrewny Liwjusza. W tym rzędzie historycznych pisarzy stoi na czele w literaturze francuzkiej nie samym talentem, ale i losem do starożytnych podobny, bo takoz tylko wspaniały fragment zostawił; a na domiar zbliżenia, krytyka pracowała nad jego tekstem i zaprzeczała mu pewnych części dzieła. Nikt uczeniej stylem nie władał, nikt zręczniejsz nie chwytął, nie oddawał wybitniej rysów nawet tak mieniącej się twarzy jak była Stanisława Poniatowskiego. Rzecz dziwna! sam tytuł: «Historja bezrządu w Polsce» niby ostrzega, że autor mierzył swój przedmiot nie jak poeta i entuzjasta, ale ze stanowiska dostrzegacza z wyższej cywilizacji: a przeciez umiał mu nadać tak epopejne rozmiary. Dziwna, że pod piórem człowieka obdarzo-

tego tak wielkim zmysłem krytycznym, ludzie co mieliby maleć, to owszem rośli w olbrzymie kształty. Cóż to za posągowe postacie dwóch braci Czartoryskich, możnowładców i statystów! Jakże nie nowoczesna figura ów Branicki, pan i dygnitarz wsparty na miłości powszechnej, starzec na roskosze wylany, a przecież większej czerstwości woli, niżli ją znajdziesz w pustelnikach dzisiejszych. A Małachowski, uosobienie cnoty i powagi, a Mokronowski w Krasickim za poczciwego «pana Andrzeja» znany, tu świetny wyobraziciel rycerstwa, dyplomacji i zalotności! Rulhiere pisał panegiryk; nowy Isokrates pisał go lat dziesiątek i zmarły jego Ateny, nim on dokończył obrazu. Myśl chwalebna ukrył głęboko: człowiek zachodni, ilekroć sam przemawia, pamięta na swe obowiązki względem rozumu: republikanów kocha przez jakiś pociąg tajemny, czy przez wspomnienia klasyczne, czy przez odrazę, jaką w nim budzi zbliżka widziana dworszczyzna; nie śmie ich nie naganić, ale ich pokazuje wielkimi. A któż był znowu straszniejszym dla nieprzyjaciół naszych? Wszakże to Rulhiere podał Europie ich rysopis, którego się ona wyrzuciła na pamięć, a na którego wzmiankę ramię im występuje na czoło. Jeśli jest wada w tem dziele, to że mimo kunsztowne cieniowanie pochwały, tak ją nam hojnie odmierzył autor, że ledwie czytelnik wyjdzie z pod czaru jego opisów, musi zapytać, jakim sposobem przy takim doborze ludzi Polska zejść mogła do najopłakańszych rezultatów? Jakoż w istocie, to chyba się daje tłumaczyć owem prawem statyki o siłach równych pomiędzy sobą, a działających na przeciwne kierunki.

Obaj pisarze, Rulhiere i pan Soplica, zostawili nam Radziwiłła panie kochanku swojego pędzla. Rysunek jednakowo trafny; ale koloryt, co nie zna pewnych prawideł, tylko wprost od indywidualności malarza zawisł, jest naturalnie tak różny, jak różni są cześniak parnawski, a poufały dworu wersalskiego i dyplomacji europejskiej. Dla Rulhiera Radziwiłł musi być barbarzyńcą; dworak filozof ukochał naszą społeczność szlachecką,

ale nie mógł ni przedzierzgnąć tak siebie, ni tyle się wtajemniczyć do naszej cywilizacji, aby miał bandę albeńską za kwiat narodu uważać, a spalenie lub wypędzenie szlachcica za niewinną igraszkę. Dopiero kiedy przychodzi do badania uczuć patriotyzmu i poświęcenia na tej fizjonomji, której zkądinąd nie rozumiał, Rulhiere przesadza pana Soplicę śmiałością zarysów i podniosłością tonu. Nie popełnim śmieszności, abyśmy mieli politykę pana Soplicy roztrząsać i zawodzić z nim o to spory; bo wiemy, że zdania jego w tej rzeczy są obmyślanym owocem artystowstwa. Zamiast brać Radziwiłła ze swego podmiotowego stanowiska i własny sąd o nim na jego twarzy wyrazić, wołał pan Soplica stanąć sam wskroś stulecia, zachwycić powietrza, barwy, woni przedwiekowej, i siebie ukrywając, wystawić nam życiem magnata, z jego orszakiem albeńczyków, z jego myślą i gestem, z sądem, jaki o nim społeczeńsi mieli, z epoką jego.

To jest prawdziwe czarodziejstwo; ale jeśli było szczęśliwie użyte do oddania humorystycznej Radziwiłła figury, do skreślenia obrazów potocznych sejmikowego i domowego życia, mamyż powiedzieć, że się lękamy, aby to zrzeczenie się podmiotowego sądu, to zaparcie dzisiejszego stanowiska, to przeobrażenie dostojnej myśli dziewiętnastego wieku w pana Soplicę, nie było jej na wstręcie do malowania osób i rzeczy wielkich, co już z praw perspektywy nie mogą być dobrze widziane od zbyt zbliżonej źrenicy. Tak jest, jeśli się autor uprze, widzieć i sądzić w osobie pana Soplicy, a z niej nie zrobi allegorji, ale zachowa jej rzeczywistość szlachcica ósmnastego wieku, będzie przywieziony koniecznie do ubogiego, jednostronnego widzenia, przed którym ujdą co znaczniejsze postacie, bo te górują daleko nad ocznym promieniem palestranta: autor usprawiedliwi przenikliwe ostrzeżenie Stefana Witwickiego, który mu radzi, „aby nie szukał ducha i tronu polskiego w tem jedynie, co junackie i rubaszne.“ Przywiezienie prawd historycznych o położeniu ludzi zacniejszych w staropolszczyźnie, o jedyum świetle,

w jakim umiało ich oddać piśmiennictwo. krajowe, upoważni nasze obawy.

Rzecz niewątpliwa, że każdy naród, przeżywszy jakiś lat przeciąg, wyrabia w swym duchu, w widzeniu rzeczy, w zewnętrznym okazie, pewne prawidła zwyczajowe, pod które z czasem najniepodleglejsze umysły nagina. Tak w Hiszpanji długie, prawie pojedynkowe, a zatem wznoszące indywidualność z Maurami wojny, dalej cudowne odkrycia i podboje, skarby, nie jako późne owoce trudu, ale jako trofea śmiałości, wszystko to ukształtowało w pojęciu, w uczuciu, w ułożeniu, tę przysadną wystawność wiernie odbitą w rodzinnej literaturze i naśladowaną blisko dwa wieki po dworach europejskich. Z niej to pochodził jeszcze Ludwik XIV, któremu za wszystkie talenta stanęła majestatyczność, co go nie opuszczała nawet, gdy się do snu przywdziewał, co mu nieukowi dała natrafiać piękno w sztukach, administracji, polityce; w uroczystej chwili natchnęła to szczytne słowo: „Nie ma już Pyreneów.“ Od jego osoby rozpromieniła na cały naród uczucie i ambit wielkości, zapaliła plejady wojowników, sztukmistrzów, pisarzy, a przetrawiona w charakterze francuzkim, rozlała znów na Europę wpływem gustu i grzeczności. Postawmyż obok z Ludwikiem jedną z najwspanialszych historycznych postaci, człowieka nieskończenie wyższego osobistemi zdolnościami. Ostatni król chrześcijański zamknął i uwieńczył wojny krzyżowe zwycięztwami pod Wiedniem i Strygoniem. Jakież on to wpływ wywarł na umysłową i artystowską Polskę? Największy czyż z dziejów nowożytnych, jakichże to miał historyków i pieśniarzy? Cóż Polska umiała o nim powiedzieć, prócz że gadała pół wieku potem: Król Jan nieboszczyk fulmen orientis? On sam, czyliż mówi jak wielki człowiek, czy ma język swojego stanu, opowiadając swe czyny w listach do Marysienki, gdzie rączki papy d'Arquien całuje?

Nie pomaluj się taki się mylił, toby przeciwności dwóch tych fenomenów do różnicy warunków władzy odnosił. Mówiąc o Ludwiku XIV., o Janie III., nie chciej-

liśmy porównywać królów: idzie o wpływ człowieka panującego nad społeczeństwem, czy godnie utrzymawaną pierwszą pozycją, czy, co jest więcej, potęgą swojej osoby odzwierciedloną w sławie. Więc w tem trafunkowym zbliżeniu, Sobieskiego stanowisko jest korzystniejsze. Czemuz przypisać jego tak marny wpływ na społeczność polską, oglądając się zwłaszcza na europejską wszechdzielność Ludwika? Oto wyznać potrzeba, w Polsce wielki czyn głuchnął w czczości. Pochodzi to z natury umysłowości polskiej, której główne znamiona schwyciwszy, nie trudnoby już było wyjaśnić wiele tajemnic historii i literatury ojczyznej, a następnie przejść do pewnych prawideł przewodnich w zdejmovaniu wzorów polskiego przedmiotowego świata.

Rzuciliśmy przodem wspominkę o piątym narodowym hiszpańskim, i z pomiędzy licznych charakterów ogólnych, bądź brzegami pewnego kraju objętych, bądź wylewających na postronia, wybraliśmy raczej ten, a nie inny, jako najzupełniej przeciwległy polskiemu. Tam wszystko podniosłe, wystawne, nieco teatralne, ale dziwnie do epepei lub dramatu przydatne. Jest to kraj romanseru, kraj obwity najbujniej w dramatyczne postaci: tu wszystko rozsądkowe, rubaszno-jowialne, nie butne w chęciach; całe słowo tego społeczeństwa zmieści się w przysłowia i przypowieściach. Jakoż zbiór ten przysłów odświeżany z każdym stuleciem języka, i autor, co z nich budował swe dzieła, Rej z Nagłowic, pisarz nieuczony, pisarz gadek i przypowieści, stanowią istotę literatury narodowej. Prócz tego kwiatu skromnej woni i farby, nic tu szczerokrajowe nie zejdzie. Oto Bolesław Chrobry nie mógł wuczyć tego plemienia do podboju; plemię to już mieć nie będzie epepei. Jego historia nie przedstawia gry namiętności tęgich, co mu zapewne wiele zbrodni oszczędzi, z czego się będzie chlubiło, jako i z nietykania sąsiedniej własności; ale z blaskownych dziejów nie wybije dramat narodowy. Napotykanne tu i owdzie wyrazitsze postaci, nie posłużą za wzory; bo te się wyradzają nie z przypadko-

wych typów, ale z ogólnych, po wszystkich warstwach społeczeństwa odbitych.

Pospolitym to bardzo błędem, nie rozumieć stosunku społeczności a bohatera, polityka lub artysty; nie wiedzieć, że tylko wzajemne przez się pojęcie osoby i społeczeństwa, może wydać tę górującą jednostkę, którą zowieśmy wielkim człowiekiem. Powstanie ktoś możny czynem, zjawi się sztukmistrz zawołany, tak z razu jesteśmy olśnieni blaskiem owej postaci, że przesadzając bezmiernie jej pojedynczą siłę, nie pytamy jak tam za bohaterem jest w narodzie ogólna żądza i rozumienie wielkiego czynu, za artystą jasne widzenie wypadków i osób, lub zarywanie powszechne jakiejś lirycznej nóty, którą sztukmistrz dopiero w pełni obejmie i wyda. Przecież bez tego nie byłoby ani wielkiego człowieka, ani wielkiego sztukmistrza: będzie co najwięcej człowiek znaczny i słynny, artysta biegły rzemieślnik, ale obcego pochodzenia. W Polsce owa mierność zamięlna, ów wstręt od hazardowych kolei, po których właśnie do wyższych rzeczy się goni, sprawiły że nigdy naród nie rozumiał swych ludzi, nigdy przez swoje poparcie nie zrobił ich rzeczywiście wielkimi. Tu jeśli nasz charakter tłumaczy naszą historję, nawzajem ona świadczy o charakterze; jest między nimi logiczny stosunek skutku do przyczyny. Myśl narodowa nie tylko że nie przewidziała, nie kształciła wyższości, ale nawet kiedy z rzymskich wspomnień wykwitły, opierała się iść za nimi. Stoją one samotnie w naszej historji. Dla tegoż nie było ani prawdziwie polskich statystów, ani poetów, ani historyków, choć byli mężowie poradni i pisarze zdolni do pieśni i powieści. Słynni Polacy są to w księdze dziejowej piękne anachronizmy, próbki charakterów starożytnych: myśl Liwjusza stworzyła Jana Zamojskiego, jak brzęk jego perjudów Długosza i Kromera. Tak dalece naród nie dotrzymywał kroku tym Anacharsysom z pielgrzymki w starożytność wróconym, że chociaż szabla była mu zabawką i chlubą, przecież swym wodzom ledwie do-

zwał za szczytu bezowocnych wygranych, nie doczekawszy nigdy celu założonego wyprawie.

Do historii należy wykazać następstwa dla Polski z tego rozvodu pomiędzy ludźmi wyższymi a masami; brak wpływu na Europie, niezłanie części różnoplemiennych w jedność, niewyrobienie instytucji, co by wytrzymały podwójną próbę czasu i obcego napadu; do teorii sztuki, niemoc w narodzie pojętnego widzenia jedynych typów malownych, a więc niepodobieństwo sztuki w naczelnym jej objawieniach, epepei, dramacie, historii.

Autor Pamiątek przywdziewając osobę Soplicy, jakież stanowisko wybiera do uważania przedmiotowości polskiej? Oto schodzi na takie nieprzychylnie szerokiemu widzeniu, że zeń ówczesne talenta nie mogły ni oka rozeprzeć, ni rozemnać snujących się ludzkich i rzeczowych postaci. Potrafił zdjąć wierzytelnie Radziwiłła, który jedynie tylko w Polsce mógł się urodzić, bo ta piękna figura dziś tak odrębnie cechowa, miała za czasów pana Soplicy swoje pokrewne po wszystkich sferach społeczeństwa, była znajoma wszystkim. Należy ona prawem humorystycy, dla której przeszłość ojczyzna nie dosyć, że przedmiotów najbogaciej dostarcza, ale jeszcze na każdym punkcie daje dogodnie widownie. Pan Soplica rozumiał, powinien był rozumieć Radziwiłła; o tem nikt wątpić nie będzie, tak to jest zupełnie prawdziwe we względach czasu i charakterystyki ogólnej. Tu więc autor mógł nam zrobić słodkie złudzenie, w tył pomykając rok malowidła. Ale ten kaprys, jeśli uchodzi bezkarnie w jednostronnym widzeniu rzeczowości polskiej, łamałby skrzydła artyście, przymuszał do sądu, co nie zaspokoi dzisiejszego pojęcia, lub do sfalszowania swej głównej, opowiadającej osoby, gdyby go autor nie porzucił, biorąc się do różnicowych obrazów, do czego, jesteśmy pewni, niesie go powołanie, a tehu i umiejętności starczy. Już w podzisiejszych pamiątkach, ilekroć autor potrafił o ważniejsze przedmioty, bije w oczy, jak go uciska i krępuje ta pożyczana maska i suknia. Puławski tylko gdzieś w głębi

pokazany, i nie dziw nam, że go autor naprzód obrazu nie wysadził; uczuł zapewne, że to nie przez adwokacką częstnika mózgownicę tak poetyczna figura może na świat sztuki odbłyśnąć. Kazimierz Puławski, jest to piękność ogólnego wielkiego typu, na którą patrząc, niepodobna uważać, w jaki tam strój przybrana. Duchem i ciałem zarówno silny, podług wzoru homerycznych czasów, gdyby był mężem w czasie wyprawy pod Troję, byłby drugim w obozie greckim, coby dzidą achillesową potrzęsnał. Przyjrzyjcie mu się, jak w Karpaty wleciały, zawisnął jak nawałnica ponad całem Podgórzem i dopatruje, gdzie uderzyć zniszczeniem? A w Częstochowie, kiedy Moskale radzi go zgubić i właśnie na jego mężtwie zasadzając rachubę, wybrali z pomiędzy siebie najstrasznego żołnierza, aby go wyzwał na rękę — patrzcie! Dowódca twierdzy przyjmuje walkę sam na sam z nastawionym siepaczem, i gdy w tem strasznym spotkaniu obu orężę pękły, on przez kirys przeciwnika rękojeścią dosięgnął i zdusił mu w piersiach życie. Po kilkoletniej kolei cudownych przypadków, co w sympatycznym i współwidzącym towarzystwie byłyby, jeśli nie odrodzenie kraju, to przynajmniej romans rycerski wywołały, nasz Artur, nasz Roland, szuka bojów za swoją damę, wolność, którą ukochał w idealnym posągu, jaki w płomieniu swej duszy wyrobił. I szlachcic polski, więc graf dla reszty Europy, dziwnem a jednych Polaków dotykającym zrządzeniem, ginie za towarzystwo bez tradycji, nie mające przeszłości na urodzenie jednego herbu, za selfgovernment, gdzie wszyscy ludzie biorą się za jedność, bo nie było historii, coby zrobiła z którego liczbę. Któż nam odda pana Puławskiego w zupełnym blasku? Rulhiere zaczął tę figurę uczenie, w wielkim stylu, ale śmierć przerwała mu robotę; pan Soplica dotknął się jej nieśmiało. Gdyby Julusz Słowacki wyzwolił swojego Beniowskiego ze wspomnień Don Żuanowych i polemikę z rodzajem ludzkim, która mu rwie osnowę, na inne miejsce odłożył, lub dał zasnąć z jej Juvenalisem i Byronem, może by jemu się dostało wskrzesić rycerzy barskich.

W pierwszych pieśniach poematu «Beniowski», wśród rzeczy zupełnie obcych dla przedmiotu i okresu, padają od pisarza błyskawice na przeszłość, świadczące o jego powołaniu epicznym. To powołanie widne już w pierwszych powieściach, gdzie młodość autora wystąpiła przebrana w dojrzałe i urobione formy, w Beniowskim się zapowiada przez wyraźniejsze znaki, a nas utwierdza w myśli, że przekroczeniem przeciwko niemu były wszystkie wycieczki autora na inne szlaki poezji. Zresztą przez robotę epicznego talentu rozumiemy tu powieść, romans poetycki, nie zaś to wielkie słowo ludzkości «epos», co jest wyrażeniem wraz poetykiem i ścisłem całej sumy wyobrażeń i podań rozlanych w społeczeństwie, i niby formułą algebraiczną społecznego rozumu. Takiego albowiem dzieła połowę tylko wieszcz robi, a drugą społeczność sama; albo raczej on tylko ją podstuchuje, ażeby następnym wiekom jej tajemnice wydał. Symbolizują tę prawdę kłótnie uczonych o Homerydy, czyli one zbiorowem, czy jednego człowieka dziełem. A nasze społeczeństwo nazbyt jest rozstrojone, różnomyślne, wielojęzyczne, aby się mogło wyrazić jedną formułą. Jednem słowem: wiek dziewiętnasty nie będzie miał epopei.

Wracając do rzeczy, nie mniejszym dla nas dowodem, jak ta rola Soplicy więzi autora pamiątek, jest jego Rejten. Tu wszystko, co miejscowe, z pospolitem znamieniem zgodne, jest nader trafnie i wyrazisto oddane; co odstaje na tle powszechnem, uchodzi przed wzrokiem Soplicy; Rejten w szkole, w Radziwiłła towarzystwie, jest oświetlony, i może być łatwo za prawdziwego uznany; ale na sejmie nadzwyczajnym poseł, nie dosięga ideału, nie wyobraża jeszcze męża, na którego wspomnienie całej Polsce pierś się podnosi. Parafjańskie szkielko, co takim czarem nawodzi sceny domowej, pokątnej, familijnej przeszłości, tu jedno zawadza spojrzeniu autora.

Przecież pierwszym prawidłem w zdejmovaniu przedmiotów na widnokregu ojczystym, powinno być nieschodzenie samemu z górującego stanowiska cywilizacji.

Jak z podziemiów egipskich wydobyte napisy zgaduje umiejętność nowa, tak z pyłem wieków wyniesione z przeszłości osoby i fakta przy pochodni dziśczesnej oświaty odczytywać należy. Cywilizacja tak u nas ogadana właśnie przez ludzi, co jej swą wyższość winni, szkiele, których uczycza, nie nawodzi wyłączną farbą, tylko podaje sposoby widzenia jaśniej i dalej, a wszystko we właściwem miejscu i barwie. Jest bezstronna, bo jest wszechstronna: na co się gniewają ludzie nieraz pięknych i silnych, ale jednokolejnych, więc ciasnych usposobień. Zresztą całe to nowe piśmiennictwo polskie, zostające w sympatyczniejszym stosunku z narodem, niżeli była stanisławowska i zygmuntowska literatura, przyszło w następstwie ogólnego europejskiego, nie krajowego ruchu. Gdzież Leleweł pokaże w Polsce swych poprzedników w krytyce historycznej? Mickiewic, Zaleski, Trentowski, jakże wywiodą swój rodowód ojczysty? Język nawet, który już zaczął skamieniałości ulegać, przybierając ugodnych znaczeń w ślad francuzczyzny i bez względu na swój genjusz składalny, jeżeliśmy rozgrzali, zrobili posłusznym na wszystkie ruchy umu, i obieg soków od liścia reologii aż do pnia sławiańskiego w nim przywrócili, nie byłże temu powodem zwrot ku poezji i spekulacji niemieckiej, ciągnący za sobą potrzebę giętszej, swobodniejszej mowy? Kultura narodowa może być własnoziemna, albo szcepiona i zharmonizowana z narodową przyrodą: w tym ostatnim razie jest kultura polska. Po dziś dzień u nas powołaniem pisarzy jest wtajemniczać do rzeczy, których naród sam przez się nie dochodził; tak przyswoiwszy sobie rezultaty rozumowych działań zachodu, może on je pomknąć, rozwieść szeroko. Ale w obecnym stanie zamykać Polskę moralnie w jej granicach, byłoby zdusić ją w chwili; chcieć zaś czy w historii, czy w sztuce widzieć i tłumaczyć Polskę przy własnem jej świetle, byłoby to zawierać okiennice przed słońcem, mając co szukać w pokojach.

Dział drugi Pamiątek Soplicy, albo raczej drugi pierwiastek przedmiotowości polskiej obrabiany przez

artystę, świeci największą prawdą i bogactwem scen i postaci. Tu przedmiot i patrzący byli w przyzwoitym stosunku. Póki szło o rzeczy i osoby znaczne na historycznym przestworzu, pan Soplica nie był dość biegłym znawcą, aby wszystkiemu stosowne miejsce i część należną wydzielić. Ale gdy z nową naturą przedmiotów dość mu było widzieć i zapamiętać, pan cześnik jest niezrównany, bo ma oko i pamięć miłości. Powieść jego swobodna, skoro nie potrzebując wojować sądem i łamać się z trudnościami historycznych zagadek, promieni poezją wspomnień. Od złotoustego płynie czarowna gawęda o starych czasach tak pięknych! bo powiązanych z młodością, z siłą czucia i użycia. Potrzeba było geniuszu, aby tak dobrze dochować stosunek powieściopisarza do czasów wspomnianych. Jeżeli strona epiczna tych rapsodów o wieku ósmnastym jest chybiona, właśnie dla prawdy charakteru osoby opowiadającej, a niedolności tej osoby do pojęć epicznych; za to strona obyczajowa, domowa, jest wymieniona, dzięki wybornej właściwości Soplicy do przedmiotu. Co było przeszkodą autorowi Pamiętek w schwytaniu wielkich zarysów Konfederacji i sejmów, to samo jest dlań przyjaznym środkiem do kreślenia zaścianka, trybunału, pańskiego dworu. Domowych ówczesnych dziejów nikt nie opíše jak swojak owej epoki, bo nikt ich tak kochać nie będzie; a ktoby tam wychodził z pochodnią krytyki, ten zamiast rozświecić, olśni wszystko i zaćmi.

Jakże autor dowiedział, zasłyszał tę przeszłość? Musiał długo nadstawiać ucha przykominkowym rozmowom ludzi podeszłych, musiał z miłością wczytywać się w papierzyska, ochrzczone uroczystem imieniem archiwów familijnych, wydierać molom szczątki pozwów, nawet nie gardzić notatami spisanemi płowem czernidłem na przekładkach kalendarza gospodarskiego; resztę dopełnił wielkim rozumem, od którego wszelka całość pochodzi. Przynajmniej pewna jest, że w piśmiennictwie ósmnastego wieku nie było dlań wzoru, ani materiału wiele; gdyż w ówczesnej społeczności polskiej pisali wszystko ludzie, co nie kochali swojego świata. Zbierali

pełń wzorki, lub mu prawili morały, żaden go nie malował miłośnie i poważnie. Z pamiętników od niedawna na jaw wyniesionych, jeden Kitowicza od przeszłości przemawia; ale nieplenny w szczegóły, a zresztą Kitowicz pełen żółci do tego, co nienawidzi, nie umiał patrzeć poetycznie na to, czego żałował. Inne, jako to Wybickiego i Kollątaja, pisane od ludzi zbyt uderzonych zachodnią oglądą, ledwie przypadkiem dochowują barwę okresu. Nieraz Wybickiemu serce się krwi i żal zacina usta, że nie chce wspominać rzeczy, coby dla autora pamiętek były drogim nabytkiem. W ogóle w tych pamiętnikach ani dosyć rozumu, aby stały za prawdziwą historją, ani szczeroty w opowiadaniu, by mogły bardzo posłużyć malarzowi przeszłości. Z literatury ośmnastego wieku, sprowadzającej natchnienie z zagranicy, niepodobna wydobyć żadnego świadectwa o czasie, prócz że z wierszy pochwalnych wnioskować można o przedpokojowych usposobieniach autorów. Jeden Krasicki rzuca światło na towarzystwo współczesne, ale to światło polyskiem drwiącego uśmiechu.

W Krasickim trzeba umieć odróżnić płody podwójnego natchnienia: co pisał jako biskup senator; a co jako satyryk i dowcipniś europejski ośmnastego wieku. Z pierwszej żyły płyną: Wojna chocimska, Pan Podstoli — poziewne i chłodne utwory; druga rozlała satyrą, wojną mniszą i Doświadczyńskim: bo z dwóch charakterów Krasickiego pierwszy był przybranym, z urzędu noszonym, a ostatni serdecznym, osobistym.

Gdyby patrzeć nie na dno dzieła, ale na tytuł i zamiar pisarza, wzięsłby należało Pana Podstolego za wzór polskiego szlachcica i doń odnosić wszystkie umniczne próby tej roli. Wszakże już dzisiaj nie wolno zrobić tak niezgrabnej pomyłki, kiedy ta książka umarła, przeżywszy zaręczoną sobie od Dmochowskiego przed laty czterdziestu nieśmiertelność. Pan Podstoli nie ma nic życia, nic prawdy; jest to figura zupełnie konwencyjna, pokrewna wszystkich plebanów, dobrych ojców, dobrych matek, i t. p. Obraz szlachcica, jakim go widzieć pragnęli panowie ośmnastego wieku, gdy sami

zuczuziemczeli, radzi go byli hodować w swoich wyobrażeniach, dla tego właśnie, że je uważali za ciasne, a przez to wyrobić pomiędzy nim a sobą różnice cywilizacji, gdy innej prawo krajowe nie przypuszczają. Do licznych kłamstw naszego społeczeństwa przyrodziło się wówczas nowe: uwielbienie możnych dla narodowości, czego fałszywość zdradzało ich kształcenie się na tryb obcy. Ponieważ o wpływ i godność trzeba było negocjować z wolnymi głosami, schlebiano słusznym uczuciom szlachty, a z chwilowego przymusu pocieszano się żartem w francuzkim języku. Ta obłuda tak była w krew przeszła, że w czasie, gdy już niczego od szlachty nie mógł wyglądać, prócz szacunku, jaki mu słusznie należał, generał ziem podolskich ubolewał, że wzrost możnowładztwa, a upadek równości braterskiej wprowadził formuły uniżone do mowy polskiej. Krasicki zrodzony w tem społeczeństwie, a z pozycji podniesionej talentem, należący do jego szczytu, co mu zbywało czasu od czytania Boala, Gresseta i Woltera, lub pisania wedle tych wzorów, obracał na układanie Sielanki, gdzie wystawił raj domatorstwa, bez więcej zachodu i ostrożności artystowskiej, niż ich mają piszący powiastki dla dzieci o występku ukaranym i cnocie tryumfującej. Dodał morału przeciwko pijaństwu, kosterstwu — morału wyrażonego ze świetnym przekąsem w satyrach, tu pospolicie i nudnie: i oto cała ta książka bezzaradna, nie warta jednego obrazku domowej sceny, jak n. p. jest pan Rewieński. Dziwić się nawet trzeba, z kąd Krasicki jako pisarz prozą, mógł więcej być poważany od spółczesnych: Naruszewicza, Bohomolca; co się chyba tym tłumaczy, że był w swoim czasie upowszechniaczem nowszych pomysłów, pisarzem języka potocznego. Ale ten język był przechodny, te pomysły jedne fałszem, drugie pospolitością zostały, i dzieci nasze nie będą czytać tej prozy o składni francuzkiej, a łacińskich wyrazach, najbardziej odbiegłej od Sławiańszczyzny i zygmuntownskich podań. Z Pana Podstolego nie mógł autor Pamiętek wycisnąć ni kropli farby.

W satyrach i w Doświadczyńskim Krasicki wyświecił

niejedną ciekawą stroną polskiego towarzystwa, ale to światło przedrzeźniające, zamiast być pomocą dzisiaj-temu malarzowi przeszłości, razi mu owsem żrenicę i przeszkadza temu lubemu spojrzeniu na wsteczne czasy, z którego się rodzą obrazy historyczne. Autor Pamiątek musiał walczyć ze wspomnieniami z Krasickiego i mrużyć oczy na tę szyderczą pochodnię żartu. Daleko wreszcie od tego, aby Krasicki był sprawiedliwym sędzią; często miał słusność po sobie przeciwko społeczeństwu, a częściej go nie rozumiał, stawiając pod linię i karcąc zarówno to wiekowe przywary, to różnicę nawyknień swojskich od poloru nałowionego z Europy. Taka jest treść pism satyrycznych, najlepszych pism Krasickiego; chociaż tam co krok spotykać można oświadczenia za obyczajem narodowym i chryje na cudzoziemczyzną, jedno i drugie w opatrzeniu się na szlachtę. Inaczej być nie mogło. Krasicki był dzieckiem cywilizacji ośmnastego wieku, która nie była jeszcze prawdziwą oświatą, ale ogląda, co jest z natury swojej wyłączna, despocyzna jak moda, jak zakon salonowy. Ile więc razy wychodził z roli narodowego pisarza, a objawiał wewnętrzne uczucia swojej osoby, musiał być nie sędzią, lecz przeciwnikiem. Chociażby wreszcie stał Krasicki w swoim czasie przy prawdzie, to inna jest prawda obecna, społeczna, a inna historyczna i poetycka. Tamto były czasy polemiki, dzisiaj są czasy obrazowania. To ostatnie przedsięwziął autor Pamiątek, i trzeba mu przyznać ten zaszczyt, że w zdejmowaniu ośmiennastego wieku jest pierwszy, bez przodka w literaturze; że się kierował wielkim instynktem, po tradycji, po tych pismach, które przeszłość na ląd nasz wynosi, jak rzeka przy ujściu obrzuca brzegi piaskiem i liściami z krajów, które przebiegła.

Orędownictwo pańskie, palestra, bratnia pohulanka, kolejno się nasuwają pod pędzel mistrza. Pan jest ojcem i bratem szlachcica, palestra szkołą narodowego rozumu i arcy-szanownem ciałem, a przyjacielskość znarowiona, którą tak złośliwymi farbami Krasicki w satyrze «Pijaństwo» namalował, tu zachowuje zupełnie swoje czyste

pochodzenie: upijają się ludzie, ale sumiennie i święcie; nadużycie jest tylko bardzo odśrodkowem następstwem cnoty. Autor przywilejem biegłych artystów pochlebia, a przecież chwytą podobieństwo. Radziwiła głowę rozświetlił wszystkiemi powabami owych czasów: jest to najlepszy pan, i pierwszy rębacz, czy to na szable, czy to na żart rubaszny, i pierwszy pijak. Żałujemy jednak że autor nie dość na to nastawał, jaki tam w duszy jego bohatera był kwiat świeży i biały, którego chwasty dziwactwa zgłuszyć nie mogły; i z tej okoliczności przytoczymy tutaj podanie, co wypadło z pamięci autorowi Pamiątek.

Kiedy Radziwiłł razu jednego, pod natchnieniem humoru, klecił genialne swe kłamstwa w obec króla Stanisława, przyszedł z kolei do widzenia się z Jezusem Chrystusem.

— A jakże Chrystus Pan był ubrany? — zagabnął z przekąsem król filozof.

— Miał na sobie mundur województwa czarniechowskiego — odparł niezmiészany artysta.

Wiadomo że u nas byli tytularni urzędnicy ziem odpadłych; odpowiedź więc Radziwiła była wymownem przypomnieniem obowiązków króla polskiego.

Gdybyśmy tu mogli rozwieść się nieco dłużej nad robotą każdego obrazku, łatwo by nam wykazać, jak głębokimi a prostymi sposoby doszedł autor najwyższych efektów. Pogoda i lubość malowidła są tu jedynem znamięm jego trybu. Przez nie grają sceny uroczyste, patetyczne, lub wybija komiczność wysoka, nienacechowana satyrycznym zamysłem. Weźmy n. p. ów obraz Trybunału lubelskiego, tak jasny, czysty! Jest ustęp w Doświadczyńskim, najwyrazistszy kawałek z prozy Krasickiego, gdzie tenże sam przedmiot oddany jest żywo i z przyciskiem. Ale porównać dwa te przedstawienia, to jest karykatura, tamto obraz — to pamflet Paul-Louis Couriera, tamto poemat. Któż nie pamięta jak ucinkowy biskup wiedzie swojego bohatera do Lublina z paszportem do sprawiedliwości narodowej? Autor Pamiątek poetycznie przyznał

nadużycia sądowe legendą o Chrystusie, co się odwrócił tyłem do trybunału, a mieszcząc wiarę w ów cud na twarzach osób swego obrazu, pięknie wyraził, że występki był jeszcze grzechem, nie obyczajem. Na przykład niewinnej komiczności można przytoczyć wspomnienie o teatrze lubelskim, gdzie dramat ustawicznie był przerywany wiewatami na cześć wchodzących dygnitarzy, i zazdrość, zemsta, żart, musiały czekać na scenie, dopóki w sali kielich rąk widzów nie obejdzie.

Drugie spostrzeżenie ogólne, jakie uczynimy nad Pamiątkami, dotyczy języka i stylu rozmów. Język ten i styl są wyborne, szczeropolskie, z najczystszej żyły wydobyty; w nich autor dochował tok istnie narodowy, którego już nie ma, gdy sam opowiada. Zresztą owa czystość języka godzi się dobrze z okresem, jeżeli pamiętać będziemy, że bohaterowie autora Pamiątek nie są to wychowawcy Damonów, ale szlachta, co z francuzczyzny ledwie karty przyjmuje, i to z oporem; szlachta, co wartowała Herburta, czytywała kroniki, uczyła się Haura i śpiewała psalmy Kochanowskiego.

Nad wszystkimi powiastkami tego dzieła, nie wybiegającami z domowej sfery, chętnie zatrzymuje się oko i wszędzie trąca o prawdę bujnie rozkwitłą. Gdyby nas jednak zmuszono wybór uczynić, serce nasze odbiegłoby całej palestry, odbiegło panów Rewieńskich i Borowskich, nawet Radziwiłła panie kochanku, skłoniło się do pana Rysia. Pan Ryś ideał dandysa kontuzowego, zabójca serc niewieścich, choroba płci dzisiaj piękną, a wówczas białą przezwaną, piękny, odważny, złotny, l'incroyable swego czasu, jest dla nas o ile nowem, o tyle drogiem zjawiskiem, a jego dzieje najdroższym djamentem, jaki kiedykolwiek w pamięci polskiego powieściopisarza zaświecił.

Piękna jest także legenda o panu Leszczycu. Ta niemoc w obywatelu pozbycia się zgryzoty, dopóki w hołdzie prawu życia swojego nie poniesie; jest pomysłem tkliwym i oryginalnym, chociaż w skruszeniu ducha bierzemy go raczej za uczącą allegorję, niżeli za

dostrzeżenie cechy dziejowej polskiej. Tak na wschodzie pod despotyzmem, który ma nieskończoność i niespodzianość kaprysu, krążą powieści o królach stale kochających i odmierzających wiernie sprawiedliwość.

Bardziej jeszcze poetycką w swej treści jest pamiętka pod napisem: Klasztor Surlański. Tylko owa tragiczna dana potrzebowała innego, szerszego rozsnucia; autor Pamiętek opisał ją, aby nie zginęła z tradycji, ale nic z niej nie zrobił — i ona czeka poety. Nigdy Szekspir, ni Kalderon arcytragik, nie uprzedli straszniejszego powikłania przeciwności, zbrodni i żalu.

Powieści trzeciego działu, z elementu kozackiego czerpane, rozłamują się znowu stosownie do natury swych danych, albo raczej wchodzą do dwóch powyższych działów, podług tego jak obrazują przedmioty historyczne, lub sceny potocznego życia. To samo cośmy rzekli ogólnie o niewdzięcznym sposobie traktowania podniosłych rzeczy dziejowych za pomocą wspomnień Soplicy, przypada zarówno tutaj do kozackich powiastek. Dwie z nich wymagało wielkiej maniery: o panu Sawie, którego życie wskroś idzie Konfederacji barskiej, i druga o panu Czapskim, co zaczyna o bunt Puhaczewa. Bunt Puhaczewa! istny dramat Wiktora Hugo, mieniący okropnością i błazeństwem, rzucony na scenę wzdłuż Wołgi i gór uralskich. Cóż zeń zapamiętał pan Soplica? Co mógł spamiętać prawdziwy szlachcic polski, który gdyby był na Hamlecie, z całego poematu wyniosłby Hamletowe do Ofelji:

That's a fair thought to lie between maid's legs.

Pan Soplica oddychając tem życiem melodrammem, nie nabrał w pierś innych wrażeń, prócz kilku facecyjek. Zgoda! jest to prawdą względem osoby opowiadającej, względem cześnika parnawskiego. Zupelny brak w literaturze oryginalnej dramatycznej osnowy, sposób suchy, często rubaszny, jakim opowiadają kronikarze najokropniejsze zdarzenia, służą za dowód tej prawdy. Ale poddajem autorowi Pamiętek nasze wątplenie, wolno li

tyciodawczemu talentowi potrącać tak o przedmioty bogate i naruszać jeno ich dziewiczość, kiedy miłośnym a silnym uściskiem mógłby je z chwałą dla siebie i literatury rozplódzić? Jeszcze raz powtarzamy: czemuż autor nie wzbroni swemu gadule wspominać tego, co on fle widzieć musiał, a poprzestając teraz na kreśleniu scen domowych, nie odroczy wielkich przedmiotów do dzieł innych, gdzie jego osobistość wystąpi nieskrępowana przejęciem ugodnej roli?

Za to do najpiękniejszych ze zbioru należą powieści kozackie sfery domowej, gdzie autor odrysował kozaka w trzech postaciach: zaporozca, hajdamaki, kozaka dworskiego. Zaporoziec autora Pamiątek nie jest to Zaporozec Michała Czajkowskiego, dyplomata w stosunkach z sułtanem konstantynopolizańskim i urodzony konkurent do kasztelanek krakowskich: broń Boże! Jest to sobie po prostu chłop zbiegły z Rusi lub z Mołdawii, albo też jaki urwisz od szlachty, skłócony śmiertelnie ze sprawiedliwością krajową, czasem skradzione dziecko wychowane wśród Siczy — zawsze człowiek wólący życie tkane pohulanką i mordem, nad wieczny batożny proces z rządcą polskiego magnata, albo stanowczą rozprawę z trybunałem. Autor Pamiątek nie dosyć że osnuł nader interesującą powieść o Siczy, więcej zrobił — szczerością tego obrazu oddał posługę krytyka literaturze, bo obalił dziwolągi kozackie, które wchodziły już w modę, i wstrzymał ten fałsz zaraźliwy, powstały z pomieszania wyobrażeń Rusi a kozactwa; tego, co tam było porządkiem normalnym, a co buntem uorganizowanym, dzięki słabości rzeczywospolitej; wszakże utrzymanym na wodzy i tylko od czasu do czasu triumfującym chwilowo. Omal że Potoccy i Wiśniowiecki nie są kozakami; przecież nie godzi się tak dowolnie zamieniać bijących na bitych; jeżeli pierwszych gromi sąd historyczny za ich zbrodnie, zostawmyż ich przynajmniej przy dumie, co wywołała piorun. Dante spotykał w piekle duchy butniejsze, gniecione ogromnym ciężarem; nie mówi, aby je mieszano z małemi, które one deptały

tu w życiu. Jakto musi żałować wielki poeta, naczelnik ukraińskiej szkoły, że dał niechęć powód do tej mistyfikacji kozaczey? Choć czyż to wina słowika, że osieł chce po swojemu śpiew jego naśladować? Jakże zabronisz biedakom za cudzą myślą tropiącym, podbijać twój pomysł w przysadę, w mniemaniu: że biorąc za punkt wyjścia, co dla ciebie było już odśrodkowym na kraniec prawdy zagonem, śmielszego są od ciebie genjuszu? Ale kiedy wspomniemy, że przez lat kilka Polska wierzyła w kozaków Czajkowskiego, i wdzięczna za podarek z tak historycznych figur, przebaczała mu najsroższą obrazę wszelkich pojęć pisania — że usta i uszy od lat dziesiątka pieszczone harmonją wieszczów, nawykały do hajdamackiego języka; a filozof Trentowski jawnego illetrystę nazwał pierwszym belletrystą polskim, winszując mu z bogacenie języka kupą solecymów, fałszywych form i wyrazów pustych, jak orzechy bez jądra — kiedy przytem spojrzym, jak zwolna przenikają w rozumienie powszechne: Wacław, Niebolska komedja, Pan Tadeusz — zdejmując nas boleśne zwątpienie o usposobieniach estetycznych narodu.

Ot! pocieszajmy się Pamiątkami Soplicy. Jego Zaporozec, to mi Zaporozec prawdziwy! Pije w karczmie, bawiąc się jasnemi barwami i złotym galonem, a gdy wraca do Sicz, zanurza w dziegciu i rzuca barwistą odzież, wołąc koszulę oblaną łojem i niepodległość zaporozką. Wprawdzie tej atmosfery wódki, łoju i dziegciu żadna by kasztelanka nie zniosła, ale on taki piękniejszy, bo istotny — bo Sicz była upustem dla dzikiej swobody ducha, tłumionej ryzą ogólnych ustaw społecznych; bo żaden kozak nie byłby pewno został na Zaporozu, gdyby mógł mieć pannę Lanckorońską za kochankę i z Marją Ludwiką iść w płasy.

Jak tu mądra jest pamięć Soplicy! Dopiero co wspomniał to symboliczne przewdzianie stroju, znów nas prowadzi do czterdziestu kwater pułkowych, stawia przy obiorze koszowego, którego nie robi podobnym

do konsulów rzymskich, konetablów francuzkich, lub hetmanów koronnych; ale przywiedzeniem brudno poetyckiego obrzędu sypania śmieci na głowę; wzmianką o prawie, co w dzień obioru obowiązywało pisarza, aby na Zaporozu chociaż on jeden był trzeźwy, wtajemnicza nas do serdecznej prawdy tego towarzystwa. Ponckie pobraże, kraj dziwów, kraj oryginalności historycznych i społecznych! Tu grecka fantazja miesciła tyle cudów — tu galop nigdy nie przestał tętnić, tu siew oczeretów nie ponowiony od potopu wybuja — tu w konia wrosły przemykał niegdyś Scyta, a w dopiero ubiegłym wieku hałasił u wrót Europy i cywilizacji Tatar, w łacińskiej mowie Polaków także Scytą przewany.

Na jednym krańcu tego pobraża siadło w starożytności zbrojne stowarzyszenie dziewic, a kiedy jego dzieje zaczęły już w bajkę, oto na drugim punkcie tej okolicy wylęga się towarzystwo wojennych mnichów — bez Boga. Autor Pamiątek artystowsko postawił szlachcica polskiego pośród kozackiej zgrai; w Dziumdzuryku skreślił zajmujący wzór awanturnika, kładąc zaś w usta Soplicy nadzieję beatyfikacji pisarza siczowego, schwycił znamię pobożności narodowej, co grzeszyła zawždy zbytkiem zaufania w miłosierdziu bożem.

Hajdamaka jest rycerz wiodący już wojnę na swoją rękę, zanim bunt chłopów lub napad kozacko-tatarski da mu postąpić na polityczną osobę, jakich okropne grupy cudownie ułożył Goszczyński. Hajdamaka zasiada przed autorem Pamiątek, który z niego bierze bohatera do jednego ze swych obrazów, gdzie dramatycznie z nim zplata figury łowczego i porucznika kawalerji narodowej. Wyborny djalog, trafne dopatrzenie charakterów we wzajemnej przebiegłości rozwiniętej przy spotkaniu, zwłaszcza to zbadanie porucznikowskiej duszy, jak za pośrednictwem kielicha rad wchodzi w polubowne ugody ze swoim sądem i przywyka do zbójckiej kompanji — wszystko to rozlewa powab na powieść. Autor szczer-

dził farb przeraźliwych, nie poprowadził swego bohatera na pal, ani na szubienicę, czego by kto inny nie był zaniechał: owszem opromienił łagodnie koniec powieści. Jak morski rozbójnik Scotta, pan Pawlik chwyta za chorągiew narodową i jej szkarlatem osłania zbrodniczą swą przeszłość.

Nareszcie trzeci gatunek kozak dworski, co jest do Zaporozca, czem zwierz domowy do dzikiego, wyblysnął także podobny z pod pędzla autora. To on! Z wiernością i zmysłem pudła aportuje od pana Potockiego do pana Ogińskiego. Rozrzewniający dyplomata, jedyny rodzaj kozaka ambasadora, jaki ja pojąć mogę! Szerokimi szarawary i gromkim głosem nie będzie on straszyl salonów, nie domyśla się francuzczyzny, i wie że się jej nie domyśla, ale skromnie odnosi poselstwo serwaserem na łbie mu wypisane. Ma też swoją nagrodę, swoje radości. Sam pan Ogiński nalewa mu kielich wódki. Typ arcy-szacowny, pociągający serce: bogdaj się tylko przechował jak go tu autor Pamiątek nakreślił, i nie zapragnął, puszczając wodze ambicji, wchodzić w stosunki z sultanem konstantynopolitańskim.

Otośmy powiedzieli pokrótce nasze mniemanie o naturze przedmiotowości i artystycznym onej oddaniu w Pamiątkach, bez powziętego zamiaru nagany lub pochwały, ale jedną i drugą wyznając szczerze według wrażeń odbieranych od dzieła.

Pewien młody krytyk, przetrząsając z cierpkością utwory polskie wydawane w Paryżu, nazwał Pamiątki Soplicy chudemi wspomnieniami, przechowanemi lepiej w pamięci narodu. Zaczny ich wydawca Stefan Witwicki wnioskuje, że posłużą poetom i pisarzom romanów. Pierwszy z tych sądów zdaje nam się całkiem niesłuszny, a drugi niedostateczny. Pamiątki Soplicy nie są ni robotą społeczną malowanym wypadkom i w braku innej zasługi noszącą ślad okresu, ani gnojem Enniuszowym dla przyjść mających Wirgilich: są to już dzieła sztuki skończone w mierze talentu

XXXVII

pisarza; i aby w jedno wyrażenie zsumować, cośmy tu lub owdzie o tym przedmiocie powiedzieli, autor — byle nie pętał swej siły — odda usługę całemu społeczeństwu polskiemu, pozwalając mu widzieć się w swojej przeszłości. —



SPIS RZECZY.

	Strona
Od wydawcy	V
Przedmowa do drugiego paryzkiego wydania	IX
I. Kazanie konfederackie	1
II. Pan Dzierżanowski	6
III. Pan Bielecki	10
IV. Księżę Radziwiłł, panie kochanku	14
V. Książę Marek	26
VI. Pan Ogiński	34
VII. Tadeusz Rejten	41
VIII. Pan Rewieński	54
IX. Trybunał lubelski I.	68
" " II.	80
X. Król Stanisław	84
XI. Sawa	103
XII. Pan Czapski	115
XIII. Sicz zaporozka	123
XIV. Pan Leszczyc	139
XV. Pan Wołodkowicz	145
XVI. Pan Borowski	155
XVII. Palestra staropolska	169
XVIII. Ożenienie się moje	178
XIX. Kłagtor surlański	185
XX. Pawlik	190
XXI. Pan Rys	208
XXII. Stanisław Rzewuski	226
XXIII. Błogosławiona Anna z Omiecińskich	239
XIV. Pan Azulewicz	244
XXV. Zamek kaniowski	249
Domówienie wydawcy	265

I.

KAZANIE KONFEDERACKIE.

Było to w roku 1769, czwartego listopada, w sam dzień świętego Karola, a tak pamiętam, jakby to się działo onegdaj. Słuchaliśmy mszy świętej w kościele OO. Bernardynów w Kalwarji; kościół był jak nabity szlachtą, której mnóstwo panów przewodniczyło. Siedzieli w ławach: książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, solenizant, i Potocki, podczasy litewski, i Potocki, wojewoda kijowski, i Pac, starosta ziołowski, marszałek jeneralny Konfederacji, i Rzewuski, chorąży litewski; a któż wymieni wszystkich tych panów? I na sejmach więcej ich nie widać; oni siedzieli w ławach, a my stali, ba! nie tylko my, ale i urzędnicy nawet stali, bo do ławek nie łatwo było się docisnąć. Po mszy świętej ksiądz Marek Karmelita, na którego cuda zacni ludzie patrzali, zaintonował: Te Deum laudamus, a my szlachta śpiewali wtór i niektórzy panowie nawet: jako JW. chorąży litewski, Panie daj mu wieczny odpoczynek, bo to zacny był pan, i dziwnie basem śpiewał, choć, jak starzy mówili, trybem światowym. Śpiewał i JO. wojewoda wileński, ale już nie tak dobrze; ale wszyscy śpiewaliśmy ochoczo, bo też było za co Panu Bogu dziękować. Przed czytanie JJ. OO. i JJ. WW. Panom, nie zapominając i o nas szlachcie, pan Kazimierz Puławski, starosta warecki, porządnie był wytlukł Moskwę pod Lanckoroną i aż do Myślenic gnał Suwarowa; a i ja tam swoim nie szkodził, co mnie trochę szacunku i nieco nieprzyjemności przyniosło, jak się o tem powie. Po hymnie wstąpił ojciec Marek na ambonę; my wszyscy natężyli uszów: raz, że i łaknąć trzeba za słowem Bożem, powtóre byliśmy ciekawi, co też powie z powodu rocznicy urodzin JO. księcia Karola Radziwiłła, co był pan wielki, pobożny, dobrodziej szlachty i filar naszej barskiej Konfederacji,

a którego w dniu tym przepomnieć, nie zdawało się nam, aby było do rzeczy. Przeżegnał się ojciec Marek; jeszcze dziś patrzę na niego, i tak powiedział: «Święty Jan Ewangelista mawiał: Dzieciatki! kochajcie jedni drugich; i ja wam to mówię, a raczej wymówię, że tak nie robicie. Kochamy ojczyznę! mówicie, a między sobą życie w ciągłych swarach! Piękna to miłość ziemię kochać, a z ziemianami się wadzić. A wy panowie naczelnicy tej Konfederacji pod hasłem wiary i wolności związanej! Zamiast cobyście mieli dobry przykład dawać szlachcie, to albo sami ogień tworzycie, albo do gotowego drzewka przykładacie. Czyż wy usadziliście się znękać cierpliwość i miłosierdzie Boże, aby inne narody nauczyć, ile to trzeba grzechów, żeby aż ojczyznę zatracić? Wy się cieszyce wygraną pod Lanckoroną, a ja się smucę, bo ten dar Boży będzie wam powodem nowej Boga obrazy: powiększy waszą pychę, swawolę, waszą rozpustę! A kiedy bieda was nie poprawi, cóż to będzie z pomysłnością? Lękamy się Boga, mówicie; za wiarę, za biskupów wziętych walczymy i krew przelewamy. Bodajby tak. A to co się u Waszmości zrobiło na obiedzie, szósty dzień temu, JW. marszałku lubelski? Jak dwóch rotmistrzów związku twojego powadziło się, kiedy zapomniawszy o Bogu, z cierpkich przymówek przyszło do ograżania się, do korda: to ty marszałku, cobyś miał mitygować, godzić, bronić, nareszcie już nie jako wierny katolik, ale przynajmniej jako poczciwy gospodarz, cóżś uczynił najlepszego? Toś sobie z tego zabawkę robił! toś drugich panów zapraszał, żeby byli świadkami, jak się Lubelczycy tęgo w kordy biją. A o cóż to się bili? O honor Najświętszej Panny, o wypędzenie intruza, którego schyzma na stolicy naszej przemocą usadowiła? Nie, o głupstwo, aby wam panowie czas przyjemnie schodził. Niech się świat poleruje. Krew szlachecka dla pańskiej zabawy niech płynie! Takto niegdyś w Rzymie, nim papież nastali, bawili się pogańscy panowie, patrząc jak gladjatory się zabijali. A i ci przeciw krew szlachecką szanowali: bo gladjatory byli brance narodów Rzymowi obrzydłych, ale nie szlachtą rzymską. Otoż to wasza wolność! wasza równość! wasza wiara! Tacy to wy ojcowie ojczyzny! Nie masz ratunku dla was! Wkrótce ja pożegnam was; powrócę do klasztoru berdczewskiego, z którego bogdajbym nigdy był nie wyszedł! a tam będę błagał Najświętszą Pannę za sobą: tak za sobą, bo same patrzenie na wasze grzechy zmazało duszę moją. To wy ją nazywacie Królową! ... Pięknych Ona ma z was poddanych! Dziewica czysta i panińskiego serca ma panować nad wszetecznikami i burdami? Złoży ona wkrótce niegodną koronę, a wy raczej Lutra królem, a schyzmę królową ogłoście. To będą godni was panowie: jacy poddani, tacy monarchowie! A więcej nie powiem wam, bo nareszcie i duch boży znużył się w pierśsiach moich.»

Te wyrzekłszy, zszedł z ambony i przed wielkim ołtarzem uklęknąwszy, zaczął śpiewać: «Przed oczy twoje Panie.» Wszyscy stali jak wryci, nie mogłem widzieć co się natenczas działo z JW. Granowskim, marszałkiem w. lubelskim, ale jak mi później mawiał pan Mikołaj Morawski, natenczas porucznik pancerny księcia Karola Radziwiłła, który lubo dworzanin jego, miał do niego dziwną poufałość, i stał przy jego ławce, co ludzie pewnej okoliczności przypisywali, która, lubo o niej przemilczę, jemu samemu krzywdy nie przynosiła. Otóż ten pan Mikołaj więcej trzydziestu lat sąsiadując ze mną, nieraz powtarzał, że JW. Granowski tak się pocił, jak gdyby w łaźni siedział, a przecie to był czwarty listopad i dobry przymrozek na dworze: taki mu był wstydy. A nie bez słuszności; bośmy wszyscy wiedzieli, o co idzie. W sam dzień Zadużny zaprosił był na obiad obozowy panów i urzędników, i tych co się dnia poprzedniego popisali pod Lanckoroną, co i mnie dało wstęp do jego stołu, a swoich Lubelczyków wszystkich. Otóż między nimi był pan Snarski, tegi jeździec, nie ma co mówić, i łebski w potyczce, ale zwłaszcza przy kielichu wielki kłótnik. Jużto on i do mnie u stołu strzelał przymówkami, ale ja szanując gospodarza i dostojnych gości, wszystko mimo siebie puszczałem, raczej przysłuchując się dyskursom zacnych, niżbym się miał oglądać na jakąśiąką przymówkę. Tak tedy nie doczekawszy się ze mną zwady, i innych napróżno tentując: aż nakoniec dostał czem żądał od jednego ze swoich. Pan Bolesta, którego Mańku tem nazywali, lubo opodał od Snarskiego siedział, usłyszał iż ten się odezwał: Wiwat powiat urzędowski! czoło województwa lubelskiego! A że był ziemianinem łukowskim, markotno mu się zrobiło, i to mu wymówił. Od przymówek do wymówek. Jak zaczął ich podjudzać JW. marszałek i JO. książę wojewoda, przyszło do tak grubych wyrazów, że zgroza było słuchać: a z tego gospodarzowi jeszcze większy śmiech. Wyszli z izby, a porwawszy się do szabel, przy nas bić się zaczęli. Urzędowczycy swego, Łukowczanie swego, a JW. marszałek obudwóch zagrzewał. Ślicznie się obadwa składali; Panie Boże, przyjm to za żart! aż miło było patrzeć. Ale nakoniec silnie po łbie dostał Snarski; jak długi padł krwią obłany. Myśleliśmy, że już po nim, ale jakoś przyszedł do siebie, a potem cyrulik tameczny jak zaczął mu chleb z solą do rany przykładać, a krew puszczać z ręki, cierpiał ci on jak w czyszczeniu; alem go jeszcze kilkanaście lat potem widział na kontraktach dubieńskich wojskim urzędowskim, z głęboką kresą, ale zdrowego i opamiętałego. Jak ludzie mówili, bardzo był szacowanym w swoim powiecie; a co się zrobiło z Bolestą, prawdziwie do dziś dnia nie wiem; ale dawno musiał umrzeć.

Wracam do swego. Książdz Marek śpiewał, ale sam jeden; bo my wszyscy tak się zadumali, że muchę by można usłyszeć,

lubo nas było óma, bo żaden z kościoła nie wyszedł. Książ Marek po odśpiewaniu pieśni znowu na ambonę powrócił: co nawet starych zadziwiło, bo nikt nie słyszał, aby kiedykolwiek książdz lub zakonnik jednego poranku dwa razy kazał; ale my wszyscy ciekawi byli słuchać, raz że to był święty człowiek, powtóre że do przekonania mówił, a nakoniec, prawdę powiedziawszy, choćmy szczerze do panów byli przywiązani, nie byliśmy od tego, żeby nie słuchać, jak też i im *verba veritatis* prawią. Dostyc, że książdz Marek powróciwszy na ambonę, tak mówił: «W piersi uderzyć się muszę, że w dniu urodzin i imienin twoich, JO. książdz wojewodo wileński, dostojny wodzu naszego związku! zdawałem się na chwilę o tobie zapomnieć. Twoje i twoich przodków zaślugi, poświęcenie się twoje dla ojczyzny, miłość szlachty i ta żywa wiara, którą ci Bóg, pomimo twoich błędów zostawuje, warte ażebym się z tego przed obliczem was wszystkich skruszył. Dam ci więc w dniu, tak dla ciebie, a więcej jeszcze dla nas uroczystym, wiązanie najdroższe: bo go nigdzie nie otrzymasz, jeno w domu Bożym! To jest prawda, że jako prawy Polak, gościnne i uczynne twoje serce żadnej korzyści mieć nie chce, którejbyś drugum udzielić nie mógł. Wielce mnie pochwalisz, że w tej prawdzie, w tem wiązaniu tobie ofiarowanem, inni dostojni koledzy twoi swój także udział otrzymają. A jeżeli ciebie i kolegów twoich nie przekonam, że to co mówię, jest prawdą: każdemu z was wolno mię zawstydzić, mieniąc kłamcą. Bóg często dla korzyści drugich, niegodnym sługom swoim wielkie rzeczy objawia. W tym względzie doświadczałem i ja jego łaski. Oto rok siódmy temu, gdy w celi mojej gorzko płacząc nad ojczyzną, modliłem się, ujrzałem Anioła Polski. Widziałem go tak jak na was przytomnych patrzę; a Bóg raczył udzielić siły, żem mógł znieść oblicze tego mocarza niebieskiego. Wiele on rzeczy mnie powiedział, których objawiać mi nie wolno; ale to co mi się godzi, to wam powiem bez ogródki: bo anioła rzecz ani szlachcica, ani pãna, ani króla nawet obrazić nie może; wszak każdy jest kmieciem przed nim. — Marku, powiedział mi anioł, źle się dzieje z ojczyzną twoją. Nierząd ją zgubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z pocziwszych rządzić nie chce. Król Sas, którego wszyscy kochają, a nikt mu nie pomaga, lada dzień zamieni koronę doczesną na wieczną, i będzie to co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić nie chce, aby go podjął. Pod różnemi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się: zawsze ta sama odpowiedź; przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo. Byłem u Radziwiłła, wojewody wileńskiego; mówiłem, błagałem: jedź do Warszawy! zajmij się rządem! cała Litwa twoja! ratuj ojczyznę! . . . Aż płakał, tak się rozczulił: ja z torbą pójde, powiedział, a niech ojczyzna będzie cała. — Ale tu nie idzie o ofiary z majątku, lub narażania życia; siedź

w Warszawie i zajmuj się rządem. Oto wiesz, com wycisnął nakoniec? — Panie kochanku, ja będę w Warszawie rządził, a mnie P. Michał Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedźwiedzie wybije? — Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan obszernych włości i coby je chętnie dla ojczyzny poświęcił; ale uczciwszy uszy, jakże tu siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem miecznikiem ciesielskim pić w Szorstynie, kiedy pani wojewodzina, siedząc w Krystonopolu, myśli że mąż folwarki objeżdża? — Byłem u Sapięhy kanclerza. Nie może! Kocha ojczyznę, ale rządząc, nie można mieć procesorów, a jakże żyć bez konferencji codziennych prawie z jurystami? — A pan Mniszek, marszałek wielki koronny, kocha ojczyznę, ale bała, bała, jak zasiądę się w Warszawie, kto będzie w Dukli dyspozytorów uczył gospodarstwa i co sesji do roboty napędzał? — A pan krakowski? Tego to Panie Boże jedyny! niechno się obmuruję w Białymstoku, to i o ojczyźnie pomyślę. — A książę Sanguszko, wojewoda wołyński? — Moś panie, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje? — Otóż taka wasza miłość ojczyzny, i dla tego tułacie się, żeby odzyskać coście dobrowolnie utracili. Niechże to za naukę wam posłuży nadal i waszym potomkom; płyńcie na desce, kiedy już wygodny okręt przez niedbalstwo wasze odbiegł od lądu. A przynajmniej teraz, zaklinam was w imię Chrystusa, nie ustawajcie w przedsięwzięciach waszych; może wam Bóg pobłogosławi jednomyślnością; a w przeciwnym nawet razie, żadna wasza usilność dla ojczyzny straconą nie będzie. Myślcie w Bogu o ojczyźnie, ale tak czyńcie, jakby ona jedynie od was zależała.»

Mówił ów ksiądz Marek wiele jeszcze innych rzeczy pięknych. Płakaliśmy, a razem pocieszaliśmy się. Myślałem że panowie, których wytknął, rozsierzdzą się na niego; ale nie. Owszem każdy z nich wychodzącego uprzejmie powitał i w rękę pocałował. a solenizant na obiad zaprosił, gdzie, jakem się później od pokojowych dowiedział, kolejnym kielichem wszyscy panowie zdrowie księdza Marka spełnili.

II.

PAN DZIERŻANOWSKI.

Byłym charakterem na wołowej skórze by nie spisał, jak i ile razy Konfederaci barscy popisali się. Gdzie tylko armat nie było, nigdy nam Moskwa placu nie dotrzymała. A ludzi tak zgrabnych jak naówczas, to i teraz nie widać. Między zgrabnymi jakże nie porachować pana Franciszka Dzierżanowskiego, herbu Grzymała, a pułkownika pułku gumbińskiego, u którego miałem wielką łaskę, gdyż mi się udało jemu raz życie ocalić, a przynajmniej wolność: ale tak i życie, bo nie był on z tych, co ich łatwo żywcem dostać. Będąc ja z nim zażyły, ile że on był wielmożnym, mógłbym jego kronikę napisać. Jego ojciec był sługą i przyjacielem ordynatów Zamojskich, i od nich miał w dożywociu Sułowiec pod Zamościem. Miał kilku synów, którzy dobre wychowanie wzięwszy po pańskich dworach, potem na ludzi wyszli. Ba, brat jego najstarszy był u nas marszałkiem i o nim mawiano, że nawet był podobno gdzieś królem. Ale pan Franciszek z gramatyki uciekł i przystał na szeregowego do pułku Mirowskich. Ledwo czytać umiał, i to jak Pan Bóg dał, a kiedy co napisał, bies by się nie doczytał czego on chce; ale o dwadzieścia kroków na koniu siedząc, nigdy z pistoletu tuza czerwienego nie chybił. JW. Mniszech, podczaszy W. K., a szef pułku Mirowskich, miał sobie za zabawkę szczególną widzieć go potykającego się w palcaty olejem i kredą namalowanemi; na niego bywało sześciu nasadzał, a on wszystkich sześciu kredą obznaczał, a jemu nigdy nic, co mu też na złe nie wyszło, bo JW. szef poruczeństwo mu w tym pułku kupił. Ale jak tylko Konfederacja barska nastąpiła, on podmówiwszy cały swój szwadron, kasę pułkową zabrawszy, pułkownika swego Larzaka, do którego miał anse, dom zrabowawszy, z Konfederatami się złączył. Nagradzając tę jego ku dobrej sprawie przychylność, ge-

neralność zrobiła go pułkownikiem powiatu gumbińskiego, upoważniając do werbowania pułku i wszystkich oficerów fortagowania; a wkrótce pan Franciszek stanął na czele pułku wcale pięknego, który aż do rozwiązania Konfederacji ciągle się popisywał. Co to były za piękne mundury! Czamarki i szarawary błękitne, żółte wyłogi; a sam pułkownik prócz olstrowych, nosił jeszcze za pasem parę pistoletów, szablę u boku, a na plecach sztuciec, z którego bywało jak wystrzeli, Dony jak chrząszcze padają. Nadokuczał on Moskwie! To też mówiono: że Drewicz w imieniu Carowej deklarował, że kto go żywcem przyprowadzi, zostanie gubernatorem petersburgskim, chociaż by był prostym kozakiem; ale on tego nie uważał, i tak się narażał, jakby za jego głowę halerza złamanego nikt nie dał. Demulier (Dumourier) wielce jego i jego pułk cenił, ale mu było przykro, że bez tłumacza nie mógł z nim rozmawiać. Demulier po łacinie gadał jak jezuita, i do nas tym językiem zawsze; ale pan Franciszek Pana Boga po łacinie nie umiałby nazwać, a cóż dopiero w dyskurs się wdać. Nadrabiał ci fantazję, bo mocno to go sromało, że on jeden z ludzi stopniowych między nami, co po łacinie ani słówka; ale temu nie można było zaradzić. Staliśmy obozem pod Tyńcem. Demulier miał nad nami komendę, nawet pan Kazimierz Puławski był jemu posłuszny. Owoż tedy wychodzi ordynans, aby nikt pod karą najdroższą nie ważył się po czapstryku samopas z obozu oddalać się, a to z powodu, że Moskwa okolice pładrowała, a Dony odosobnionych chwytaly. Ale ten ordynans nie był panu Franciszkowi po myśli, bo o półtora mili od Tyńca, w Burzymowie mieszkała pani sędzina Sulejowska z domu Bonerówna, pierwszego ławnika krakowskiego córka; wdowa w średnim wieku, urodziwa, dobrego rodu, bo jak wiadomo: *civis cracoviensis nobilitate*, i bogata; pomimo dożywocia na mężowskim Burzymowie, miała sto tysięcy własnego wniosku i porządków mnóstwo. Otóż pan Franciszek poznawczy ją w Krakowie, do jej przyjacieli wzdychał. Stanąwszy tedy pod Tyńcem, a dowiedziawszy się w karczmie u żyda, że wielmożna sędzina tak blisko, niepospolitą poczuł ochotę oferta u nóg jej złożyć, ile że miał dobrą nadzieję, to jest z jej strony; bo jej familja była mu ciągle przeciwna. Raz przy kielichu, gdy panu ławnikowi oświadczał się, prosząc o wsparcie, pan Boner spolitykował, mówiąc: moja córka od siebie zależy będąc wdową, a potem panowie wojskowi żartować lubią. I gdy na usilne naleganie konkurenta zawsze mu jedno, ni to ni owo powtarzał, tak pana Franciszka zniecierpliwil, że mu powiedział: A jużci szabli mojej na lokcie nie zamienię, bom szlachcic całki, a nie przez pół. Tem sobie więcej jeszcze sprawę popsuł; chociaż gdyby się był nie wiedzieć jak w baranią skórę podszył, niczem by nie wskórał, bo familja sędziny miała wielką nad nią przewagę, a na takowe małżeństwo

nigdyby nie zezwoliła, ile że pana Franciszka za nałogowego kartownika trzymano. W Krakowie po całych nocach grywał, i tak ślicznie się ogrzał, że gdyby mu pan Zaręba nie był pożytył trzysta tyńfów, nie miałby o czem na wiosnę wojny rozpoczynać. Otóż tedy pan Dzierżanowski tak pięknie wysunął się nam z obozu do Burzymowa, że oprócz jego Gumbińczyków nikt się ani spostrzegł. Aż tu przededniem usłyszeli żołnierze strzały. Jego sztuciec ledwo nie jak harmata hałasował; a że ci żołnierze byli z jego komendy, wiedzieli o co rzecz i obudzili pana regimentarza Zarębę, u którego byłem na ordynansie. A ten do mnie: Otóż ten szalawała i biedy narobił! Obaczysz co to będzie za kłopot. Weźże waszmość dwadzieścia koni z sobą i ratuj go jak możesz. — Ja w cwał z Gumbińczykami; było cicho, ale ledwo godzinęśmy ubiegli, aż tu słyhać znowu gęste strzały; i tuż świtać zaczęło, aż tu widzim chmurę Donów. Jak huknę: Nacieraj! Bóg z nami! Kozactwo w nogi, tylko pan Franciszek na koniu, koło niego kilka koni, a on między niemi jak furman na wozie. — Panie pułkowniku, jak się masz? — A on na to: — Niech ci Bóg odplaci, i wam koleczy, otos mi brat; ale mię djable spisa pocalował, patrz! — W istocie ramię miał skłute i krew się sączyła. Na ziemi trzech kozaków leżało, jeden jeszcze się ruszał. — Dobijcie tego psa, niechaj więcej już nie kąsa! — Tego Gumbińcom dwa razy nie trzeba było powiadać. — Winszując pułkownikowi, trzech położyłeś. — Oho, pójdzno bratku o pół mili dalej, tam czterech leży, oto ich konie; przez tę chudobę omal mnie kaduk nie spiskał. Pokazało się, że gdy wracał późną nocą z Burzymowa do obozu, czterech Donów zrobiło zasadzkę, ale że Kozak większy niż tuz czerwieny, wszystkich czterech położył; mógłby tedy bez szwanku do obozu powrócić. Ale zrobił mu się żal opuścić kozackie konie; zatem dostawszy ich, powiązał ich cugłami do swojego; szczęściem tylko że broń na nowo nabił, ale już wolnym musiał stąpać krokiem ku Tyńcowi, a tak inne Dony mieli czas go doścignąć. Poplątany kołmi, nie po myśli mógł się obracać; strzelał ci wprawdzie, ale uciec nie było sposobu. Żebym nie był przybiegł na ratunek, nie wiem coby się z nim stało, i dla tego silnie mnie polubił. Kiedyśmy już bezpiecznie wracali — Sewerynie, bratku, mówił do mnie, a cóż to będzie ze mną w obozie, żem wylazł pomimo rozkazu? — Pan regimentarz markotny, ale pułkownika kocha. — A on mnie: Mniejsza o regimentarza, bo to szlachcic jak i ja i jak waszmość, porozumieć się łatwo, ale ten utrapiony Niemiec (u niego każdy zagraniczny człowiek był Niemcem), żeby mię nie kazał na kobyłę drewnianą wsadzić dla przykładu. Powiedźże mu, że jak ja na nią siadę, niechże piłnuje żebym nie zszął, bo mu w łeb strzele jak psu. — A ja jemu: Panie pułkowniku, zaniechaj tego, bo i siebie zgubisz i sprawę oszpecisz. — Skończyło się na mniejszem: bo

generał Demulier konie zabrane odebrał, a jego na 10 dnił do aresztu zaparł, co mu było i potrzebne, bo dało czas plejzer wygoić. Chciał mnie on zrobić rotmistrzem w swoim pułku, i to mi było do smaku, że i mundur ładny był, i gotowe miałem zasługi; ale ludzie mnie odwiedli, a szczególnie wielmożny Korsak, porucznik Piatyhorców, który opiekował się ze mną i mnie świadczył zawsze. On mi mawiał: Żyj z Dzierżanowskim jak z kolegą, ale do jego pułku nie przystawaj, bo duszę zgubisz; on Pana Boga się nie boi, swoich i cudzych rabuje, a nierząd lubi że aż zgroza. Już to różnie bywało, ale że wierzył po katolicku, tom świadek, bo i szkaplerz nosił i pacierz mówił; tylko że był stępy do książki, a k'temu na miejscu ustać nie mógł, nadto krótko się modlił, dla tego miano go za heretyka — ale to niesłusznie.

III.

PAN BIELECKI.

Wszystko dawniej szło lepiej niż teraz. Takie przestępstwa, co by je dzisiaj miano za żart, to ludzi gorszyły i widocznie kary od Boga ściągały; a teraz już namnożyło się tyle złego, takie paskudztwa, o których dawniej ani słychu, że Panu Bogu naprzykrzyło się karać; zdaje się mówić ludziom: «róbcie co chcecie.» A na co Pan Bóg ma widoczne kary zsyłać, kiedy w niego albo wcale nie wierzą, albo wcale nie tak jak potrzeba? Jak kto przeczyta kiedy to, co teraz napiszę, nie będzie temu wierzył, a ja i tysiące ludzi na to patrzali; wreszcie dla wnuków moich to piszę, którym takie starałem się dać wychowanie, że dziada poczciwego za bazarza mieć nie będą. — Oto był u nas już nie młody Konfederat, ale jeszcze czerstwy, nazywał się Bielecki; imienia nie pomnę. Że był dobrym szlachcicem, dowód, iż go tytułowano sędzią grodzkim; że był możnym, świadczą trzydziestu jeźdźców zbrojnych, których aż z Mściśławskiego z sobą przyprowadził; a że był światłym, to powiem, że na własne uszy słyszał, jak z generałem Demulier (Dumourier) po francuzku rozmawiał. Do tego pobożny jak ksiądz i dziwnie łagodnego przystępu; a chociaż obywatel możny i k'temu urzędnik, pokorny jak kwestarz; my wszyscy za niego ubić by się dali; a patrzcie jakich ten obywatel szczególnych doświadczał kolei. Oto był dworzaniem u Augusta wtórego i jego posiadał względy. Pan ten acz wielkich cnót, widno że z pierwiastkowego luterskiego wychowania przyniósł (Boże mu przebaczył!) w łono kościoła Bożego nieco skłonności do rozwiązanego życia. Pewnego wojewody żona wpadła mu była w oko, której nazwisko lubo mi wiadome, wymienione nie będzie, gdyż jej prawnuki teraz żyjące, ze wszech miar szanowne, nie radeby, aby o tem wiadano, iż pochodzą od przodka, któren się nie dobrze pro-

wadził. Powiem tylko że ta pani była urodziwą, rozumną i długi czas nawet cnotliwą; a król coraz silniejsze do niej czując zapaly, używał dworzanina swojego Bieleckiego, aby zabiegami swojemi torował mu drogę do cudzej własności; a pan Bielecki jakby nie wiedział, że co Bóg zabrania, z tego król rozgrzeszyć nie może, z wiernością sługi panu pomagał. To się wnącał do domu wojewody, nigdy przed szlachtą nie zamkniętym; to listy nosił, to nakoniec rozmowami swemi, jakto zwykle wiele na wystawieniu rzeczy zależy, przyczynił się o ile mógł do osłabienia przekonania, i ztąd wielkie zło wynikło. Pan wojewoda, zelanł o sławę swoją, jako chrześciańskiemu senatorowi przystoi, zaczął żonę podejrzwać i mieć się na ostrożności. Razu więc jednego, gdy obaczył pana Bieleckiego wychodzącego z pałacu, kazał go schwycić przez hajduków swoich i dopoty mu wytrząsać odzienie, aż z niego wypadł list wojewodziny do króla. Przeczytawszy go i wiele złego wysłedziwszy, nie zważając iż pan Bielecki się składał, że jest szlachetnie urodzonym i komornikiem królewskim, kazał go zbić na kwaśne jabłko i wpół umarłego z bólu wyrzucić na ulicę, za dziedziniec swojego pałacu; a żonę natychmiast z Warszawy do dóbr swoich wywiózł i tam osadził ją w klasztorze panien zakonnice, fundacji jego domu, w którym to klasztorze i dni swoje w wielkiej pobożności i skrusze zakończyła. Pan Bielecki odszedłszy z bólu, nie mając nawet środka do poszukiwania swej krzywdy, napróżno od króla, pierwszej sprężyny swego nieszczęścia, był pocieszonym i obdarzonym. Tyle doświadczał wzgardy i poniżenia od wszystkich (bo komuż jego wypadek był tajny?), że nie tylko dwór, ale świat nawet był mu w obrzydzeniu, i gdyby nie był natenczas żonaty, do klasztoru byłby wstąpił. Dobry król, litując się nad jego dolą, dawszy mu znaczną królewszczyznę w Mącisławskiem, wyjednał mu, iż go JW. Pocię wojewoda instrumentował sędzią grodzkim tamecznym; a pan Bielecki z majątkiem i znaczeniem gotowem przeniósł się do tego województwa oddalonego, gdzie, albo nie wiedzieć kiedy, albo i wcale się nie dowiedzą, co też to tam komu zdarzyło się w Warszawie. I długo też mu Pan Bóg szczęścił; bo znacznie majątku przyrobił i do niemalej wziętości przyszedł u tamecznych obywateli, co mówi za jego światłem; bo wiadomo że w naszej Litwie, zwłaszcza zapadłej, nie łatwo szlachcie oswoić się z przybysem. Ale po wielu léciech, jak to zawsze czleku zło na biedę dojrzewa, już nie wiem jaką drogą, aż i tam doszło o wszystkich okolicznościach, które to niegdyś przebył w Warszawie, i rychło się po wszystkich uszach rozeszło i rozgnieździło się po pamięciach, i od niechętnych, na jakich i najlepszemu nie zbywa, do ozębnych, a potem do przyjaciół choć najgorliwszych, tak się wszystko roztrąbiło, że i tu w końcu oczu nie można było pokazać. Ani go na kondesensje zapraszano, ani u niego bywano;

a kiedy na jaki sejmik jako sędzia grodzki przyjeżdżał, to choć nieborak ust nie otworzył, miał się czego nasłuchać od tych, co to sprawy w grodzie przegrywali. To go pytano: gdzie rzemień tańszy, czy w Warszawie, czy w Mścisławie? To mu gadano o rozdziale XIV. artykule 36. statutu litewskiego. Na pochyle drzewo, jak mówią, i kozy skaczą; dosyć, że widząc pan Bielecki, że między ludźmi poszedł w poniewierkę, i że trudno mu będzie dziaćki, których miał dosyć, w przyzwoitych małżeństwach postanowić, a jeszcze trudniej między szlachtą promować, wielce się zasmucił; a nareszcie sęstwo złożywszy, ślubował Panu Bogu, że jak niegdys książę Radziwiłł Sierotka, grób Pański nawiedzi, tusząc, że za to Zbawiciel zdejmie z niego sromotę. I dobrze się na tę podróż gotował; siła nagromadził pieniędzy, że mógłby za nie ledwie nie drugie tyle dóbr nabyć, ile ich miał, choć miał ich nie mało; i już się zabierał do podróży: a właśnie Konfederacja Barska nastała. Otóż pewien tamiecznych stron dominikan, co był i wielki teolog i świętobliwy zakonnik, a któremu mocno pan Bielecki wierzył, zamienił mu ślub w ten sposób: iż mu rozkazał wszelki grosz co nagromadził użyć na uzbrojenie ludzi do Konfederacji i samemu osobą swoją do niej akces uczynić. Zapewnił go, że działając w związku za wiarę i ojczyznę walczącym, takie same zyszcze odpusty, jakby na pielgrzymce. W czem, jak mi się widzi, domnikania że był natchnionym pokazało się, raz że kilko-, a może kilkonastoletni zamiar w jednej chwili przemienił; powtóre, że go skutek usprawiedliwił. Tak więc pan Bielecki trzydziestu ludzi na dzielnych koniach uzbroiwszy, przyprowadził ich do generalności w Mohilowie nad Dniestrem znajdującej się. A chociaż od młodości będąc to dworakiem, to urzędnikiem, sędziwego doczekał się wieku bez żadnego doświadczenia rycerskich zabaw, ślubował jednak Panu Bogu, że przynajmniej trzy razy osobiście w boju znachodzić się będzie. Jakoż w ciągu naszej Konfederacji trzy razy znachodził się gdzie ciepło, a na każdy raz nosi na sobie niezaprzeczonego świadka. Naprzód był przy Jarosławiu zdobywciu, z panem Rudnickim, co się później spaskudził, ale u nas był bardzo dobrym, i tam dostał strzał w nogę; a gdy przyszedł do zdrowia, był z nami pod Lanckoroną, gdzie nam była wielka pociecha, jemu z bolem przymieszana, bo kulą dostał w sustawę od ręki. Gdyby to komu z nas, pewnieby ręka uschła, jeno że on miał ku wszystkiemu sposób: załatawszy ranę na przedce, kolasą na Bielsk się wywiózł, to tam ledwo Niemcy mu doradzili, że odrobinę władzy w rękę zachował. A tak po długiej kuracji, gdy do zdrowia przyszedł, lubo jego ludzie ciągle z nami chodzili, gdzie potrzeba, on pamiętał na ślub swój, że mu jeszcze jednej bitwy do rachunku nie staje. Aż w Częstochowie pod okiem właśnie Najświętszej Panny, uzupełnił, co Panu Bogu przyobiecał; bo gdy nas pan Kazimierz Puławski na wy-

ciezkę wyprawiał, on z nami wyruszył z własnej ochoty, a wystąpił wedle zwyczaju jak do króla na biesiadę. Miał taratatkę pousovą, ze złotemi potrzebami, i pas bity. Pan Puławski, co zawsze skromnie się nosił i tych przepychów w wojnie nie lubił, a był żartobliwym, powiedział mu: Panie sędzio, opamiętaj się waszmość, cały jesteś w złocie jak szczupak w szafranie na wilję; chcesz, widzę, aby cię miano hetmanem całego chrześcijaństwa. Idź przebierz się, panie bracie, a nie ucz cudzych kul, kogo najpierwej witać mają. — A on mu na to: Mości starosto dobrodzieju, wszak toć jam nie dzisiaj się urodził. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi; jak zechce, znajdzie on mnie, choćbym pod ziemią się schował; a jeżeli nie, to wyjdę bez szwanku i od mędrzych strzelców niż Moskale. — A pan Puławski: Jak książka mówisz, mój sędzio; kiedy tak dobrą masz wiarę, niechże w las pójdzie moja przestroga. Kto robi co potrzeba, niech się nosi wedle woli swojej. — A pokazało się, że każdy z nich był praw: bo dragon mu gębę przestrzelił w oczach naszych, jako pan Puławski ostrzegał, że go łatwo na cel wzięść; ale jak mówił sędzia, bez woli Pana Boga toby się stać nie mogło, o czem ani ja, ani żaden Konfederat barski, ani żaden poczciwy a polski szlachcic wątpić nie może. Otóż pan Bielecki, gdy długo w Częstochowie wylizywał się, opowiadał nam wszystkie swoje zdarzenia, dodając: — Jużem teraz sobie rad, boć wszystko się dopełniło; zgrzeszyłem nogą, chodząc gdzie nie potrzeba; ręką, bom nosił listy ku złemu; a gębą, bo nie do dobregom namawiał: a gdzie zgrzeszył, tam mnie Bóg dotknął, w czem niech mu chwala będzie, a już ja do domu spokojnie wrócę. Jakoż zostawiwszy swoich ludzi i na nich grozząc panu Puławskiemu, z jednym pacholkiem puścił się do Mściślawia, z nami czule pożegnawszy się.

Właśnie trafił na sejmik, gdzie podkomorzego wybierano. Kilka było partji i nie mogła szlachta się zgodzić; ale ledwo się zjawił pan Bielecki, Konfederat, jednomyślnie go obrano podkomorzym. A toż nie cud oczywisty! Tu dopiero był u nich w takiej poniewierce, że aż grób Pański chciał nawiedzić, a tu ci sami jego na pierwszy urząd województwa wynoszą; dopiero tułacz, a teraz princeps nobilitatis jasnie wielmożny, jakim i umarł — a że w wielkiej pobożności, zdaje się, iż o tem nikt wątpić nie będzie.

IV.

KSIĄŻE RADZIWIŁŁ PANIE KOCHANKU.

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny: więcej czterech tysięcy szlachty nas zjechało się na wybory pisarza ziemskiego. Po śmierci pana Tadeusza Danejki, książę wojewoda wileński prowadził pana Michała Rejtena, brata owego sławnego Tadeusza, tak z zacności rodu, jako i z osobistych zasług powszechnie w województwie lubionego; a że zwykle wybory u nas były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło, ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczej. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi nowogrodzkiemu, że najmniejszych wpływów w sejmikach województwa nie mieli, i że dla zachowania jakiejś powagi, radzi nie radzi, musieli się księciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejteny z licznymi swojemi koligatami rej wodzili w partji Radziwiłłowskiej, usiłując JW. Niesiołowski ją rozdzielić, namówił pana Kazimierza Haraburdę, męża rodzonej siostry Rejtenów i potomka owego sławnego wojewody smoleńskiego, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie: co nie mało zgorzienia przyniosło województwu, okazując szwagrowi zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdę, ażeby tej krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego pokilkakrotnie zdrowie pito jako przyszłego pisarza; że on sam z początku nie był mu przeciwnym; że ta braci niezgoda wszystkich gorszy; że z tego ciężki grzech mu będzie, a nakoniec, że nie ma podobieństwa, ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszystkie te słowa tyle na nim zrobiły wrażenia, jak garść prochu rzucona o ścianę. Gdy obywatela zjechali się w Nowogródku do kalsztora bernardyńskiego na Porcjunkulę, a między nimi znaj-

dowali się obaj szwagrowie, tam starano się ich pojednać; ale jak zaczął pan Haraburda wyrzucać szwagrowi, to że go ukrzywdził w wyplacie posagu siostry, to że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć, a nie mozić się nad dokumentami, to że choć pan Michał zausznikiem nieswiezkim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciółach, pan Michał porwał się do szabli: i gdyby bernardyni nie byli wyprowadzili pana Haraburdę, podczas gdy pana Michała reflektowała szlachta, refektarz zostałby skrawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich pogodzić, a czas sejmikowania nadchodził; właśnie wypadła okoliczność, z której JW. wojewoda nowogrodzki wielką sobie robił nadzieję, i która nieomal przyczyniła się do uczynienia twardym pana Haraburdę. A to był postępek księcia wojewody wileńskiego z wielmożnym Józefatem Tryzną, strukczaszym nowogrodzkiem, który to postępek wielu gorliwych przyjaciół Radziwiłłowskich oburzył, z czego zresztą umiała korzystać partja księciu Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z Radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże to Naliboki Tryznianka kiedyś w dom Radziwiłłowski wniosła, a większa część funduszów klasztoru żurowieckiego była darem Tryzny, antenata strukczaszego. W kancyzkach żurowieckich jest o nim wzmianka:

Któż nie przysna,
 Że pan Tryzna
 Był mąż świętobliwy, i t. d.

Otóż pan strukczaszy, prócz sumy zastawnej na radziwiłłowskim Koldyczowie, nic nie posiadał; zastawa była jak może być najtańszą, i kto inny mógłby z niej na szerokie wyleźć dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądz się nie trzymał: Maciek zrobił, Maciek zjadł, a często więcej zjadł jak zrobił. Już to tam i moich parę tysięcy na tamten świat z sobą zaniósł; ale na ostatnim sądzie pewnie upominać się nie będę, bo jeśli nie zjadł z nim beczkę soli, to pewnie z pół antała z nim wypilem jego własnego wina, nie rachując miodu. Że on nie miał prócz jedynaczki córki żadnego potomstwa, że na nim dom się skończył, a że panna z urodą i tak dobrego gniazda, nie potrzebowała posagu, aby się w dobrem małżeństwie usadowić, jakoż później za bardzo możnego witebszczanina Syrucia, starostę czuchłowskiego, wyszła: więc poniekąd był wymówionym nasz strukczaszy, że się na przyszłość nie oglądał. Pan Tryzna był ludzki, wesoly, ale czasem popędliwy. Razu jednego, w same żniwa, książę wojewoda wileński, nie uprzedziwszy go, właśnie jak piorun wpadł z licznem myśliwstwem, aby spolować lasy koldyczowskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstarościemu, by żniwiarzy

naglił da roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze księcia, wymawiając, aby natychmiast obławę do lasu posłał; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tam cierpko dopominali się u niego, iż go zniciępliwwi. Odmówił im ludzi, ofuknął ich i miał niby powiedzieć wedle ich relacji: że kto w czasie żniwa poluje, temu piątej kleпки nie dostaje. Jak wrócili dojeżdżacze, a ich relacja zaczęła biedz po szczeblach dworskich, a ciągle rosnać, (ile że pan Mikuć, sekretarz księcia, miał żal do pana Tryzny, z powodu iż konkurując o jego córkę, w jego domu był traktowany harbuzem, więc dogadzając zemście, udał go przed księciem). Książę tak mocno to uczuł, że jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka Zdrowaś Marja mowa mu była odjęta, a potem jak zaczął ryczeć, to się lasy koldyczowskie zatrzęsły; a w niepoHAMowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo gromady panu Tryźnie i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło, nawet z nieludzkością, bo aż lękając się o skórę pan Tryzna, uciekł z tem tylko, co miał na sobie; to jeszcze szczęście, że wielmożna strukczaszyzna z córką były wyjechały na odpust do Pińska, uczcić błogosławionego Bobole; zgola, że piechotą gospodarz Tryzna umknał i aż w okolicy Raców się oparł, a ztamtąd dostawszy podwodę, udał się do Nowogródka, gdzie manifest zanosił przed grodem, a razem i pozew po księciu o irytację kontraktu i ekspulsją.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem atentować od księcia, i przed strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpuścił, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo wiedziałem dobrze że nasza sprawa była hrzydka. Ale cóż? czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan strukczaszy nie miał mi tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunku, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić: bo przytomny będąc konferencji poprzedzającej kroki prawne, odezwałem się przed wielmożnym Radziszewskim, chorążym starodubskim, a jeneralnym księcia plenipotentem, że nie wiele mam ufnosci w prawności naszej; jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc: Waćpana rzecz atentować i bronić sprawy księcia, a nie jej przyganiać, i za to jesteś płatny. — A tem mnie zamknął gębę. Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją wprowadzić do ziemstwa, a nie do grodu, bo gród nowogródzki był jurysdykcyjną wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądził; a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z grodu, gdyż do niego poszły powodowe; a nakoniec sprawa ekspulsyjna, uczynkowa, w samej rzeczy do jurysdykcji grodzkiej należy; i lubom stawał na tem,

że już została z naszej strony podana illacja do trybunału pro determinatione fori, nie zważając na to sąd grodzki, kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan strukczaszy zyskał na księciu Radziwille kondemnację. Ale cóż? — Cieszył się kondemnacją nieborak na bruku osadzony, a książę jak zajął Kołdyczów, tak go trzymał. Na następnej kadencji, widząc że nie ma sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu forum, innego skoku próbowałem. Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu, iż jest krewnym strony powodowej. Pokrewieństwo było dalekie, bo pan Kajetan Uzłowski, sędzia grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczyka krajczyna Tryznina, macocha strukczaszego, primo voto była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną dla zerwania kompletu, bo pan sędzia oświadczył: że ponieważ książę wojewoda w nim ufności nie ma, a obok tego on nie wypiera się zaszczytu koligacji sobie zarzuconej, więc sądzić nie będzie, i ustąpił z swojego miejaca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w non sunt i kadencja spełzła. Było trochę krzyku za to na sędziego, i strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dla tego uchylił się, że sędzina chce być na ś. Karol w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że pan Leon Borowski ofiarował mu za to szubę rysią w imieniu księcia; ale Bóg świadek, że to była obmowa.

Aż tu nadszedł sejmik na pisarstwo ziemskie, na który książę wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał, tem więcej, że chciał utrzymać p. Michała Rejtena, co był Radziwiłłowskim duszą i ciałem. Zjechał książę w trzydzieści pojazdów do klasztoru bernardyńskiego, którego był syndykem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli cisnęli się zakonnicy. Sam książę stał w celi gwardjana, jako najobszerniejszej; ale w nocy kotowi w niej ledwo przecisnąć się można było; bo oprócz księcia, pokotem leżeli: pan Michał Rejten, Bukowski szatny, ojciec Idzy, co był wielkim egzorcystą, (a że książę złych duchów się obawiał, wymówił sobie, aby w celi blisko niego spał), i do tego Nepta, ogromna wyźlica, faworytka księcia. Opowiadał nam pan Michał Rejten, że przez dziesięć dni, co trwał sejmik, oka nie zmrużył, takie okropne było chrapanie księcia, ojca Idzego i Nepty. Szlachta okoliczna, co za księciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkanaście fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni co dzień dla księcia dwa woły rżnięto. Książę dwa razy na dzień obiadował: raz ze szlachtą na dziedzińcu z kotła zjadał krupnik i flaki; a potem w refektarzu z magnatami i obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną (bo szlachta taki na to krzyczała), a sam nie śmiał otwarcie przed księciem z tem się odezwać, namówił ojca Idzego, (z którym książe w łóżku leżąc, przed zaśnięciem co dzień wypytywał o czyszczo, jakie tam są męki i jak z nich najskuteczniej się wywinąć; co mu ojciec Idzy jak umiał, tłumaczył) aby mu przy pomyślnej okoliczności bąknął, by dał się przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego bernardyn, i to co napisał, jest to co do słowa, co mnie p. Bukowski szatny opowiedział, jako naoczny świadek. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książe odezwał się: Ojcie Idzy, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków; co książe rozkaże? — Czy nie słyszysz waszeć jak moja Nepta warczy? zapewne nieboszczyk Wołodkiewicz mnie nawiedza. — Na co pan Michał Rejtan, przeżegnawszy się: Co też się marzy Waszej księżęcej mości? ludzie się szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich; już zaraz ma być p. Wołodkiewicz? — Milczałbyś, panie kochanku! że umiesz grać w francuzkie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do waści mówię, ale do ojca Idzego. Ojcie Idzy! wszak prawda, że dusze z czyszcza wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić? Żeby temu przeczyć, trzeba być księdzem biskupem Massalskim, albo Marcinem Lutrem. — Tak jest, JO. Książe! bywa to, bywa. — Słyszysz, panie Michale? — Aż miło spać z teologiem, bo i oświeci i uspokoi. Ojcie Idzy, zawsze nieboszczyk Wołodkiewicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! Żeby go mógł wskrzesić, oddałbym wszystko co mam, a sam do was na braciszka bym wstąpił. Za życia nieboszczyka księcia pana, najechałem był po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podпалиłem. P. Kotwicz na mnie namalował sto tysięcy pretensji, i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapowie. Ja byłem goły, bo nieboszczyk pan był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem miecznikiem litewskim i orderowym panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił. Co tu było robić? — A mój Wołodkiewicz dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwicza (tu słyhać było jak książe szlochał). I czy to raz za mnie się poświęcił? — Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że nie długo będziem z sobą, powiedział: Księżu Karolu! ty dłużej odemnie żyć będziesz; jak mnie przeżyjesz, pamiętaj o mojej duszy. Otóż tedy partja, którą ten łotr w infule, ten hipokryta Massalski prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowicza, a w trzy godziny potem rozstrzelała go tu w Nowogródku, gdzie tego samego wieczora przybyłem, ale zapóźno; przysiągłem pomścić jego krwi na głowie niegodziwego biskupa i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu sakrę zdjąć na pierwszej sośnie za miastem; a potem poje-

chałbym do Rzymu, przeprosić Ojca świętego i ofiarować mu pielgrzymkę do ziemi świętej. Już szedłem ku Wilnowi, ale na pierwszym noclegu we śnie pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowicz, prosząc mnie za biskupem i wyraźnie mi powiedział: że jak biskupa powieszę, to mu będzie gorzej na tamtym świecie. Ojczy Idzy, wszak prawda że on dotąd w czystcu? — A któż to przeniknie sądy boże, książe panie? I sprawiedliwość i miłosierdzie wielkie u niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odsyła do nieba, albo do czyszcza, albo do piekła — uchwaj nas od tego, jego miłosierdzie. — Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku! Daj Boże wam wszystkim zakonnikom być tak gorliwymi jak on katolikami. On jeszcze za życia nieboszczyka pana trzech popów w Słuszczyźnie do unji nawrócił, a czwarty uparty pod batogami umarł. To było, nim ta przebrzydła konfederacja słucko-toruńska, by ją bies pokasał, przywileje wytargowała dla dyszydentów; za które ja, jako pierwszy senator prowincji litewskiej, Panu Bogu nie odpowiem, bo z bronią w ręku siedm lat temu bluźnierstwu się opierałem. Ale Panu Bogu tak się do czasu podobało, nie dał nam szczęścia. To co ja, ojczy Idzy, za spoczynek Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło, aby całkowity czyszciec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyźnie trupy z dumy poległe własnymi rękami, na jego intencję, a rocznicę jego śmierci suszę. Wieś dałem dominikanom wołkowskim, u których groby Wołodkowiczów; a co mszy, egzekwiów, jałmużn, lamp! to tego i pan Michał Rejten, choć wielki rachmistrz, nie policzy; a jednak dusza jego nie przestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta tak jego zna, że jak tylko się zbliży, odzywa się do niego jak na grubą zwierzyńę, bo jej matkę od niego dostałem w dzień moich imienin. Ojczy Idzy, daj mi na to radę, a ja za to wasz klasztor gdańską dachówką pokryję. — Niech Bóg odplaci waszej książecej mości jego wspaniałość dla nas; za przyczyną najświętszej Panny i ś. Franciszka każdy dar jest Panu Bogu miły; ale im większa ofiara tem skuteczniejsza. Niech książe pan zrobi na intencję nieboszczyka jaką ofiarę z gniewu; na przykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tem najlepiej uwolnisz duszę przyjaciela. — Otóż już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantenbrynga, co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia najlepsza moja charcica Wiatrówka zdechła z łaski Grzesia paiarza; kazałem go był zabić w łańcuchy; po sprawiedliwemu warto było go ze skóry obdrzeć. A ksiądz Kantenbryng jak mi zaczął prawić antyfony z ojców świętych, a straszyć, a prosić, a kruszyć; a djabli im nadali, że ktoś mnie wmówił, że on wielki teolog; to choć powiedziałem: nie odpuszczę, jakem Radziwiłł, tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniej dobrze złajałem księdza Kantenbrynga; on by rad, żeby

mnie we własnym domu bezkarnie rozbijali. To już i waszec tą drogą zachodzisz? To już i bernardyni filutują jak jezuita? — Tylko tego przed księdzem Kantembryngiem nie paplaj: ale szczęście, że u mnie furdyga pusta i na nikogo się nie gniewam. — Jabym się odezwał z czemś przed waszą księżęcą mością, ale nie śmiem. — Mów śmiało, mów śmiało, ojcze Idzy; wszak to na swoim dziedzincu i wiory biją, a ja u was w gościnie: mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać: a potem swemu syndykowi trzeba prawdę mówić. — Kiedy mnie książę pan pozwala tyle śmiałości, to niech wasza księżęcą mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził? — Ja, panie kochanku, nikogo nie ukrzywdził: mnie wszyscy krzywdzą, a ja im dla miłości Pana Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapałem, chociaż mnie ta małpa wielkopolska, ten Kaszuba Sułkowski, nazywa w Warszawie niedźwiedziem litewskim; ale podrapię ja jego dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. Ale to do waszeci, ojcze Idzy, nie należy, bo waszec nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny jak dziecko, panie kochanku, książdz Kantembryng ciągle mi z ambony przemawia, a ja się na niego nie krzywię; a pan Leon Borowski mało mi figlów napłatał? a pan Jerzy Białopiotrowicz mało mi się worał w moje grunta? a pan filozof co tu śpi, Michał Rejten, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach? i bobrów wyłowił w Łachwie? a ja się nie odzywam, tylko przed Panem Bogiem czasem zapłaczę. Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzy, wystrzeliłeś, aleś spudłował. Słuchaj bernachu! tobie się podobał mój pas, com go miał wczoraj na sobie; mówileś, że byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystji katedralnej nie ma; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew (rozumie się w Litwie), to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencję Wołdkowicza. — Zgoda, książę panie! pas będzie nasz, a ja taki dyscyplinować się będę na intencję nieboszczyka: tylko boję się odezwać, bo nuż książę pan się obrazi? — Mów śmiało, będę milczał, jakem Radziwiłł. — Kiedy mnie książę pan ośmielasz, to powiem: że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało fury z jego spichrza idą do klasztoru, a teraz my musimy udzielać mu z jałmużn, bo z głodu by umarł, a to dla tego, że książę pan wypędzić go kazał z zastawy i prawie w jednej koszuli do Nowogródka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałka chleba nie ma pan strukczaszy Tryzna. — Tu mu przerwał książę: Co ty się wtrącasz klecho w nieswoją rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swoim postawię. On, okryty mojemi dobrodziejstwami; on, co prawie darmo Koldyczów trzymał, odmówił mi ludzi na oblęgę; sług moich z błotem zmieszał i mnie głupcem nazwał! Albo ja albo on z torbą pojedzie. — Już on poszedł z torbą, książę panie; ale niech wasza

książęcia móć przypomni sobie, że codzień mówisz pacierz, a tam stoi: «I odpusć nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.» — Otóż ja odtąd wolę pacierza nie mówić, a taki nie odpuszczę. — Ależ książę... — Cicho mnie zaraz! poszedłbyś precz bernachu! nie wędź mi głowy! — (tu milczenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki). — Wszelki duch Pana Boga chwali! — nagle odezwał się książę. — I ja go chwale! To ja, książę panie, wychodzę na rozkaz waszej książęcej mości; a to trepki moje, co z przeproszeniem jego uszów, troszkę hałasu narobiły. — Proszę waszeci, panie kochanku, nie odchodź z celi, śpij ze mną: bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciebie, mój książę, zachoruje z żalu. Ja z tym heretykiem Michałem Rejtenem, co z upiorów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy, a Bukowski śpi jak zabity. Kładź się ojeze Idzy i nie gniewaj się. Żeby się przynajmniej Tryzna upokorzył? Ale taki z tego nic nie będzie. — Potem wedle relacji pana Bukowskiego nastąpiła cichość, a zaraz potem zwykły koncert księcia, ojca Idzego i Nepty. Ale p. Bukowski, co znał księcia na pamięć, a dobrze życzył p. strukczaszemu, i p. Michał Rejten, już mieli dla niego dobrą nadzieję, tylko szło o to, aby p. Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił, co nie łatwo było; bo choć podupały, znał siebie być magnatów koligatem i do naginania się nie był skłonny.

Ale jakoś dobrze się nakartowało: bo nazajutrz po tej rozmowie, o której pana Tryznę pan Michał Rejten i podobno sam ojciec Idzy uprzedził, kiedy zagał sejmik JW. Rdułtowski, (bo JW. Niezabitowski, podkomorzy, będąc zapozwanym de malo gesto officio przez JW. wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełniać), po zagajeniu zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księstwa Nowogrodzkiego do obierania marszałka sejmiku, po całym kościele huknęły głosy: JO. księcia wojewodę wileńskiego prosimy na marszałka! — Zgoda! zgoda! zaczęła krzyczeć szlachta; aż tu pan Kazimierz Haraburda przybliżywszy się do koła: Nie ma zgody! Lubo nadto byłbym szczęśliwy przyczynić się moim głosem do zaszczytowania województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem jakim jest JO. książę wojewoda: ale samienne skłonność własną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie: że obywatel pod kondemnata będący żadnego urzędu sprawować nie może. — Na to my wszyscy za przykładem pana Rejtana dobyliśmy szabel i byłibyśmy w puch rozbili partję wojewody nowogrodzkiego, ale pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowny, uprosił nas, aby pochować szable, i ażeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać: Prosimy pana Haraburdę, aby złożył kondemnata, jaką uzyskał na księ-

ciu wojewodzie! — Na to on: Ja nie otrzymałem kondemnaty, i tegom nigdy nie mówił; ale w. Tryzna, nasz strukczaszy, co w tem kole zasiada, otrzymał ją w grodzie. — Pan Michał Rejten rozniewany, odezwał się do pana Haraburdy: jeżeli kondemnata do w. pana należy, złoś na nią ustępstwo od w. Tryzny, a jeżeli tego nie masz, choć na starość milczec się naucz! — Wać pan sam milcz, kiedy ci język nie świerzbi! a nie ucz rozumu tych, co i w. panu ze swego udzielićby mogli. Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby w. chorąży raczył od p. Tryzny zażądać, aby złożył kondemnatę, jaką ma na księciu. — Tu zaczęliśmy wszyscy krzyczeć: że wniesienie pana Haraburdy nieprawne, bo pan Tryzna sam wie, co jemu należy i o swoje upomnieć się potrafi. — Książę pomiędzy nami stał mocno poruszony i wąsa do góry nakręcał; aż tu w. Tryzna, który jako strukczaszy w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał i głosem drżącym, w którego dźwięku głęboki żal się okazywał, powiedział te słowa: Mamci wprawdzie kondemnatę na JO. księciu wojewodzie wileńskim i tu onę składam; krwawo czuję się być uciśnionym: ale jako obywatel obowiązany jestem moje prywatne uczucia poświęcić dobru publicznemu; a przekonany będąc, że nic nie może być lepszem dla naszego województwa, jak poruczyć przewodztwo naszego sejmiku JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi; a na boku zostawiając moją krzywdę i mimo siebie puszczając, ile uciążliwych przewłok dla mnie wyniknąć może, oświadczam się, że JO. księcia wojewodę przyzymanej nad nim kondemnaty kwituję. — Książę wojewoda przybliżył się do koła i tak był rozczulony, że nie mógł więcej powiedzieć, tylko: Chociaż żal czuję do w. strukczaszego, ale ten krok jego życzliwości i zaufania będę się starał wywdzięczyć. — Po całym kościele dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki: Niech żyje książę, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna strukczaszy! — Książę rozpoczął swoje urzędowanie, ale że już było koło pierwszej z południa, więc solwował sesję do ósmej zrana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rdułtowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta się zebrała. Był i p. strukczaszy i przy kielichach zaczęto godzić go z księciem. Książę powiedział: Ja pana Józefata kocham; to krew, nie woda, panie kochanku; mego pradziada Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczów natychmiast, a pretensje, jakie mieć może za irytacją kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług ofukał i kazał mi powiedzieć: że mnie piątej klepki nie dostaje. My obaj szlachta, zatem niech nas szabla rozprawi, i to natychmiast. — Napróżno się tłumaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Rewiński perswadowali: musiał pan Tryzna dobyć szabli i bić się zaczęli w naszej przytomności. Panu Tryznie pękła klinga, tak

silnie uderzył po niej książę wojewoda; a pan sędzia pana Tryzną rozbrojonego złożył swoją szablę. Książę odezwał się: Mam zupełną satysfakcję — i ucałował Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: To szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem, przyznaj, panie Józefie, że umiem się składać. Potem dawaj pić na zgodę. — Książę był w precudnym humorze. — Panie Michale, bądź spokojny o pisarję ziemską; ja sam jeden z moją batorówką całą partję wojewody nowogrodzkiego rozpedzę. — Książę i pan Tryzna zapisali się na kompromis u pana Białopiotrowicza, iż odtąd tylko sejmikiem byli zajęci.

Szlachta ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słysząc było jak między sobą rozprawiali: A co nasz książę, czy nie tęgi rębacz? klingę jak masło przeciął, A i pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łożowych od jednego zamachu ścina, ale kto naszemu księciu da radę? — Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza, bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książę bardzo go polubił, i bywało zawsze potem powtarzał, prześladując: że gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy na dziedziniec bernardynów, gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, de noviter reperta piliśmy. Już tam była mieszzanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Książę napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartej czapce, zdarł ją z niego, na swoją głowę ją włożył, a podał mu swoją aksamitną. Na to hasło zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić, ale tak, że co moment każdy z nas inną czapkę miał na głowie. Potem książę dobrze pijany, zaczął się rozbierać, besztając szlachtę z dobrego serca. I tak jednemu dał złoty pas, mówiąc: daję ci durni: — drugiemu kontusz: masz świnię! — temu szpinkę brylantową: trzymaj osłe! — a innemu żupan: weź kpie! — tak, że został w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na której wisiał ogromny szkaplerz, i tak wlaź na wóz, na którym była kufa napelniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał, a książę czop od kufy odykał i perorował, prosząc szlachtę by mu dopisała, żeby pana Michała Rejtę na pisarję utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół:

«Panie kochanku — mówił — widzicie ten mój szkaplerz, ja go w sukcesji noszę po moich antenatach. Lizdejko, mój protoplasta, nosił go wprzódy jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiełło. Sierotka z nim do Betleemu chodził. Szkaplerz jest wielki, bo w nim zaszyta jest unia Litwy z Koroną. Ja kocham naszych braci koroniarzów, panie kochanku, ale nie ma jak nasza Litwa. Ja i w koronie mam kawałek ziemi, ale djabeł

by w niej siedział. Tam łatwiej o kuśnierza niż o dojeżdźca. Kiedy my niedźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U koroniarzów sasy to gruba zwierzyna. To panie, jak zaczął mnie prześladować książę biskup wileński, szwagier wojewody nowogrodzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie pan Michał Rejten, ale pan Kazimierz Haraburda dekreta nam pisał; to już z rozpaczycy chciałem dla Korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano, za to że piękne wiersze piszę. Już byłem osiadł na Rusi; ale razu jednego, kiedym się zaczął modlić panu Jezusowi w Boremlu, on się do mnie odezwał: Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nic nie wskórasz, tu szlachectwo śmierdzące. Ostende patrem patris, to wielka filozofja u szlachty tutejszej, nie tak jak w naszej Litwie (bo moja prababka była Litewka), co od dziadów i pradziadów każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę i kłaniaj się szlachcicie nowogrodzkiej odemnie. — A ja mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: Panie! a jak ja powrócę na Litwę, kiedy mnie twój biskup prześladowuje! — A on mnie: To nie mój biskup, to hultaj; ale on naprzeciw ciebie nic nie dokaże. Wracaj Radziwille na Litwę, a niech mnie jeżeli ty nie będziesz Radziwillem po dawnemu, a on jak był kpm, tak i będzie kpm. — Otóż panie kochanku, ośmielony obietnicą Pana i Boga mego, do was wróciłem, i Pan mój nagrodził moją wiarę, bo nigdy nie wątpiłem o jego słowach; a moich wierszy odstąpiłem księdzu Naruszewiczowi, bo on krew i czeladka Radziwiłłowska, i za moje wiersze dostał biskupstwo smoleńskie.»

A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić a nadstawiać uszy i rozdziawiać gębę, bał nie tylko nasza, ale i z partji przeciwnej, nawet zaścianki, co samej Woronczy dotykają: można było widzieć, że wygrana nasza, i że darmo poszły ekspensy senatorów nowogrodzkich.

Do dziesiątej w nocy tłumy asystowały księciu, pijąc, tańcząc po ulicach i śpiewając, że przyjaciele wojewody nowogrodzkiego bali się, by ich nie podpalono. Ale wszystko odbyło się porządnie i nikt gwałtu nie doświadczył. Odprawdziliśmy księcia zawsze na kufie, ale już próżnej, do klasztoru, gdzie on jeszcze na dziedzińcu dokazywał: a stanąwszy przy studni, zdjął szkaplerz, zrzucił hajdawery i koszulę, a kazał się zlać wodą. Czem wytrzeźwiwszy się, poszedł do celi, gdzie podkurka zjadłszy i z ojcem Idzym pacierze odmówiwszy, spać się położył, pamiętny, że na ósmą z rana trzeba mu być w kościele.

O samej ósmej nazajutrz zebraliśmy się do sejmikowania; a książę zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagał sejmik temi słowy: « JJO. JJWW. i WW. nasi wielce mości panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego

objawszy przewodnictwo sejmiku, w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić: dwóch kandydatów jest wam podanych. Jeden pan Michał Rejten, szambelan JK. Mości, niegdyś nasz deputat na trybunale litewskim i szambelan JK. Mości. Drugi pan Kazimierz Haraburda, starosta wiladymowski. Zatem panowie bracia raczcie oświadczyć, którego z nich życzyście sobie na pisarza ziemskiego. « — Pana Michała Rejtена prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewiczze, Siemiradzcy, Czeczoty i my wszyscy. — Zgoda! zgoda! — odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków — pana Rejtена prosimy! — Nie ma zgody! — krzyknęli Jeśmany, Słuszkowie, Kobylińscy — Pana Haraburdę prosimy! — Ale głosy były nierównie słabsze. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo książę wszystkich nas zaklął, aby żaden do gwałtu nie dał pobudki, chcąc swoje urządowanie odbyć w największym porządku. Zatem powstawszy książę, powiedział: Bywał zwyczaj w naszym województwie: unanimitate wszystko się robiło, ale nemini vox deneganda; zatem zapraszam panów braci do wotowania. Szlachta zaczęła głosować, ale wkrótce się upewnił pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać, i że wszystkie zaścianki go zawiodły; więc nie chcąc objawić słabości swojej partji, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył: iż nie chcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła i wyjechał na wieś, nie bez żalu na JW. wojewodę nowogrodzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potem tenże wojewoda instrumentował go sędzią grodzkim. Lepszy rydz jak nio, i tem go ukoił — a pan Michał Rejten został pisarzem ziemskim.

Jeszcze sześć dni niby trwał sejmik; ale w istocie już była tylko hulanka. Jednak i ta hulanka nie była bez pożytku: więcej albowiem trzydziestu spraw, za namową szczególnie księcia wojewody, poszło pod sądy kompromisarskie; a były niektóre zadawnione i bardzo zawzięte. Większej części superarbitrem był pan Jerzy Białopiotrowicz, istotny pacyfikator województwa.

V.

KSIĄDZ MAREK.

Co też to się dzieje na świecie! Już i cierpliwości nie staje, patrzeć na czyny ludzkie, a słyszeć ich gadania. Takie zapomnienie o Bogu, taka obojętność dla jego praw! jakby jego nauką była tylko dowcipnym wymysłem, bynajmniej nie obowiązującym. Oj! rozumni ludzie, rozumni ludzie! ciężko Panu Bogu odpowiecie, że tak świetne dary, coście otrzymali z jego łaski, naprzeciw niemu obracacie, gorsząc tyle półgłówków, którzy przez was się bałamucają tylko; a najczęściej z obawy, by za głupców nie uchodzić, wolą potakiwać waszej lekkomyślności, niż się trzymać tego, czego ich wiara nauczyła i co ludzie istotnie wielcy i rozumni miłowali, że wszystko zań gotowi byli poświęcać.

Toć to szaleńców, co by istotności Bogu zaprzeczali, nie wiele; ale mnóstwo takich między tymi niby mędrkami, co lubo dowodzą jego bytu, tak mu działalność i potęgę okrawują, że na jedno wychodzi, jakby mówili, iż jego nie ma.

Wedle nich cuda są urojenia ciemnoty. Bóg raz porządek ustawiwszy, tego nie odmieni; módl się sto razy na dzień, czego swoim rozumem i pracą nie dostaniesz, tego nie wymodlisz. Święci, to byli poczciwi ludzie, stosowali się do ducha czasu, do ówczesnych wyobrażeń; ludzie im coś nadzwyczajnego przyznali, ale te ich dzieje przed rozsądkiem zniknąć muszą. Obрядо- rządki, sakramenta, są to mądre i zbawienne ustawy dla gminu, które człowiek światły szanować powinien, i nic więcej! Tak plotą o rządach Boga, jakby przy nim była rada. nieustająca, w którejby oni zasiadali.

yszałem ja to nieraz, ale na mnie żadnego wrażenia nie . Człowiek poczciwy, a do tego szlachcic, czyżbym już ał się owładać, bym odstąpił od tego, co tyle wieków, tyle i, tylu mądrych a cudnych mężów, tyle cnót nadzwyczaj- tyle niewinnej krwi na świecie utwierdziło? Oto bym za- , by mnie do czubków zaparto.

czasie Konfederacji barskiej, pan August Sielnicki, woje- c podlaski, co był wiernym ojczyźnie obywatelem, a na- kolegą, ale któremu podróże po zagranicznych krajach icły były rozum, że bez potrzeby wszystko nim świdrzył : o po swojemu chce nam wszystko tłumaczyć; nieraz uszy zatykamy, tak nam dokuczy. Czasem też i obrywał za . Ofuknął go porządnie za takowe gadania JW. Krasieński, alek jeneralnej Konfederacji: « A co to w. p. za prorok — dział mu raz, abyś nowej wiary nauczał? My się naszej amy i za nią bijemy, a jeśli w. pan jej nie rad, to wracaj miatowskiemu; tam znajdziesz dość fajnazonów i prze- iw, co ci potakiwać będą.» A i ów pan Sielnicki też te niedorzeczy plótł więcej, aby tem za rozumnego uchodził, wewnętrznego przeświadczenia; o tem się przekonałem. zaczeptał ksiądz Marka, który go z wielką cierpliwością , ale nakoniec i cierpliwości mu nie stało, zawsze jedno io odpierać; ile w każdej rzeczy świadomemu trudna a wlać się w certament z takim, który tylko coś nachwy- azu jednego wzywał go na dysputę wedle swego zwyczaju odził mu, że tylko w Boga wierzy, a więcej w nic. Ksiądz i tłumaczył mu z początku, że tego nie dość, ale widząc artym, zapytał raptem, czy dawno się spowiadał? Coś mu odpowiedział wojewodzie, ni siak ni tak, a ksiądz Marek : « Jutro rano przyjdiesz do kościoła, a w. pana wyspo- m, a teraz idź do siebie, aby się na jutro przygotować; to niż fatalaszkami trąbić w uszy tym, co te rzeczy lepiej od na rozumieją.» Zmięszał się wojewodzie; my byliśmy cie- co z tego będzie. Poszliśmy z rana do kościoła i zastaliśmy zy konfesjonale spowiadającym się ks. Markowi. Nie roz- ł się z nim, ale bił się w piersi, a jaki z niego zdawał się żnik! Czy to wszystkiemu wierzyć, co kto sobie mówi? ze że trafił na świętego męża, co go na drogę zwrócił, ale est roztropnie, aby dla dogodzenia językowi żartować zbawienia? Co do mnie, gdyby nie tyle innych grunto- h pobudek, samo patrzanie na to, co zrobił ksiądz Marek, y mnie przekonało, że są ludzie, którym Bóg użycza siły vyczajnej i cuda robią. To co opisywać będę, wszystkim nderatom Barskim było wiadomem, i teraz wiele jest e takich, co to słyszeli od ojców swoich, naocznych świad- Już w tem był cudownym mężem, że najdumniejszych

panów i najburzliwszą szlachtę tak był radą swoją zholdował, taką ufność ku sobie zyskał, że chyba gdzie go nie było, tam się jedność przerywała; a co dziwniejsza, że wszystkich w wytrwałości utrzymywał, bynajmniej płonnych nadziei nie robiąc. Owszem sam słyszałem jak mawiał: że Pan Bóg nie da nam szczęścia, że wielkie klęski spadną na ojczyznę, ale że trzeba swoją powinność zrobić. Nie wielka to rzecz, dodawał, iść za sprawą pomyślną; któż z wiatrem nie popłynie? Ale kto się poświęca za sprawę świętą, choć nieszczęśliwą, tego Pan Bóg kocha, a usiłowania nie przepadną, bo on je pobłogosławi. «Człowiecze! — kazał on po odebraniu wiadomości o klęsce stołowieckiej, kiedy wielu naszych już stygnąć zaczęło — człowiecze! bez ciebie Pan Bóg cię stworzył, a bez ciebie nie zbawi. Toż samo z ojczyzną. A wiele to świętych, co żywot swój na pokucie trawili, oprócz Boga nic znać nie chcieli, a spokoju znaleźć nie mogli i oschłości wewnętrznej Bóg niczem nie raczył odwilżać? A czyż oni wtedy mówili: Nie ma ratunku, wszelka nasza praca daremna; wolimy się z czartem pogodzić. Nie, nie, bracia moi! jeszcze więcej podejmowali tych na pozór bezowocnych trudów, i Pan Bóg w porze przez siebie zamierzonej sowiec wszystko nagroził. Toż i z ojczyzną! Niech jej syny dla niej znoszą przeciwności, niech pracują a pracują, nie zrażając się, że pociechy Bóg nie daje, aby się z czartem nie godzili; Pan Bóg znajdzie czas na wszystko. A powiedzieć, że ofiara czysta za ojczyznę zrobiona, u niego nic nie waży, jest to równe bluźnierstwo, jakby twierdzić, że jego nie ma.» I takimi słowami rozżarzył gasnący już związek.

Razu jednego miał kazanie, nie pamiętam w jakiej okoliczności, w którym mówił: «Ojcowie, ledwo kęsa sobie nie odejmujecie, aby dzieciom i wnukom dostatków rozszerzać; ani śmiem wam to uganiać, bo i bogactwo jest darem Bożym; byle uczciwie, zbierajcie dla potomków, a godziwe w tym celu prace Bóg pobłogosławi. Miejcie podobną cierpliwość i w ważniejszych rzeczach. Cieszyście się nadzieją, że dzieci i wnuki dopiero korzystać będą z usilności waszych; cieszyć się więc, że choć trudy i klęski znosicie teraz, wasi potomkowie będą wolnymi; bo bez ojczyzny, bez wolności, na co im by się przydały dostatki? Nie jest bogatym, kto posiada to, co może mu być wydatkiem lada chwila przemocą.»

Staliśmy obozem pod Jędrychowem, gdzie mieszkał JW. Ankwicz, kasztelan sandecki, pan godny i nam sprzyjający. Pan Bóg nie pobłogosławił go w synie: on w jego ślady nie wstępował; ale pokój umarłym. Otóż ten zasłużony senator starszyzną naszą zaprosił na wielki obiad do swojego zamku, a dla nas niższych na dziedzińcu były zastawione stoły, bo wszystkim nie

było sposobu pomieścić się razem. Cieszyliśmy się w Bogu; a w sali za stołem siedział między panami ks. Marek, o którym wiedział JW. kasztelan, co to był za człowiek. Spełniano rozmaite zdrowia wodzów dobrej sprawy; po każdym zdrowiu wiatówki słyszeć się dawały, aż ksiądz Marek powstawszy a nalawszy kielich wina: «J.J. WW. panowie, odezwał się, pozwólcie mnie wnieść jedno zdrowie», i zaprosił ich z sobą na ganek; tam podniósłszy oczy do góry, chwil kilka zostawał jakby w jakim zachwyceniu, a potem: «Chwała wieczna przenaświętszej Trójcy!», i spełniwszy kielich, przeżegnał nim chmurkę nad nami wiszącą. Natychmiast jak zaczęło błyskać a grzmieć, raz po raz siedem razy piorun uderzył, że aż wszyscy zaczęli tulić się do księdza, prosząc go, aby dał pokój, a wyznając iż się mocno przelekli. Ksiądz Marek na to: «Nie bójcie się, moje dzieci, Pan Bóg błogosławi zabawy nasze», i przeżegnawszy chmurę drewnianym krzyżem, co go z paciorkami nosił u boku wedle karmelitańskiego obyczaju, ona wnet się rozeszła i najpiękniejsza wróciła pogoda. To się działo w oczach naszych.

A pod Rzeszowem jeszcze lepiej mu się udało. Nasz obóz przytykał Rozwadowa. Moskwa pokusiła się nas z niego wyparować, i była o to przeprawa, ale my ją porządnie wytłukli, że aż ze wstydem musiała się cofać do swoich szanów pod Przeworskim; więcej stu ludzi zabraliśmy w niewolę, nie licząc cośmy nabili. Ksiądz Marek na koniu, a zamiast szabli krzyż w ręku trzymając, pokąd potyczka trwała, wszędzie się znajdował i kilka razy był Dońcami obskoczony. On był dla nich łakomą zdobyczą, gdyż wiedzieli co to było z niego, że on dla nas lepszy niż kto armat. Tak na niego ostrzyli zęby, że gdyby on i jakikolwiek z naszych wodzów, ledwo nie sam p. Kazimierz Puławski, uciekali przed nimi, a każdy inną stroną, nie wiem jeszcze za którym prędzejby poszli w pogoń; jeno że jako lud niewierny, nie znali się na jego świętobliwości, ale myśleli, że on sobie czarta zhołdował, a ten za jego rozkazem sprawiał te wielkie dziwy, na które patrzali. Obkoczyli go, my też dzielnie jego bronili, a on nam: «Nie uważajcie na mnie, moje dzieci, a swoje róbcie; oni mnie rady dziś nie dadzą.» My go posłuchali, a jak takiego nie słuchać? — I to nam posłużyło, bo wielu z nich za nim się cietrzewiło, a my ich dusili jak swójkę. Co natrą na księdza, by go na spisy porwać, to spisy powiłażę kołą mimo habitu, a ksiądz się tylko uśmiecha, że dońce ze złości aż od rozumu odchodzą; a na końcu, widząc że lubo bezbronny, ani żelazo ani ołów jemu nie szkodzi, przecież nic złego imże samym się nie robi, dając próbować rękoma go porwać, ile że koń księdza Marka nie był zwinny, a on sam, jako zwyczajnie kapłan, po łacinie siedział i zresztą nie uciekał. Ale co

który się przybliży, to jak go swoim krzyżem przeżegna, kozak na ziemię bęc jak długi, a koń jego w cwał, nie nazad, ale do naszych — i tak kilkunastu położył, że każdy lubo bez szwanku wstał, ale utracił konia. Dopiero kozacy zaczęli co prędzej uciekać do swoich i krzyzczyć, żegnając się po swojemu: Czort Lachów bronil! — a my za nimi, że gdyby nie ich przekłętą armaty, obóz byłby się nam dostał.

Ale nie na tem koniec. My ze sławą i zdobyczą wrócili do naszych. Pan Kazimierz Puławski kazał otrąbić capstrzyk, po którym już nikomu nie było wolno wyjść z obozu, i sam poszedł do swojego namiotu z panem Goreckim, co jako oboźny był od niego nieodstępny. Zabierał się do wczasu, aż ks. Marek brewiarz swój przy ognisku obozowym odprawiwszy, poszedł do namiotu naszego wodza, a zastawszy go już leżącego; «Przepraszam pana starostę dobrodzieja, że tak późno przychodzę mu dokucać, ale go mam o wielką łaskę prosić.» — Mów księżo, co mamy i co mojem, jest na twoje rozkazy. — «Proszę mnie pozwolić wyjść z obozu.» — A dokąd myślisz się udać? — «Zaraz trzeba mnie być w obozie moskiewskim.» — W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego, czy żartujesz księżo! a jakiż tam mieć mozesz interes? — «Wielki interes, panie starosto, bo Pan Bóg mnie tam iść kazał; ale ani z klasztoru bez woli przeora, ani z obozu bez woli naczelnika wychodzić nie pozwala. Pan Bóg dopiero mnie objawił, że we wczorajszej potyczce jeden ich pułkownik śmiertelną ranę odebrał i przededniem skończy. On z naszej wiary, a chociaż między nimi się rozpaskudził, Bóg łaskawy pozwolił mu pragnąć księdza. Trzeba mi go na śmierć dysponować.» — Mój księżo, ty lepiej znasz swoją rzecz niż ja, ale pozwól sobie tylko powiedzieć, że blisko trzech mil do obozu; jeśli ma przededniem umrzeć, byś i jak leciał, w porę nie trańsz, trupowi nie pomożesz, a wpadniesz w ręce, co ciebie umęcą; a jak moi spostrzegą, że ciebie nie ma, to ja rady nie dam. Czart porwij Moskala, a wolisz się wyspać. — «A nie godzi się tak mówić, panie starosto. Pan Jezus dał się umęczyć za tych łotrów jak i za nas. A że czasu mało, to pokój dobry. Kiedy Bóg każe mnie tam iść ze sobą, poradzi bym w porę trafił; a ja dla tego jutro będę miał mszę świętą w naszym obozie.» — Ale czy tylko powrócisz! — «Na którą godzinę pan starosta każe wrócić — wróć. A kiedym to ja panu był nieposłuszny?» — Kiedy tak, każe ci księżo przed ósmą z raną powrót twój mi nie zameldować. Ruszaj więc z Bogiem, dokąd on ciebie poprowadzi: ale pamiętaj, że mnie w największej niespokojności zostawiasz. Weźże przynajmniej jakiego mojego konia, bo z twoim podjezdkiem nie daleko zajedziesz. — «Ja piechotą trafię, byle pan mnie kazał przeprowadzić za przednie czaty, aby mnie nikt nie zatrzymał; bo tu tylko pan masz prawo rozkazy

dawać.» — «Panie Januszu!» obrócił się pan Puławski do pana Goreckiego, przytomnego tej rozmowie, «każ księdza Marka przeprowadzić po za obóz.» — Ale pan Janusz, co na nikogo nic nie zdawał, sam go poprowadził, by przytem jeszcze się przekonać, czy straż swojej powinności dopełnia. A ksiądz Marek ostatniego sztydwa przeszedszy, pożegnał godnego przewodnika, i że było ciemno jak w worku, natychmiast zniknął z przed jego oczów.

Jak się on tam dostał, to tylko jemu i Panu Bogu wiadomo, dość, że chociaż w obozie nieprzyjacielskim były stráže, przechodzący nawiedzać umierającego pułkownika, z wielkiem podziwieniem zastali księdza przy chorym, który go słuchał z wielką pobożnością i skruczą; a pomimowolnem uszanowaniem przejęci, stali przy wnijsciu namiotu, aby im nie przeszkadzać. Tak ksiądz Marek wedle woli Pana Boga, którego z sobą przyniósł, ocalił choremu duszę, opatrzył go sakramentami i nie opuścił pokąd ducha nie oddał, co rychło nastąpiło po przyjęciu najświętszej tajemnicy. Dopiero Moskale, co namiot otaczali, do niego — bo go poznano; ile że tam byli tacy, co go dnia wczorajszego widzieli na koniu; tacy nawet, których przeżegnaniem z koni posadzał; a oprócz tego imię księdza Marka było głośnie między nimi. — «A to ty, co czartów na nas zwabiasz? Obaczmy, czy oni ciebie z rąk naszych wyrwą!» I zbliżali się do niego, z wielką jednak obawą; ale że nie zniknął im z oczu, a żadnemu nic złego się nie staowało, ośmielili się i wzięli go w swoje ręce. Oto była pociecha, że im się udało! «Przecież — mówili, nie zawsze czart tobie dopisuje. Wielki Bóg ruski starszy czynem. W Sybirze dowiesz się, jaka nagroda tym, co kule i spisy carowej zamawiają.» — A radość była w całym obozie, że takiego pojмали branka. Wyprawiono go zaraz do Lwowa, gdzie był książę Repnin, związali mu nogi i ręce i posadzili na wozie, między dwoma sotnikami dońskimi, jakich znaleźli najdoświadczeńszych, a pięćdziesiąt koni otaczało wóz, żeby go nikt widzieć nie mógł, i by go po drodze nie odbito, choć między Lwowem a Przeworskiem żadnego z naszych nie było — ale strach ma wielkie eczy. Jadą więc, ksiądz Marek nie był rad rozmawiać z oprawcami, a oni ciągle gabali go; że była gadka między Moskalami, że jak się zamyśli, z czartem rozmawia i w ptaszka umie się przerzucić: ile razy się zamyślał, szamotali go sotnicy, aby im nie uleciał i ciągle go ściskali rączyskami, że aż sińców podostawał.

Jadą tedy do Lwowa, jadą, aż ledwo siódma wybiła, i komenda i wóz wjeżdżają — gdzie? — może do Lwowa? — wcale nie — ale prosto do naszego obozu, gdzie dnia tego straż trzymali ludzie pana Franciszka Dzierżanowskiego. Ko-

zacy dopiero się opamiętali, kiedy sam pułkownik przybliżył się witać księdza i krzyknął głosem piorunującym, pokazując na sotników: Ściągnąć mi natychmiast tych łotrów z wozu! A kozacy, co na koniu siedzieli, nazad w nogi. Pułkownik, co nigdy ze swoim sztucem się nie roztawał, dał ognia, ale spudłował; kazał za nimi w pogoń, ale nim się nasi zebrali, dońce z przed oczu zniknęli, wicher chybaby ich dognał; a sotników kazał odprowadzić do pana Puławskiego, który sam przybiegł na hałas strzału, by się dowiedzieć, co to jest, i my za nim. Tam dowiedzieliśmy się o wszystkim i obaczyliśmy sotników powiązanych a pomieszanych, i w lewo i w prawo obłąkanym wzrokiem obracających, że do zwierza byli podobniejsi niż do ludzi. Ksiądz Marek do Puławskiego:

«Proszę pana starosty kazać rozwiązać moich przewodników i swobodnie ich puścić: oni na moją wdzięczność zasługują; wszakże oni mnie tu przywieźli.» — A że nikt u nas księdzu Markowi się nie opierał, pan starosta kazał ich puścić, z wielkim żalem pułkownika Dzierżanowskiego, co koniecznie przekładał: że to byli brańcy jego ludzi, zatem że do niego należą. Ale z panem Kazimierzem Puławskim krótka sprawa; puszczono ich na wolność wedle woli księdza Marka, a oni wszystkim do nóg, a najwięcej jemu, przepraszając go, iż ważyli się porywać na cudotwórcę. A potem ze łzami poczęli go błagać, aby im czapkę podarował, że oni ją między siebie podzielą, a tem się zasłonią od kary, która na nich czeka w ich obozie, za to że rozkazu nie dopełnili. Nie mógł się oprzeć ksiądz Marek i oddał im co żądali; ale jak tylko odszedł, by się do mszy gotować, pan Franciszek Dzierżanowski czapeczkę kazał im odebrać. — «A co to — mówił, my na siebie mamy broń oddawać tym hultajom?» Odebrał także raport przy nich będący do księcia Repnina, ale ich samych puścił, jako na to miał rozkaz. Jakiśmy się później dowiedzieli, i sotników i całą komendę cały dzień kijami bito w ich obozie, i na tem się skończyło. A jakie dziwolągi były w tym raporcie, który będący z nami bazylian dla nas przetłómaczył! Nie do uwierzenia, z jaką ciemnotą i barbarzyństwem mieliśmy do roboty.

Taki to był człowiek ksiądz Marek, którego prorocтва dotąd między ludźmi krąży, a którego imię tak jest związane z naszą barską Konfederacją, że kto sumienny i świadomy, a będzie pisał o jednej, musi wspomnieć o drugim. — Znajdą się tacy, co to słysząc, ramionami ruszą, ubolewać będą, żeśmy śmieli takowe rzeczy powtarzać. Czego ludzie nie zaprzeczają? Ale mniejsza z tem: trudno nie wierzyć temu, na co się patrzyło, nie samopas, nie w śnie, ani w go-

rażce, ale przy tylu świadkach na jawie, przy zdrowiu dobrem, a umyśle przytomnym. Mało dbam o zdania tych niby mędrków, a między nami mówiąc, lituję się nad nimi; a nie przestanę błogosławić Pana nad pany, co przez służbę swojego Marka tak wielkie działał rzeczy.

VI.

PAN OGIŃSKI.

Za dawnych czasów szlachcic z cierpliwością i statkiem mógł zawsze sobie kawałek chleba zapewnić. Służba po pańskich dworach krzywdy nie robiła: pan był razem opiekunem sługi; a jeżeli jak ojciec karał, to i jak ojciec kierował i o losie pamiętał. Ale nie każdemu dostać się można było do pańskiego dworu: trzeba było mieć zasługi ojca lub krewnych za sobą, albo jakichś dobrodziejów, co by się chcieli wstawić. Co do mnie, Opatrzność mną kierowała. Bo cóż mówiło za mną? Ojciec mnie odumarł w piątym roku, a gdyby i żył, co by mi pomógł szlachcic z zaścianku, spokojny, co kawałka roli pilnował: gdzie prostaczkowi docisnąć się do pana! Moja matka poszła powtórnie za mąż, ojczym nie bardzo był rad trzymać mię w domu, będąc ubogim, a własnych doczekawszy się dzieciak. Ale Pan Bóg sieroty nie opuszcza. Miałem wuja woźnego, on miał dworek i ogród w Nowogródku; a chociaż miał dwoje dzieci, jednak zlitował się nademną i zabrał mnie z zaścianku do Nowogródka, kiedy siedm lat mi się skończyło. To ja potem wyszedłszy jakoś na człowieka, jego dzieciom choć w części przynajmniej wywiązałem się z tego, com był winien ich ojcu; a moją niewielką pomoc Pan Bóg tak pobłogosławił, że wnuki mojego wuja kłaniają się ludziom z grzeczności i z serca, a nie z potrzeby. Wuj żył z woźniostwa i co dzień jaki tyńf kapał, a czasem i czerwony złoty w domu się pokazał. Wujenka studentów trzymała. Ja, to buty dyrektorom czyszcząc, to w kościele z bractwem śpiewając, to w ogrodzie pieląc, z małego do pracy nawykłem, co mnie potem bardzo posłużyło. Dyrektor u nas z studentami mieszkał, a sam był studentem w czwartej klasie. Wyczytał on mnie czytać i pisać, tak że księża jezuici przyjęli mię byli wprost do infimy, nie przechodząc proformy.

Uczyłem się najprzód z książki pana dyrektora, ale potem wujenka kupiła mi Alwara i już swobodnie uczyłem się ze swego i gorliwie; bo codzień mnie wuj mówił: Sewerynku, ucz się, ty nie masz nad czem próżnować. Pókiś mały, ja ci daję banicz i opończę, ale jak wyrośniesz, czego nie wypracujesz, chyba wyżebrzesz. — To ja tak się boję, aby dziadem kościelnym nie zostać, że uczę się a uczę Alwara na pamięć, aż płaczę, tak, że przed wakacjami na gramatykę uzyskałem promocję. Później nasz dyrektor wstąpił do zakonu, a ja na jego miejscu dyrektorem zostałem i brałem po trzydzieści tyńfów na kwartał. Wkrótce z własnej pracy przyszedłem do koutusika grodyturowego, dymowego żupanika i pasa półjedwabnego, a pałasz po ojcu oddał mi wuj, że jakoś w niedzielę można było uczciwie pokazać się między ludźmi. I wujaszкови chleba już darmo nie dłem, bo przepisywałem mu relacje pozwów, przez co za czasu przywykłem do prawa; a że z retoryki do palestry nie oszedłem, to dla tego, że następne wydarzenie na inny świat mnie zaniosło.

Jezuici w Nowogródku oddawna byli zaprowadzili sodalisostwo Marji; byłem i ja sodalisem i do dziś dnia odprawiam pacierze z pallacium. Po śmieci księcia Radziwiłła, ordynata kleckiego a trockiego kasztelana, prefektem kongregacji został JW. Ogiński, wojewoda witebski, a ksiądz rektor w nagrodę, żem pracował i zasługiwał się profesorom, mianował mnie marszałkiem kongregacji; bo nas było dwóch marszałków: jeden z konwiktu, a drugi z stancyjnych. Nasz obowiązek był nosić laski przed prefektem i stać przy nim w czasie nabożeństwa. Kiedy JW. wojewoda przybył do Nowogródka w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny, z wielką solennością oddali mu OO. jezuici prefekturę kongregacji. Ja jako marszałek, wystąpiłem do niego z mową łacińską, którą sam ułożyłem; bo trochę tylko ją poprawił ksiądz Narwojsz, profesor retoryki, a nauczywszy się jej na pamięć, wymówiłem ją śmiało i z dobrą (jak ludzie mówili) deklamacją, tak że zaraz wpadłem w oko JW. wojewodzie. Wypytał się o mnie ksiądz rektora, który, jak się okazało, dobrze mnie przed nim wystawił. Potem po nabożeństwie kazał mi przyjść do siebie, wybadywał co umiem, i kazał mi pisać, aby się dowiedział, czy dobrą mam rękę. Napisałem mu kilka wierszy Kochanowskiego, a niżej po łacinie, że JW. wojewodzie było na imię Bogusław, dodałem z własnego konceptu: *Ingentem Boguslao defero cultum*, a me *minimo excelsus tibi honor*. To mu się tak podobało, że posłał po mojego wuja i powiedział mu, że chce mnie umieścić w swoim dworze. Na te słowa i mój wuj i ja padliśmy mu do nóg, i zaraz, już za pozwoleniem mojego pana, poszedłem z wujem zabierać moją mizerję i pożegnać się z wujenką. Nie obe szło się to bez łez, szczególnie z mojej strony, bo dwa razy roz-

plakałem się: raz z czułości, drugi raz z bólu. Wujaszek dając mi błogosławieństwo i cztery czerwone złote w podarunku, powiedział te słowa: Sewerynku, staraj się o trzy łaski: popierwsze o łaskę boską, powtórę o łaskę pańską, potrzenie o łaskę ludzką. Wszystkie moje opiekuńskie prawa zlewam na JW. wojewodę, pana twojego, i abyś służąc jemu nie zapominał, jaką jest władza opiekuńska, ostatni raz jej użyj. — Kazał mi się położyć i trzydzieści batogów mi odliczył, których nigdy nie zapomnę, tak szczerze były dane. Dobrze tedy zapłakany wróciłem do klasztoru, gdzie stał JW. wojewoda, który widząc łzy, miał je za dowód czułego serca, chociaż one nie były jedynie z czułości.

Rozkazał wojewoda podróżnemu koniuszemu, aby dał mnie konia, na którym kazał mi jechać przy swojej karecie. Lubo oprócz wujowskich dwóch podjezdźków, co je czasem bywało pławić wodzę, nigdy nie zdarzało mi się siedzieć na koniu, zwłaszcza porządnym; jakoś ze krwi polskiej dobrze mi się udało. Bo kiedy wyjechawszy już, o ćwierć mili za miastem opatrzył się JW. wojewoda, że okulary zapomniał w klasztorze; zawróciłem konia, wypuściłem go ku miastu, piorunem stanąłem na dziedzińcu klasztornym, szkodę odszukałem, zatrzymałem się nawet przez pół Zdrowaś Marja pod ratuszem dla kupienia obwarzanków i wróciłem do pana, okulary w rękę trzymając; a pan za to darował mi tego samego konia, na którym miałem szczęście pierwszą posługę w Słonima. Przybywszy do Słonima, gdzie często JW. wojewoda jako starosta słonimski przesiadywał, kazał zawołać p. Szukiewicza, marszałka dworu swego (co go naówczas tytułowano łowczym wendeńskim, a który umarł podstarostą słonimskim), oddał mnie pod jego dozór jako pokojowego; a razem oświadczył, że w jego prywatnej kancelarji pracować będę. Pan łowczy Szukiewicz był starożytny szlachcic i miał dwa folwarki swoje dziedziczne w Słonimskim; był powiernikiem pana, który go często nawet do publicznych używał interesów, jako męża światłego i sumiennego, a liczny dwór on w wielkim rygorze umiał utrzymać. Naznaczono mi lafy po trzysta tynfów na rok, obrok na jednego konia, stancję z dwoma innymi pokojowcami, obywatelskimi synami, i miejsce u stołu marszałkowskiego. Był zwyczaj u dworu, że przyjeźdźcy szlachcica na pokojowego, marszałek oporządzał w mundur przyjacielski domu Ogińskich: kontusz z sajety perłowej, żupan atlasowy zielony, pas takież jedwabny z kwiateczkami i frenzlami złotemi, czapka zielona z kasztanowatym barankiem i czerwone buty. W tym stroju trzeba być zawsze na pokojach, a ten ubiór nadal utrzymać ze swojego. Ale na wstępie musiałem oblać ów mój mundur traktamentem dworzan i pokojowych, tak, że ze czterech czerwonych złotych, co mi wuj dał, zaraz trzy poszło.

Poznałem więc z bliska dwór magnacki i prędko się służyłem, a między dworzanami i pokojowymi będąc najuboższym, bo oni wszyscy byli obywatelskimi dziećmi, niektórzy zaś i sami obywatelami, zasługiwałem się każdemu i uzyskałem łaskę ludzką, zaczynając od p. łowczego wendeńskiego, który często sypał plagi na kobiercu moim kolegom, a na mnie się nigdy ani skrzywił. Nawet lubo jako ojciec dzieciom był oszczędnym, darował mnie pas lity słucki, którego i senator nie powstydziliby się nosić. A to za to, że razu jednego będąc z nim w Stołowicach na kiermaszu dla kupna sukien na liberję dworską, gdy jeden towarzysz pancerny chorągwi JW. księcia Sapiehy, wojewodzica trockiego, stojący tam na konsystencji, przyczepił się do niego i zaczął w mojej przytomności szukać z nim okazji, ująłem się za moim zwierzchnikiem. Zacząłem być od perswazji, ale on zapamiętał w zuchwalstwie, nie poprzestał swego i jeszcze natarczywiej lał mu w oczy. Ja, lubo towarzysz pancernego znaku więcej niż pokojowy, żem znał siebie szlachcicem, choć chudym pacholkiem, a do tego czułem, że trzymając się wielkiej klamki, miałem plecy za sobą — dalej do szabli na gołe łby! Noszę od niego pamiętkę na twarzy, ale i on porządnie dostał po ramieniu. Pan łowczy zawsze miał na uwadze, żem jego sławę zasłonił, a tak i sam guza oberwałem: dobrze mię za to wystawił przed panem. Zjednało to mi więź i u moich kolegów; widząc bowiem mię potulnym a pracującego piórem, myśleli długo, że szablę miałem tylko dla ozdoby, ile że postanowiwszy sobie nigdy u dworu burdy nie robić, często przytyczki od nich cierpliwie znosił; ale kiedy gruchnęło, że pancernikowi dać radę, nie było to dla mnie porwać się z motyką na słońce, zacząłem być u nich w poważaniu, jako człowiek spokojny z przekonania, a nie z bojaźni.

Tak tedy pracując pod ręką JW. wojewody, a nie mając nieżyczliwych przeciw sobie, przyszedłem do tego, że chociaż młody, pozyskałem zaufanie u mego pana, i gdyby nie był umarł w początkach Konfederacji barskiej, byłbym może wyszedł na jasnie wielmożnego. Co dzień modłę się za duszę mojego pierwszego pana, bo wiem co myślał dla mnie zrobić; a to nade wszystko jemu winienem, żem ojczyźnie służył. Pamięć pierwszej dla niej usługi nigdy nie przestanie pieścić mej duszy, i niech ta moja relacja, zajmując kiedyś wnuków moich, rozżarzy w ich sercu tę miłość kraju, którą do dnia dzisiejszego pałać ani na chwilę nie przestałem.

Po śmierci Augusta III., mój pan, jak wszyscy prawie panowie i my szlachta, życzył sobie, aby królówiczą został obrany królem. Pisząc tam szeroko, że Augustowie byli gnuśni, że rozpoili Polskę, że naszego języka nie umieli, że taki nam lepiej mieć Piastów niż cudzego. Teraz i ja na to się zgodzę; ale dawniej jakoś to szlachta przywykła do rodu, który więcej lat

sześdziesiąt nad nią panował. Za królów Sasów była swoboda: było i dobre, a co więcej, za nimi był naród; za Piastem zaś były obce forsy. Przyszwoiciej było szlachcie i panom ze swoimi bładzić, niż mieć słusność przy pomocy obcego żołnierza. Otóż więc kiedy Moskwa Warszawę najechała, aby na tron wynieść stolnika litewskiego, prawie wszyscy panowie temu nie radzi, ukartowali po całym narodzie Konfederację rozszerzyć i przyjąć do tego, żeby odtąd żaden obcy u nas nie burmistrzował. Zjeżdżali się, wysyłali jeden do drugiego gońców zaufanych, i wszystko się gotowało do wybuchnięcia. Ale nie łatwo było rozpoczynać, bo Moskwa napelniała kraj wojskiem, że nie można było z jednego województwa przecisnąć się do drugiego, bez spotkania moskiewskich komend; a te przejeżdżających zatrzymywały i trzęsły, czy jakich listów nie znajdują. Trzeba było robić ostrożnie, a tu książę wojewoda wileński Radziwiłł i JW. Pac, starosta ziołowski, naglili mego pana, żeby zacząć co prędzej: bo go mieli za wielkiego ministra i dawali się jemu powodować. I słusznie, bo to była wielka głowa. Ale on wszystko kunktował, żeby jeszcze czekać, aż odbierze wiadomości od hana krymskiego Islam Gireja, których spodziewał się każdej chwili. A pan Bohusz, co potem był sekretarzem generalnym Konfederacji barskiej, ciągle przesiadywał u mego pana i z sobą się naradzali; a lubo byłem użyty do pióra, ledwo przez dziesiąte domyślałem się, o czym oni konferowali, tak byli ostrożni. Aż tu jednego poranku, o czwartej z rana, przychodzi do przedpokoju sypialni pana, gdzieś był na służbie, kozak jakiś, który poprosił mnie, aby się mógł natychmiast widzieć z JW. wojewodą. — Jakież masz interes do niego, powiedz bracie? — «Oto wezu jemu hostyńca od pana mojoho Potockoho, podczaszoho litowskoho: min jomu przysyła je dwi fury sływok uhorskich. Na syłu tu prywiz, bo Moskali po dorozi, a wsiaki zaderżuje, a pytajetsia: majesz pyśmo? Ode jest' lyst od mojoho pana. — To widybrajut lyst, do starszynny nesut, a pisma widdajut. Toho buło zo dwadciat raz; a szczo mini sływok pokrały! to połowyny nema.» — Poczekajże, mój kochanku, niech się no pan obudzi. — «Panyczu serce! pustite mene do jasne osweconoho pana, bo ja ne mohu czekaty.» — Ale mój kochanku, czy ty oszalał, żeby dla twoich śliwek budzić pana? Parę godzin poczekaj, a wolisz napić się wódki i śniadanie zjeść, niż nalegać, bym panu wczas przerywał. — «Spasybih za waszu myłost', ale ani pyty ani jisty nebudu, poki nepodywłusia na wojewodu. Bijtesia Boha, pustite; myni treba zaraz jechaty do Bociok. Zbudity pana, bo prysiajbohu, że win bude żuryty sia, koły sia doznaje, szczo mene za-

raz nepustyły; a koły ja breszu, to pisla byjty mene w smert, sam sia nawit położu.» — Odważyłem się wejść do sypialni pańskiej. — Co takiego? zawołał pan. — Jakiś kozak przybył z Ukrainy do JW. pana i ma list od JW. podczaszego litewskiego. — Na to pan: Zawołaj go tu natychmiast. — A sam zerwał się, chałat na plecy zarzucił, ale z takim pośpiechem, że zapomniał przeżegnać się, wychodząc z łóżka. Ja zawołałem kozaka, ten przyszedłszy, padł do nóg wojewodzie i podał mu list na czapce. — Soplico, weź list i czytaj głośno. — Czytałem nic w nim nie było, tylko prośba, aby JW. wojewoda wypuścił w pocesją starostwo bobrujskie, które do podczaszego należało, bo on gwałtem potrzebuje pieniędzy, a niżej w post scriptum znajdowały się te słowa: «Stósownie do twojego żądania dwie fury śliwek węgierskich posyłam ci z Murafy.» JW. wojewoda powiedział: Idź po Bohusza i przychódź z nim — a sam został z kozakiem. Zastałem pana Bohusza już ubranego i piszącego coś przy kantorku. Natychmiast poszliśmy razem i znaleźliśmy pana nalewającego kielich wódki. Jak tylko wszedł pan Bohusz, wziął go JW. wojewoda do okna i zaczęli z sobą coś szeptać, po kilkakrotnie na mnie pokazując. Potem odezwał się pan: Soplico, pójdz do tego gabinetu, znajdziesz wodę na fajerce, a przy niej mydlniczkę, mydło, pędzel i brzytwę. Przynies to wszystko i zabieraj się do golenia. — Zdziwiony, ale posłuszny rozkazowi pańskiemu, wszystko co potrzeba przyniosłszy, zacząłem brzytwę wecować na pasku, czekając aż pan siędzie, ale w wielkim strachu, bom w życiu nie golił nikogo. A pan powiedział: — Połóż, co trzymasz w ręku, na stole; a teraz przysięgnij mi na tę świętą ewangielję, że nikomu nie powiesz, co będziesz widział i słyszał; to co się robi, jest dla dobra ojczyzny. — Ja natychmiast przysięgę wykonałem, pan dał znak, kozak kląkł na środku pokoju, który zewsząd wewnątrz pozamykał pan Bohusz, a JW. wojewoda powiedział: — Soplico, ogól głowę temu kozakowi. — Coraz w większym zadziwieniu zacząłem golić; aż gdy się skóra pokazała, spostrzegłem litery selweserem na głowie napisane. Przybliżył się pan z w. Bohuszem i wyczytali następane słowa: «Pierwszego września powstaniemy, i wy powstawajcie; jak Korona z Litwą powstaną, Porta da pomoc.» Pan natychmiast w. łowczego wendenskiego posłał do Nieświeża z listem nic nieznaczącym, ale z obszerną instrukcją. Pan Bohusz raz za żyda, raz za cygana przebrany, to znowu w swej postaci, objeżdżał szlachtę; dość, że nie upłynęło trzech tygodni, a powstanie było prawie po całej Litwie. Ale cóż? Dywan został przekupiony przez Moskwę, Porta pomocy nie dała, a tak wszystko na nas się skrupiło. I cuda meztwa nie mogły przewałyć liczby i okoliczności. Jednak udawało się nam czasem. W Świsłoczy, gdzie pierwszy raz poznałem się z moskiewskimi

kulami, napadliśmy na pułk piechoty. Jenerał Liders nim dowodził, kapitulował on i zaręczył podpisem i honorem, że ani sam, ani nikt z jego komendy do końca wojny w Polsce wojować nie będzie. My zawierzywszy, pozwoliliśmy mu wyjść, a on w kilka dni znowu się bił z nami. Całe jego tłumaczenie się jego było, że buntownikom nikt nie jest obowiązany słowa dotrzymać. Byłem pod Kleckiem, gdzieśmy z milicją radziwiłłowską i zbieraną drużyną szlachecką ośm godzin trzymali się przeciw całemu korpusowi Podgoryczynina: tam obydwie siostry księcia Radziwiłła, JO. Rzewuska, chorążyna litewska, i JW. Morawska, jenerallejtnantowa, same z pałaszami w rękę atakowały na czele jazdy, ale tak silna była artylerja nieprzyjacielska, że nie było sposobu. W tej to bitwie Aleksander Odyniec, miecznikowicz wołkowyski, co później zginął pod Stołpcami, miał konia pod sobą ubitego i trzy palce u prawej ręki kartacz mu urwał. Gdyby Odyniec młodo nie był skończył, na wielkiego wodza by wyszedł. Kilka tygodni wprzód, pod Stołpcami na czele 200 szlachty i dworskich napadł był na brygadę moskiewską, w puch ją rozbił, obydwie armaty zabrał, a nie mogąc ich uwieść, zagwoździł. Pan Tadeusz Rejten, ów potem nieśmiertelny poseł, miał nad nim dowództwo pod Stołpcami, i tam nauczył się go cenić. Gdy pod Kleckiem obaczył go leżącego pod koniem zabitym, zaklinał wszystkich, żeby mu podali konia i uratowali go od dostania się w niewolę; a że nikt nie był rad poświęcić się, pan Rejten pośród ognia najokropniejszego podał mu swojego konia, i sam na los puszczając się, mówił: «On wam potrzebniejszy, niż ja, bo nikt was tak nie poprowadzi; a mnie czy ubiją, mniejsza o to ojczyźnie. Żeby po trzy palce utraciły wszystkie ręce, co ruble moskiewskie chwyciły, zamiast pocziwego Odyńca, los byłby sprawiedliwszy.» — Wtem jak zaczęli na nas sypać a sypać kartaczami, straciwszy połowę naszych, wzięliśmy się cofać w nieporządku. To jeszcze szczęście, że Moskwa, bojąc się powstania mińskiego, przestała nas ścigać i dała nam parę dni odpoczynku: miał więc czas książę wojewoda wileński nas zebrać i pójść na Ukrainę dla połączenia się z podczaszym litewskim.

VII.

TADEUSZ REJTEN.

Śmieją się z nas starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Ależ kiedyż bo i czas i ludzie, wszystko to było lepsze niż teraz! Wielkie sądy boże! Pan Bóg Sodomie był gotów odpuścić, gdyby się w niej przynajmniej dziesięciu sprawiedliwych znalazło; czyż już i tak małej liczby u nas nie stało, aby ojczyznę ocalić? Na to nigdy nie pozwolę: widać, że nasz upadek tylko chwilowy, że to jest zawieszenie bytu, ale nie zagłada, omdlenie, ale nie śmierć; po czem życie silniejsze i świetniejsze wrócić się koniecznie musi, jako z ziarna, co w ziemię rzucone przegniwa i zamiera, aby ożywić potem dziesięcioronasób obfitszy plon. Nędza i ucisk częstokroć bywały zwiastunami wielkich pomyślności. Dla tego ludzie mądrzy w naukach boskich, których zgłębić nie można, jeno przez wielką niewinność serca, są w obawie, gdy wszystko im się dobrze wiedzie: jęczą, że tak powiem, pod niezmordowaną pomyślnością i radzi, kiedy jaki frasunek niespodziany przerwie im cokolwiek pasmo, snute przeznaczeniem ciągle przyjaznem.

Takim był JW. Rejten, podkomorzy nowogrodzki, którego w młodości mojej często miałem szczęście oglądać, chodząc do szkół ze wszystkimi jego synami, oprócz pana Michała, co się wychował w Nieświeżu z księciem Karolem Radziwiłłem, hetmanowiczem wielkim litewskim. JW. podkomorzy był urzędnik, jakich i dawniej nawet nie wiele bywało; bo i rozum nadzwyczajny i sprawiedliwość jego, ledwie nie wyrównywały wzorowi zostawionemu nam w świętych sędziach ludu bożego. A pobożność i wiara! że gdyby nie pokora, umarłych by wskrzeszał. On to był szczególnym dobrodziejem OO. jezuitów

w Nowogródku, a ubogi tameczny klasztor dominikański przez jego szczodrotę został jednym z bogatych na Litwie. Bywało co miesiąc sprowadza zakonników do Gruszówki, by z nimi rekolacje odprawiać, i wtedy dyscypliną chłoscze się jakby jaki winowajca; nie tylko on, ale cała czeladź. «Mój chleb jecie — prawi — pokutujcie więc ze mną.» Strach w całym dworze, kiedy się jaki dominikanin lub jezuita pokaże: a żaden sługa go nie opuścił, starzeli się i umierali u niego, a byli przywiązani, że w ogień by za niego skoczyli, chociaż był groźny, że nie tylko służy, ale nawet żona i dzieci byli czuj-duch przed nim. Nadzwyczajne miał on szczęście: z rodziców już bogaty, majątek powiększał ciągle, lubo zdawało się, że o niego nie dbał. Ani się spyta, co się na poletkach dzieje, dyspozytory jak chcą rządzą, a on powiada: «U mnie Pan Jezus gospodarz, najświętsza Panna gospodyni.» Jakoż zdawał się na nich tak dalece, że miał dobra Berezdów w województwie połockiem, niedaleko Wielkich Łuk, do których przez całe życie swoje raz tylko na parę tygodni zawitał; a przecie kiedy je objął po ojcu, sześć folwarków tam było, a tyle ich pozakupił, że zostawił dzieciom piętnaście. Miał on jeszcze po ojcu Gruszówkę, w której mieszkał, trzysta chat w Mozyrskiem z własnego nabycia i dozwocie na Rubieżewiczach od księżnej kanclerzyny Radziwiłłowej, która za jego radami miliony ocalała. Nie znał wszakże zabiegów, o nic nie prosił i o własne się interesa nie troszczył. Na zaszczyty równie był obojętny. Dwa razy obrano go deputatem, raz posłem, potem sędzią ziemskim, nakoniec na najpierszy urząd województwa wyniesiony został; a na żadnym z tych sejmików się nie znajdował. Każde laudum i każdy przywilej szukały go w Gruszówce, a nie on ich w Nowogródku albo w Warszawie. Frasował się nieraz, że ta ciągła pomysłność nigdy się nie przerywa. Razu jednego zgorzał mu magazyn wódczany, w którym kilkoletni zapas był złożony: nic z niego nie uratowano, na trzydzieści tysięcy przeszło poniósł szkody, cały dom był w smutku, on jeden wesół rzekł: «Przecież choć raz się nie powiodło. Sobiem rad, bo Pan Bóg o mnie pamięta.» A to był jak żarcik Opatrzności: bo doby nie minęło, aż odbiera przywilej na starostwo krzyczowskie w Mściśławskiem, które na rok przynosiło więcej niż co dopiero utracił. Wszyscy się w domu cieszyli, oprócz niego. To mu spadło jak kamień z nieba, bo ani się starał, ani stosunków nawet nie miał u dworu. A w pożyciu domowem jaki szczęśliwy! Żona, to był anioł w ludzkim ciele, tak cnotliwa i piękna; syny, kawalero wie wzięci, że każdy ojciec ich mu zazdrościł; a córki były trzy: piękne panny, co wyglądały jak młodsze siostry przy matce. Za życia powydawał je za potomków pierwszych domów naszego województwa. Jednę wziął pan Paweł Jesman, chorąży słonimski, którego przodek był wojewodą smoleńskim; drugą

wydał za pana Kazimierza Haraburdę, starostę wiladymowskiego, którego ród w całej Litwie nie ma nad sobą starożytniejszego; trzecia poszła za pana Joachima Rdułtowskiego, kasztelanica nowogrodzkiego, co po śmierci teścia został podkomorzym naszym. — A do tego taki był zdrow, że już mu było niedaleko osmdziesiąt lat, a lekarstwa nie znał. To kiedy zapadł na słabość, która go przez cztery lata w łóżku trzymała i nakoniec życia pozbawiła, będąc okryty ranami i wielkie boleści cierpiąc (jak lekarze mówili, bo po nim tego nikt się nie mógł domysleć, tak mężnie wszystko znosił), gdy wszyscy płakali, on weselszy niż kiedykolwiek, powtarzał: «Oto mi teraz dobrze, że Bóg przecie do żywego mię dotknął: dopiero zaczynam dawniej sam siebie musiałem chłostać, a teraz mój pan łaskaw mię chłoscze.» Tak też Pan Bóg, jako zapewne duszę jego zabrał do swojej chwały, tak i na ziemi pobłogosławił jego pamięci, między tylu godnemi dziećmi dawszy mu Tadeusza, jednego z największych mężów naszej ojczyzny.

Gdyby najznakomitsza cnota ludzka mogła przeważać wyroki Najwyższego, pan Tadeusz jeden by ojczyznę ocalił. A jakkolwiek pozornie biorąc rzeczy, nie powiodło się jemu — co jest niezawodnem, to że pokąd ostatniego Polaka serce bić będzie, pamięć jego nie zaginie. On to nas postawił w tym stopniu, że ani Grekom Arystydesów, ani Rzymianom Katonów zazdrościć nie mamy powodu. A my szczególnie Nowogrodzanie, cieszymy się naszym ziemianinem, którego imię naród konający kazał złotemi literami napisać w miejscu obrad swoich prawodawców. Starzec, puszczę wodze nadziei, wszak mówią, że przed śmiercią czasem duch wieszcy ogarnia. Nasi wnukowie doczekają się, że w Nowogrodku Rejten ze spiżu posąg otrzyma. Rocznicę jego zgonu, urząd miejscowy, rycerstwo i naród, święcić będą. Co wiara ma najświętszego w swoich obrządkach, co rozsądek narodu może wynaleźć najokazalszego dla doświadczenia ogólnych uczuć, złączą się, by uwiecznić pamięć naszego bohatera. Ubogich kilka panien wyposażonych szczodrocią publiczną, corocznie u nóg tego posągu zawierają będą śluby z żołnierzami, co już swe lata odbywszy, na wysłużonem kawałku ziemi osiedlą. Matki synkom swoim pokazując jego rysy, będą im tłómaczyły, jakim sposobem w narodach wolnych zapory grobowe się zwyciężają. Nieraz pomimowolna pycha rozszerza piersi moje, że pierwiastki mojego żywota z nim przepędziłem, że od jednych mistrzów z nim nauki brałem, że obok niego na ławkach szkolnych siedywałem, że podzielał jego zabawy. Jest jakaś dziwna potęga cnoty. W szkołach panu Tadeuszowi wiśmy nad sobą wyższość przyznawali, lubo do nauk był dość tępym, a w zabawach najczęściej zamyślony, na-

wet ponury; nie miał tej giętkości towarzyskiej, innym niezbędną dla otrzymania popularności. Jeżeli jaki obywatel, nawiedzający OO. Jezuitów, o dawnych rzeczach polskich mówił, pan Tadeusz wszelkie nasze zabawy opuszczał, w głębokim milczeniu przysłuchiwał tym opowiadaniom i już nic z zadumaniem rozzerwać go nie mogło. Że klasztor był fundacji Jana Karola Chodkiewicza, jego obraz w kościele wisiał: to on bywało, jego oczy w niego wlepi, to aż się śmieją koledzy, a profesor mógł go dobrze potrząść, nim się opamięta, że w kościele na ołtarzu a nie na co innego patrzeć potrzeba. A czy tylko obraz mu takie roztargnienie sprawiał? Na korytarzu klasztornym wisiał mapa Polski: to idąc na zabawę, jak na nią okiem rzuci, stanął przy niej jak wryty i w nią się wpatruje tak zamyślony, że już nic koło siebie nie słyszy, choć studenci wrzeszczą, że ledwo by umarłego nie zbudzili; i nieraz rekreacja się kończy, a jego przy mapie jak zostawili tak zastają. OO. jezuiti długo usiłowali odczytać go od tego ustawicznego zamyślenia się, ale przekonawszy się, iż to było napróżno, dali mu pokój, ile że w postępach swoich był bardzo łagodny i pokorny dla zwierzchności szkolnej. Chociaż Jezuiti dość byli surowi w prowadzeniu młodzieży, kilka lat upłynęło, a pan Tadeusz ani razu nie był strofowany. Raz tylko odebrał karę, i silną, z następnego powodu: Między konwiktorami był już w czwartej klasie pan Władysław Oskierko, kasztelanic nowogrodzki, którego ojca ponieważ rozdziła ostatnia z domu Gosiewskich, znaczną swoją ojcowiznę Oskierkom przyniosła. Był to chłopiec wielkiej roztropności i dziwnie bystry w naukach. Otóż na majowej rekreacji zaczęto mówić o hetmanie Gosiewskim, o jego sławie i zasługach. Jeden z uczniów odezwał się, że zrobiwszy akces do Konfederacji tyższowieckiej, od tej pory zmazał planę swojego związku ze Szwedami. Kasztelanic w tym względzie bronił swego przodka, a pan Tadeusz, co temu dyskursowi przysłuchiwał się, przerwał swoje milczenie, mówiąc: «Panie Władysławie, wstydz się bronić złej sprawy, chociaż swego naddziada. Hetman późniejszymi zasługami zatarł swoją zdradę, to mu przyznaję; ale pokąd trzymał z najezdnikiem, któż śmie przeczyć, że był zdrajcą ojczyzny?» Pan Władysław dowodził, że uleganie okolicznościom nie jest zdradą, i że człowiek widząc, że siebie zgubi, a ojczyznę nie zbawi, bardzo roztropnie robi, kiedy wchodzi w układy z nieprzyjacielem, aby się zachował ojczyźnie na czas sposobniejszy. Na to pan Tadeusz tak się oburzył że porwałszy kamień, cisnął nim na głowę kasztelanica, aż ten się krwią oblał. Wielki z tego zrobił się rozruch w całym klasztorze. Postępek pana Tadeusza tem gwałtowniejszym być widziano, że kasztelanic z łagodnością się tłumaczył. Sam rektor świadczył pana Tadeusza, a potem kazał mu klęcząc przepraszać ukrzywdzonego kolegę. Ale pan Tadeusz pod plagami ani jednej łzy

nie puściwszy, powiedział: «Com zrobił, tego nie żałuję, i nie przeproszę, choćby mnie zabić miano; a każdego uderzę, co mnie powie, że godzi się wchodzić w zмовy z najezdnikami tycyżnymi.» Kilkakrotnie był bity, a nie go przemódz nie mogło. Jak się uparł, stał jak opoka nieporuszonym. Przesłał go białogłaz rektor, żeby mu zdrowia nie nadwałił, ale go do kozy parł, z kąd tylko na naukę wychodził, chcąc go tym sposobem upokorzenia się zmusić. Cztery tygodnie wytrzymał wszystko walecznie, aż JW. Oskierko, kasztelan nowogrodzki, przyjeżdżawszy do szkoły i dowiedziawszy się o wszystkim, sam go wyprosił. Gdy mu go przedstawili, zaczął go całować, mówiąc: Niech ci Bóg nie pamięta, żeś mi chłopca taką blizną obnarzył; ale szczęśliwa matka, co ciebie na świat wydała. Nie masz czego przeproszać mego syna, tylko proszę ciebie, bądźź mu odąd przyjacielem, jakim jestem twego ojca.» Dopiero się zmieknął pan Tadeusz i rzucił się w objęcia kasztelanica, przyrzekając mu przyjaźń, której stale dochował.

W szkołach księży jezuiti byli zaprowadzili różne zabawy, stosowne do obyczajów polskich, i one nam wielce smakowały; między innymi potykanie się na palcaty. Za klasztorem było miejsce obszerne, a na każdej połowie przy końcu przestrzni była mogiła usypana, którą nazywano taborem. Szkoła dzieliła się na dwie części, niby na dwa wojska potykające się. Cała wygrana zależała na opanowaniu taboru przeciwnego; i żararcie biliśmy się, aby swój obronić, a nieprzyjacielski zdobyć. Zwyczajnie dzielono się na Polaków i Moskali, a losy ciągnięte stanowiły, do których każdy z nas miał należeć. To pan Tadeusz, co był jednym z najlepszych w palcaty i niemiłosiernie w tych udawanych bojach częstował nacierających na niego; ile razy mu wypadało być Moskałem, najsłabszym nawet bić się dawał. Kiedyśmy podziwiali, że guzy bywało nosi od takich, co ledwo palcat w rękę trzymać umięją, on co słynie z siły: «Cóż chcecie, odpowiadał, kiedy ja i żartem znieść nie mogę, żeby Polaków Moskale bili. Ile razy choć zmyślony Moskal obuchańca oberwie, zdaje mi się, że ojczyzna coś wskórała, a ta myśl tak mnie jakoś opanuje, że bronić się nie umiem.»

Bywały częste zatargi między studentami a przekupkami i Żydami, i o to tak gęste skargi do profesorów, że rady sobie dać nie umieli, mając około tysiąca chłopców do szkół chodzących. Jezuiti wpadli na myśl szczęśliwą, której uskutecznienie wyrobili u JW. Jabłonowskiego, wojewody naówczas nowogrodzkiego, a to, aby był sąd szkolny przez studentów z pomiędzy nich samych wybrany, coby wszelkie sprawy ich z mieszczanami sądził bez odwołania. Jak to rozporządzenie przyszło do skutku, z początku lękały się przekupki być w sprawach swoich na dyskrekcji studentów; ale wkrótce błogosławiły tej usta-

wie, bo większej sprawiedliwości pod słońcem znaleźć by nie mogli. Popołudnia czwartkowe były przeznaczone na sądy, składające się z prezydenta, czterech sędziów, dwóch pisarzy i regenta. Studenci indukowali sprawy, a nawet żalące się stronie sąd dodawał obrońcę studenta. Wszystko tak szło porządnie, jakby w grodzie; a tym sposobem młodzież wprawiała się do znajomości prawa i do mówienia publicznie. Co roku sejmikowaliśmy dla wyboru urzędników, ale jakeśmy raz wybrali prezydentem pana Tadeusza, nie przestał nim być aż do wyjścia swego ze szkół. Raz nawet przekreślał księcia Radziwiłła, marszałkowicza nadwornego, co potem był koniuszym litewskim, lubo za nim sami księża jezuiti forsowali. To pan Tadeusz bywało, aż mu książki z rąk wydzierają profesorowie, tak się prawa uczy, aby do niego dekreta swoje stosował. Razu jednego brat jego, pan Józef, przez swawolę jakiejś przekupce garnki porozbijał, i o to się sprawa wytoczyła. Pan Tadeusz wstał, a przekupka tyle ufała w jego sprawiedliwość, że się npierała, aby koniecznie sądził; ale on tego nie przyjął, mówiąc: «Tu nie idzie o ufność, ale żeby robić jak prawo każe, a prawo nie pozwala, żeby powinny powinno sądził. Wolę prawa słuchać, niż się cieszyć chlubą, że w sądzie na rodzony brata nie oglądałem się.» — A że jak co wyrzekł, od tego i przed hakami by nie odstąpił, więc tak się i usunął.

Jak w szkołach był zapalonym Polakiem, tak z nich wyszedłszy, gorliwym był obywatelem; i można powiedzieć, że nie tylko każda myśl jego, ale nawet każde tchnienie było dla ojczyzny. Mając ledwo lat dwadzieścia, kiedy był jeszcze towarzyszem w chorągwi księcia Radziwiłła, powziął był chętkę do stanu małżeńskiego, ale prędko tego zaniechał. Była mu wpadła w oko panna Jewłaczewska, wojszczanka wołkowyska, co potem wyszła za pana Prota Chmarę, marszałka oszmiańskiego. Panna urodziwa, z domu karmazynowego, bo przed stoma laty jej przodek był wojewodą brzeskim; a jako jedynaczka, krocie były w nadziei. Otóż poznawszy ją w domu jej ciotki, w czesznikowej Bernowiczowej, z którą i dom Rejtenów był w swojactwie, zaczął się jej nieco zalecać (czemu jego matka była rada, bo już ojciec nie żył), i ze szwagrem swoim, panem chorążym Jeśmanem pojechał do domu w. wojskiego, niby dla odania mu uwagi, ale w istocie, aby lepiej poznać pannę, nim Pan Bóg ściślejsze związki przeczaczy. Ale tam przyjechawszy, obaczył w bawialnym pokoju wiszący konterfekt Piotra Wielkiego: to go tak zniechęciło, iż zaraz od swojego zamiaru odstąpił. Co się potem pan chorąży nie namęczył, aby go zwrócić do dawnego przedsięwzięcia! wszystko było napróżno. «Piotr, mówił, to był największy nasz wróg. On to nieboszczyka króla wciągnął w wojnę ze Szwedami, obiecał mu Infanty, które są

nasze wedle praw boskich i ludzkich; a potem jak wylazł z kłopotu, nie tylko że nie dotrzymał słowa, ale jeszcze z jego łaski zwinęto nasze wojsko, to wojsko, postrach bisurmanów, które pod Wiedniem całe chrześcijaństwo z ostatniej wyciągnęło toni. Wolę całe życie być kawalerem, niż brać żonę z takiego domu, gdzie pamięć nieprzyjaciela Polski jest w poważaniu, że aż obraz jego zdobi pokój, w którym rodaków przyjmują.»

Są rozmaite losy od Opatrzności rozdawane: jego losem było męczeństwo za ojczyznę; jakoż w istocie wtedy się tylko cieszył, kiedy za nią cierpiał, i tyle rozumiał swoje przeznaczenie, że zawsze był skwapliwym poświęcać siebie dla niej. Po śmierci Augusta III. Moskwa bez żadnego hamulca rozprzestrzeniła gwałty po całej Polsce, upoważniona poniekąd do tego przez kilku zwiedzionych obywateli, którym się zdało, że bezprawiem można ojczyznę pokrzepić, i że najezdnik przez nich sprowadzony, będzie w ich rękę ślepem narzędziem do ich zamiarów, może zbawiennych. Książę Karol Radziwiłł nie zapuszczając tak daleko swojej wyobraźności, ale pamiętny senatorskiej przysięgi, jako wojewoda wileński porzucił wici powołujące do pospolitego ruszenia obywateli, aby łącząc się z nim na obronę praw zdeptanych, oswobodzili grunt ojczysty, kalany najezdniczą przemocą. Pan Tadeusz, wówczas towarzysz, pierwszy zrozumiał, jakie są obowiązki żołnierza i ziemianina, i zaczął naglić kolegów, aby się nie wahali w powinności swojej. Dowódca chorągwi, człowiek poczciwy, ale podeszły w wieku, ojciec dzieciom i lękliwy, przekładał mu, że w tych rzeczach pierwi co zaczynają, ściągają na siebie odpowiedzialność; że bezpieczniej doczekać się jakiejś siły, do którejby się przyłączyć można, niż się na oslep wyrwać; że jakkolwiek zapał jest szlachetny, roztropność ma swoje prawa, któremi nie godzi się gardzić. Ta przekłeta roztropność jeszcze i wtenczas odurzała flakowate umysły. Ale pan Tadeusz odpowiedział mu: «Co mnie waszność pan rozumowania naprzeciw powinności stawisz! Bądź co bądź, róbmy to, co nam prawo i sumienie każe, a spuśćmy się na tego, co nas nie będzie pytał, czy my majątki lub zdrowie ocalili, ale czyśmy naszej powinności dopełnili. Silni zwycięstwem, zbawim ojczyznę; stali w cierpieniu za nią, wysłużym ją u Boga.» I pomimo oporu porucznika, chorągiew całą przekonał i ze Słucka przyprowadził do Nieświeża.

Zostawszy regimentarzem nowogrodzkim, wszędzie w potyczkach i niezachwianą wytrwałość i nieustraszone męstwo okazywał. Pod Kleckiem, widząc leżącego pod koniem pana Aleksandra Odyńca rannego, którego mając w swojej komendzie, znał nadzwyczajną zdolność, zrobił dla niego z siebie ofiarę: bo podawszy mu swego konia, tem go ocalił, a sam do-

stał się w niewolę, w której istnym męczennikiem przebył dwa lata i nie wyszedł z niej, aż kiedy Moskwa wszelki opór przelamawszy, utwierdziła na tronie Stanisława. Po rozwiązaniu się Konfederacji nieświeżkiej, wszystkim do czasu dano pokój, przywdziano barwę umiarkowania; skrupiło się tylko na księciu Karolu Radziwille, który odsądzony od urzędów i majątków, jeden tułać się musiał, nie mając innych przychodów prócz zasiłku, jaki z krwawej pracy przyjaciele z Litwy mu dosyłali. Jak to u nas zwykle, po wybuchnięciu wielkiego zapału następuje obojętność dla rzeczy publicznych, okraszona niby pobozną maksymą, że trzeba się zgodzić z wola Pana Boga, a więc czuć przestać; zaczęto oswajać się z narzuconym rządem i sobą się tylko zajmować. Ale pan Tadeusz był z malej liczby tych, co ani na chwilę nie stracili z pamięci obelg Rzeczypospolitej wyrządzonych: od wszystkiego się uchylił, wymówił się od ofiarowanego mu imieniem króla stołka w radzie nieustającej, ani się nawet na sejmikach znajdować nie chciał. Siedział w Gruszówce, z początku obcował z odwiedzającymi, ale ta wesołość, którą oni chcieli rozpędzić jego ponure myśli, tak mu się stała przykrą, że potem rzadko kiedy przerywał swoją samotność, i o tyle tylko, aby się nie omijać z prawidłami gościnności. Powtarzał braciom zawsze: «Ja mam się weselić, kiedy nasz wódz na wygnaniu?» — I wkrótce nawet od nich zaczął stronić. Ale nie miał to być jeszcze kres jego zawodu. Moskwa, co więcej jeszcze pragnęła naszej czci niż naszych dzierżaw, nie długo zasypiała. Już była zhańbiła część narodu, trzeba jej było jeszcze ohydzić to, co u nas było najszlachetniejszego, trzeba było pasmem nieprawości uwikłać najenotliwszych mężów. Złudziwszy więc zwodniczymi obietnicami, pobudziła ich, aby podnieśli Konfederację dla zrzucenia z tronu tego Stanisława, którego ze wzgardą całego narodu przemocą była usadowiła; a gdy tak zawiązała się Konfederacja radomska, chciała nawet żeby jej marszałkiem był ów tułający się książę Radziwiłł, który za nieugięte przywiązanie do swobód ojczystych i za nieubłaganą nienawiść ku Moskałom ciągle był prześladowany. Zdjęto z niego banicję, wrócono mu nieprawnie odebrane urzędy, zrobiono go, że tak powiem, naczelnikiem narodu, nawet nad wojskiem moskiewskiem poruczono mu dowództwo. Konfederacja zmieniła się w sejm, wszystko brało na się postać, jakby głos sumienia odezwał się w naszych wrogach, jakoby dla nas sprawiedliwymi być chcieli. Komu dziś tajno, na czym skończyły się te nadzieje? Porwanie na Sybir trzech senatorów i jednego posła dało poznać światu, jakie są zasady rządu moskiewskiego, jak tam rozumieją prawa narodów, i czym jest w istocie pozorne ukształcenie tego państwa. Ale ta obelga obudziła naród jakby z jakiego letargu. W wielu województwach pochwycono oręż; Konfederacja barska się podniosła.

Pan Tadeusz natenczas znajdował się w Berezdowie, gdzie mógł się oddać samotności więcej niż w Gruszcówce. Tam jedyną jego rozrywką było polowanie w niebotycznych puszczech. Ale ledwo wieść go doszła o usiłowaniach narodu, chciał być z liczby pierwszych powstańców. Zawiązawszy stosunki z sąsiadami, usiłował ożywić w nich tlejącą miłość ojczyzny i w lasach białoruskich zaprowadzić wojnę zażartą, ale nie mógł siły swego ducha włać tamecznym mieszkańcom. Większa ich część życzyła wprawdzie dobrze sprawie narodowej, ale ci radziby widzieli rzeczy pewniejsze, a byli tacy co także Moskwie sprzyjali. Dość że używszy wszelkich środków, uzbroidł kilkuset ludzi, chociaż najwięcej z dóbr swoich. Co się tyczy obywateli, było tego cokolwiek, co mu dało słowo i nawet przyłączyło się do niego na wstępie; ale jak jednemu z nich Moskale wieś z dworem spalili, wnet ostygła miłość ojczyzny we wszystkich, że ledwo kilkadziesiąt szlachty przy nim zostało. Trzymał się jednak w puszczy; ale gdy Moskwa puściła na niego obławę swoich jędrów, a znaleźli się tacy, co im drogę pokazali, żeby tą usługą zalecić się carowej i zatrzeć pamięć pierwszych dowodów niechęci, trudna była sprawa dla Tadeusza. Robił wszakże jeszcze co mógł: ze łzami błagał swoich, aby się bronili do upadłego, a nie hańbili imienia polskiego; mówił im: «W lesie jeden za dziesięciu stanie; albo oni wiedzą siła naszych?» — Ale? nie wiedzą! — odpowiadali obywatele z nim będący. — My, to prawda, że nie wiemy wiele ich jest, ale oni co do jednego policzyć nas mogą, albo ten i ten ich już nie nauczył na pamięć?» — A pan Tadeusz zmęczony jakby się żywymi gadzinami nakarmił: — «Pozwólcie — rzecze — niech ja ich policzę; może ich tylko garść dla postrachu, a wy na oślepe trwożycie się. Nie rozpierzchajcie się tylko póki się nie dowiem.» I na nikogo nie spuszczał się, że był zręczny do łażenia na drzewa, włazł na ogromną sosnę, jakby pszczelnik jaki. W istocie, jak nam potem nieraz powtarzał, nie było tam tego tyle, żeby się im nie oprzeć; ale tameczna plugawa szlachta, skoro tylko przestał im bechtać w uszy o powinności, rozsypała się natychmiast. Jedni gajowi czekali przynajmniej, żeby na oczy zobaczyć Moskali, ale i ci przed nimi w nogi, widząc się opuszczonymi. Tak Moskale w lesie, a pan Tadeusz na sośnie. Szczęście że go nie postrzegli, bo jak głuszcza byliby położyli. To on dopiero późną nocą z sosny zszedł, a do Berezdowa nie mając czego iść, bo tam już byli goście, co mu dom zrabowali do szczętu, a potem spalili, że magazyny, stodoły, wszystkie zabudowania jeszcze za nieboszczyka przez dwadzieścia lat może stawiane, jednej godziny w popiół się zamieniły; jak mógł do Gruszcówki przedzierał się, na kształt zwierza błędząc po lasach. Pan Bóg, co go do większych rzeczy chował, nie dopuścił mu wpaść w ręce

- Moskali, bo niezawodnie byliby go zamęczyli. — W Gruszówce rzecz inna: każdy nowogrodzki szlachcic dawał mu ile mógł swoich ludzi; zaraz tedy kilkuset kozaków, najwięcej z dworskich, własnym kosztem uzbroidł i ze swoim dawnym Aleksandrem Odyńcem wystąpił w pole. Znajdował się on w nieszczęśliwej stołowieckiej potyczce; gdzie hetmana Ogińskiego rozbito przez zdradę pana Gielguda. Tam kartacz zgruchotał głowę Odyńcowi, a pan Tadeusz mózgiem jego obryzgany został. Ta śmierć była mu krzyżem do dźwigania, bo w niej upatrywał wielką klęskę dla kraju, i nie bez słuszności. Nie w jednej bitwie walczył jeszcze do końca, nareszcie rozwiązała się Konfederacja barska: zbrodnia i przemoc zgmiotły nienawiść i prawość.

Zbierał się sejm, ale już było wiadomo, że się gotował przezeń okropny, a w dziejach naszych niesłychany zamach na ojczyznę. Pan Tadeusz, co nigdy o żaden urząd nie prosił i nawet unikał dotąd sejmików, podał się na posła, aby na ostatnim szanću prawa bronić sławy narodu. W poselstwie nowogrodzkiem Michał Korsak został kolegą polskiego Katona. Zgromadzają się zatwardziali lub przelekli prawodawcy w Warszawie. O dntu najhaniebniejszy, a razem najchlubniejszy dla Polski, w którym nasze nowogrodzkie poselstwo usłyszało głos znieważonej i konającej ojczyzny! Wszystkie ulice miasta zaległy uzbrojeni Moskale; lonty zapalone grozą śmiercią każdemu, co jeszcze resztek sumienia w sobie nie przytłumił; zniewieściał monarcha idących do sali posłów ze łzami błaga, aby daremnym oporem nie gubili ojczyzny i siebie. Zasiadają posłowie: jedni jakimś dzikim uśmiechem chcą pokryć wewnętrzne pomieszanie, drudzy łzami zdradzają i pocziwość uczuć i słabość duszy; kilku tylko wypogodzonym obliczem okazują, że wszystko prócz Boga poświęcą, że za drzwiami izby zostawili co tylko do żywota przywiązywać ich mogło, że są przygotowani do wszelkiej walki i ofiary. Kanclerz ogłasza propozycję królewską, aby zawiązać sejm pod konfederacją, i zaprasza Ponińskiego na marszałka. — Zgoda — odpowiedzieli (jednak drżącym głosem) zaprzędani posłowie — zgoda! — jeszcze słabiej powtórzyli posłowie przeleknięci. — «Nie ma zgody — odezwał się Rejten — na sejm walny jesteśmy zebrani, a nie na konfederację; przystąpmy do wyboru marszałka walnego sejmku.» — Tadeusza Rejtena obierajmy marszałkiem! — zawołał Korsak, Bohusze-wicz i trzech innych posłów kupiących się przy Rejtenie. Zdumiali się wszyscy. Rejten porywa łaskę i sesję zagaja. Przez kilka chwil kanclerz Poniński i inni jurgeltnicy moskiewscy zamilkli, większa część izby poczuła chętkę do powinności wrócić; ale z jednej strony zatwardziali zdrajcy, z drugiej lonty przybliżające się do panewek, przyduśli ten słaby płomyk cnoty. Okropny szmer powstaje jakby na zbiorowisku piekielnych du-

chów. — «Nie damy się owładać pięciu posłom, konfederacji chcemy i Ponińskiego za jej marszałka!» — Wyrodni wydzierają łaskę Rejtenowi; pięciu opiera się wszystkim. — «Nie ma zgody na konfederację! — krzyczy Rejten. — Na Boga, na rany Chrystusa, zaklinam was, bracia, nie plamcie imienia polskiego! Pamiętajcie na waszą przysięgę! pamiętajcie, że podział kraju zaraz po zawiązaniu konfederacji nastąpi!» — Świętokradzkie ręce biją Rejtę i jego kolegów. Poniński ośmielony, już z łaską w ręku śmie sejm zagajać. Korsak i Bochuszewicz szamocząc się między oprawcami, krzyczą: — Nie wyjdziem z tej izby, chyba trupami, a na zdradę ojczyzny nie pozwolim. — Ostatniego środka legalnego chwytą się Rejten: — Sciso activatem! — mówi — sejm zerwany, nie masz sejmu! — «Nie masz sejmu! — powtarzają wierni męczennicy.» — «Panowie bracia — odzywa się Poniński — widać że ci panowie zmysły mają pomieszane; nie oglądajmy się na nich, a postępujmy w obradach naszych. Zapraszam panów do spisania aktu konfederacji.» — «Zdrajco! — krzyknął Rejten — jak ty śmiesz marszałkiem się ogłaszać, kiedy nie ma sejmu!» — Poniński solwował sesję na dzień pojutrzejszy, a posłowie się porozchodzili, oprócz wiernych tych sześciu, którzy zostali dla zanieśienia manifestu. Trzy doby siedzieli oni tam zamknięci o głódzie, a potem nareszcie wypuszczono osłabionych. Nie było ofiar, któremi by ich nie kuszone, aby od manifestu odstąpili, a zrobili akces do konfederacji. Rejtenowi dawano łaskę mniejszą litewską i starostwo Borysowskie; Korsakowi i Bohuszewiczowi kasztelanje i intratne królewsczyzny; innym trzem inne obcywano zyski. Niecnota Poniński śmiał sam z Rejtenem o tem mówić i znieść jego oblicze. — «Podły człowieku! — odpowiedział Rejten — mam z sobą trzy tysiące czerwonych złotych i te ci oddam, a opamiętaj się.» Straszono ich odsądzeniem od czci i konfiskatą majątków; ale ci mężowie milczeniem pełnem pogardy przyjęli ten postrach. Wywieziono ich nakoniec za miasto, a pan Gurowski, któremu zlecono było odprowadzić ich do pierwszej poczty, dodając szyderstwo do innych pocisków, powiedział im tam: «Bywajcie waćpanowie zdrowi i probujcie nową konfederację przeciw nam podnieść, jeśli znajdziecie równych sobie półgłówków. Ale pamiętajcie, że Najświętsza Panna tego zmasać nie potrafi, co carowa jejmość o nas napisała.»

Pan Tadeusz osiadł w Gruszówce, ale to pasowanie się ciągle a świeżo odbyte, to zranienie najdrażliwszych uczuć, znacznie mu zdrowie osłabiło; tem więcej, że w czasie owej rozbójniczej sesji jeden z tych potworów wydzierając mu łaskę, silnie pięścią w ciemię go ugodził. Przy innych boleściach, często cierpiał zawrót głowy, a w ciągłych zadumaniach noce

bezsenne przepędzał, jednak śladu nie było nadwątlenia umysłu. Ale jak doszła do niego wieść o pierwszym podziale ojczyzny za zezwoleniem jednomyślnem skonfederowanych stanów, tego ciosu wytrzymać nie mógł — i rozum jego rozbił się, przywalony sromotą publiczną. Nikomu do siebie przystępu nie dawał, każdego nazywając zdrajcą i nikczemnikiem, że nie biegnie do Warszawy ojczyzny ratować. Gdy dał się słyszeć, że sławy narodu swojego przeżyć nie chce, zaczęli bracia mieć go w pilnej straży. Całe obywatelstwo nowogrodzkie biegło do Gruszówki oglądać swojego posła na łożu boleści, z umysłem nadwreżonym w usługach ojczyzny, pogrążonego w ostatniej rozpacz. Ale nie dawał się widzieć, mówiąc: — Ja ich nie znam. Obywatele nowogrodzcy są w Warszawie, oni zdrajców ojczyzny myślą rozsiekać, a nie z chorym gawędzić. — Kiedy osmieliłem się go nawiedzić, gdy mię jemu obznajmiono, przypomniał mnie sobie: — Seweryn Soplica, to kolega szkolny i wojskowy; a dobrze, niech wnijdzie. — Uprzejmie mię powitał i z początku spokojnie rozmawiał, ale zamyśliwszy się, zaczął z ruska przebąkiwać: — A co, panie Sewerynie, nie wieszujesz mi szczęścia, żem postąpił na Moskala? Berezdów już w gubernji białoruskiej, ja carowej poddany. Proszę mi mojego zaszczytu nie odejmować: mnie sejm je oddał. Jestem mu wdzięczny, bo tam Ponińskich nie masz. — I zaczął drzeć na sobie wszystko i porywać się, że gdyby go słudzy nie przytrzymali, na mnie by się rzucił. Ze łzami go pożegnałem. Matka jego, JW. podkomorzyna, z wielkiego żalu opuściła była Gruszówkę i aż w Mozyrskie się przeniósła, nie mogąc znieść cierpień syna. Jakoż wkrótce skończył swoją pielgrzymkę na tym padole płaczu. Przez okno obaczył wysiadającego z powozu generała moskiewskiego, który stał w Nowogrodku, a przyjechał oddać rewizytę panu Michałowi, natenczas gospodarzowi Gruszówki. Pan Tadeusz chciał koniecznie iść na pokoje i odgrażać się na generała, ale ludzie go nie puścili i zamknęli. Wtedy wpadł w jakieś zapamiętanie, i szyć u okna robiwszy, szkłem uraził sobie jelita. We dwa dni po tym przyпадку ducha Panu Bogu oddał. Mówię Panu Bogu, bo na kilka godzin przed skonaniem zupełna przytomność mu wróciła i najprzykładniej gotował się na śmierć, której tyle razy nieustraszony szukał. Panu Michałowi różne jakoby przepowiednie o dalszych naszych losach robił, których ten szanowny jego brat nie chciał przed ludźmi odkrywać, mówiąc: — Nie chcę was zasmucać; bo co ma być dobrego, to tak daleko, że się żaden z nas nie doczeka, a bieda na karku. —

Potem tylko Zbawicielem naszym i jego najświętszą Matką był zajęty, ofiarując im te nowe cierpienia, które w nieprzytomności sobie zadał.

— Rozmyślnie nigdy mojego Stwórcy nie obraziłem i najmniejszego powątpiewania nie miałem o wierze. Tuszę, że jego miłosierdzie i zasługi jego najdroższego syna mię nie ominą; a cierpienia mnie nędznego ofiaruję tobie, o Panie, za moją nie-
szczęśliwą ojczyznę. —

To były jego ostatnie słowa.

VIII.

PAN REWIEŃSKI.

Był u mnie dnia wczorajszego pan Wolski, wnuk naszego niegdys, a teraz nieboszczyka sędziego ziemskiego, a osobliwego mego łaskawcy. Ten kawaler bardzo piękny i przyzwoity, wychowanie swoje zakończył w niemieckich szkołach; ale pięknie myśli i miewa bardzo dobre zdanie; kocha szczerze ojczyznę po swojemu, i choć go często nie rozumiem, bo jakoś się tłumaczy zbyt mądrze, ale go szczerze poważam, i wdzięczny mu jestem, że choć roku nie ma jak osiadł na wsi, przecie kilka razy już nawiedził dobrego przyjaciela jego ojca i dziada, a że to czy z ciekawości, czy może tylko z grzeczności lubi słuchać to, co ja tam rad o starych rzeczach opowiadam. Jakoż nigdy bez łez nie mogę wspomnieć sobie o ś. p. Ignacym Rewieńskim, który po dziadzie jego a swoim teściu otrzymał sęstwo ziemskie za jednomyślną wolą całej szlachty księstwa nowogrodzkiego i był wzorem dobrych urzędników. Przy pewnej oszczędności żył on ledwie nie po pańsku. Wystarczały mu dochody i długów nie zostawił, chociaż dom jego przed nikim nie był zamknięty i częste bywały u niego zjazdy, a każdy był nakarmiony, napojony i ugoszczony jak się należy.

Otóż sędzia przy końcu kadencji trzechkrólskiej powiedział mi po sesji: — Panie Sewerynie, proszę waści na zapusty do Omniewicz, ale przywieź nam i żonkę.» Skłoniłem się sędziemu, dziękując mu uniżenie, że raczy o nas pamiętać; albo to tacy byli sędziowie jak dziś! Tedy z moją Magdusią bryczką krytą (którą mi w wojski Jabłoński dał pro honorario za odbytą kondycensję na gruncie z ojcami Bazyljanami nowogrodzkimi) puściłem się do Omniewicz. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach bryczka kryta nie była rzeczą powszechną, i palestra nasza, choć z obywatelskich synów złożona, ślicznie wózkami

ruszała; ale gdy mnie bryczkę dano, czemuż miałem jej sobie i żonie żałować?

Sędziogo dom nie był pałacem, ale ileż tam mieściło się gości! Dziś by tego nikt umieścić nie potrafił; a jaka uprzejmość, jaka szczerłość, jaka wesołość! — Ja z żonką stałem na folwarku u dyspozytora, który, jakto wtenczas bywało, nie służył, ale przyjacielem był pana, nawet miał z nim jakieś powinowactwo. Oprócz nas jeszcze troje małżeństw mieściło się w pokoju, a dwoje w alkierzu z ekonomstwem. A co też tego było we dworze: w sali jadalnej pięć stadeł. Młodzież roztasowała się po chłopach. To co dzień z rana w. sędzia wszystkich obiegł i każdemu dzień dobry powiedział, przepraszając za niewygodę, chociaż nie było za co przepraszać. Pewnie nikt się nie obudził przed sędzią, bo to u nas był wielki wstyd, żeby gość był wprzód na nogach niż gospodarz. A wielmożna sędzina wszystkie obywatelki obchodziła z sędziankami i nie jedną czasem w łóżku zastała, chociaż już i pacierze odbyła i kawę ze śmietanką wszystkim gościom sama porozylała. Około dziewiątej z rana wszyscy zbieraliśmy się na pokojach, gdzie już i sędzina i sędzianki poubierane siedziały, a żeby gości bawić, a gospodarz przyjmował ich w sieniach i wprowadzał do żony każdego, nie wchodząc w jego godność. Bo chociaż my niżej umieli czuć powagę urzędu i wieku, znaliśmy jednak dobrze, że jako szlachta wszyscyśmy byli równi. Otóż ja, co tylko suseptantem byłem, to kiedy mnie wielmożny sędzia, tak majątny i dostojny obywatel, w sieniach witał i nisko kłaniał się, i przed sobą do pokoju wprowadzał, umiałem przyjąć jego łaskawą grzeczność i w kolanom go całował: a przecie gdyby mię inaczej przyjął, poczytałbym siebie być silnie ukrzywdzonym. Zebrawszy się tedy w pokoju bawialnym, pocałowaliśmy rączki wszystkich pań, poczynając od gospodyni i jej córek. Sługa wszedł z gorzałką i zakąskami. W. sędzia odezwał się: — Panowie dobrodzieje, raczcie się rozgościć — i odpasał szablę, a my wszyscy poszli za jego przykładem i w kątyśmy je poustawiali, ale tak, żeby każdy o swojej szabli wiedział; bo jak tylko jaki senator lub wysoki urzędnik przyjeżdżał, trzeba było nam wszystkim szablę przypasać, biedz do sieni za gospodarzem dla przyjęcia gościa i wprowadzić go do pokoju, a dopiero odpasać się, gdy on sam się odpasze. Ale ta grzeczność obowiązywała tylko względem ministrów, senatorów, dygnitarzy i podkomorzego; a nas palestrę także i względem urzędników sądowych, jako nad nami zwierzchność mających. W. sędzia, gdy widział wszystkich rozgoszczonych, nalał kieliszek gorzałki i spełniwszy go, oddał wraz z flaszką gościowi, którego uważał być najznaczniejszym, a ten toż samo zrobił; tak że każdy z nas z jednego kieliszka pił, i dopiero ostatni wypiwszy, służącemu nalał, który po spełnieniu odnosił gorzałkę do kredensu, a wszyscy do

wędlin się rzucali. Wiedzieć potrzeba, że jeżeli się znajdował książdz, co zawsze bywało, od niego zaczynało wódkę; chyba że był senator, a i ten zawsze jakieś ceremonje z księdzem robił. I to się chwali: bo książdz do świata nas wprowadzał, i daj Boże, aby ze świata wyprowadził; a potem nie wiecie, co to był książdz za naszych czasów. To bywało książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, na którego często patrzałem, a nigdy bez strachu, choć go z serca kochałem, jak i wszyscy, co go znali, miał dziesięć tysięcy ludzi w swczej milicji; a dwór jaki! Nie tak to łatwo było w oczy mu spojrzeć; a że nikt nie jest bez ale, był porywczym: to jak się rozdała na kogo, czy to z plotki, jak po wielkich dworach bywa, czy z jakiego widzimisię, wie Bóg, jaki rozkaz na niego wyda, i pod ziemią szlachcic od niego nie byłby bezpiecznym; a jak takiemu dać radę? Perswadować, to zamiast jednemu dwóm byłaby bieda: oto udawano się do księdza Kantembrynga, proboszcza nieświezkiego. — Książę chce mnie ukrzywdzić, pobudzony przez złych ludzi, ratuj mię! — A on natychmiast do księcia: — Mości książę, czy to się tak godzi? Wszak Wasza Książęca Mość nie pierwszy ordynat nieświezki: gdzie się podzieli antenaci jego, tam i książę pójdiesz; a jak się Panu Bogu pokazać, kiedy kto płacze na waszą książęcą mość? Zaniechaj książę tych impetów, a w imię Zbawiciela proszę cię, abys rękę podał struchlałemu nieborakowi, którego gniew waszej książęcej mości tak przeraził, że nie wie gdzie się podział. — To książę rad nie rad a ustąpić musiał, i jeszcze chudego pacholka obdarzył, nagradzając mu strach, a tak najczęściej wszystko przyzwoicie kończyło się.

Po gorzałce zaczynały się zabawy przedobiednie. JW. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, który zaszczycał towarzystwo nasze swoją bytnością, siadał do marjasza w pułę z gospodarzem i z JW. Rdułtowskim, chorążym nowogrodzkim, którego żona była rodzona siostrzenica księcia Karola Radziwiłła, a on sam był orderowy pan. A choć to byli możni ludzie, po złotemu tylko grali; bo to była u nas wielka sromota w karty się zgrywać: nie tak jak teraz, co lada szlachcic, często i nieosiadły, złoto na karty sypie. Prawda że i za naszych czasów niektórzy panowie w Warszawie poprzyuczali się szulerki; ale to im się nie chwaliło. Książę biskup Masalski po całych nocach bywało grywał w swoje francuzkie karty, to też i pięknie skończył. A w Nieświeżu francuzkich kart dostać na lekarstwo nie można było, bo książę tego towaru srodze Żydom zakazywał i za to niemilosiernie plagami ich karał. Więc panowie marjaszem, a my niżsi rozmową starszych zajmowali się. Mówiono o sejmach, o posłach, co się na nich waławili, o prawach, o swobodach naszych; o Konfederacji barskiej świeżo rozwiązanej, o nieszczęśliwych braciach, co za grzechy nasze zakordonowani zostali; o haniebnym sejmie, który ich niewolę ratyfikował,

a w którym nasze nowogrodzkie poselstwo taką sławą się okryło, co nie dziw, bo w żadnym czasie nasze województwo się nie spaskudziło. Rejten i Korsak byli nasi ziemianie, i Bohusz, sekretarz i dusza Konfederacji barskiej; a później w tak rozrodzonym obywatelstwie ani jeden się nie znalazł, co by do obrzydłej Targowicy przystąpił. W tych nieszczęśliwych czasach bez wielkich ofiar nie można było być pocziwym; a że ci ludzie te ofiary robili w Bogu dla dobra kraju, nie byłbym Chześcianinem, gdybym nie był pewny, że te zasługi i cierpienia trwają u Boga i przepaść nie mogą, i zbudują nam gmach — a kiedy? — wie ten, któremu na czasie nie zbywa i który powiedział, że niesprawiedliwością narody upadają. I ja, dzięki Bogu, w cierpieniach doczekałem się zgrzybiałości, i ran kilka odniosłem i dwa razy zrabowany zostałem od szcztetu. Pomijam, że jak to było w obyczaju, zawsze ojczyźnie służył o swoim, bez zapłaty; nie tak jak dziś, co usługi na tandet wystawiają, jak stare pludry. I na Sybir porwany zostałem od żony i dzieci, gdzie dwa lata z górą biedowałem, i w wolnym narodzie wolny szlachcic urodzony, na mniemanych ich inkwizycjach w Smoleńsku kilkam razy batogami do omdlenia zbity został; a przecie żadna moja łza na ziemię nie upadła; każdą na łono Boga mego posłałem, błagając go, aby te krzywdy moje na korzysć ojczyzny poszły: a że w czasie gorących modłów moich odemnie twarzy nie odwracał, pewny jestem, i ta pewność osładza mi bojaźń śmierci, która do mnie starca już tuż nadchodzi.

Ale prócz tych naszych ważniejszych rozmów, przez politykę dla kobiet, mówiono o rzeczach, które ich bawić mogły. Pamiętam jak je szczególniej bawił pan stolnik Siemieradzki, który był bardzo krotofilny i którego gdy nie było, zawsze czegoś nie stawało kompanji; opowiadał on nam o Niemcu kuglarzu, którego kiedyś widział w Królewcu, którego dziwne omamienia umiał na ludzi rzucać; kłął się, że tak wszystkich i jego samego omamił, że im się zdawało, iż pokój był wodą napelniony, i kiedy wszyscy przestraszeni zabierali się już do ucieczki, postrzegli że nie ma nic i że sucho w izbie. Prócz tego, że żaden jurysta gębą tak wyraźnie się nie wytłomaczy, jak on kuglarz brzuchem; inne podobne rzeczy opowiadał, czem nas wszystkich zadziwiał, a do tego miał swoje koncepta w opowiadaniu, że za boki od śmiechu trzeba było się trzymać. Potem jak zaczął udawać Żyda śpiewającego majufes, ale tak zabawnie, że chorąży Rdułtowski aż grę przesłąpił i dubę dostał, a przecież się nie zasepił, taki mu był śmiech; on to i koty umiał udawać, i jak się dziady z babami kościelnymi poswarza: a któżby te wszystkie jego krotofile zapamiętał. Jemu ten do-wcip na dobre wyszedł, bo choć zacie nie był urodzony, ale z rodziców podupadłych, zatem od młodości jako chudy pacholek po służbach chodził, aż przypadkiem dostał się do księcia Ka-

rola Radziwiłła, którego silnie polubił za te jego koncepta, dobrze go ożenił, obdarzył dożywociem porządnym i na człowieka go wykierował: czego mu nikt nie zazdrościł, bo był człowiekiem dobrym, nie wstydział się ubogich swoich krewnych, owszem im świadczył i rad mawiał, będąc już stolnikiem, o młodości swojej w ubóstwie przepędzonej, co mu wiele przyjaciół na sejmikach przyczyniało,

Potem zaczęto mówić o gospodarstwie, do czego i kobiety się mieszały. Pani sędzina powiedziała: — Muszę się mojem gospodarstwem pochwalić — i kazała przynieść rozmaitych kształtów moteczki i płótna swojego urzędzenia. Wszyscyśmy wychwalali jej pracę, a ojciec gwardjan Bernardynów z Iwieńca, co przez ten cały czas trzymając na kolanach małego sędziego, obrazkami go bawił, odezwał się: — Laus tibi Christe, żeś mnie do Omniewicz przyprowadził. Właśnie nasza zakrystja obdarła się, w latanych albach, za dobrodziejów Boga prosim, a tu piękne lniane płócienka tęsknią do kościoła i same proszą, ażeby ze mną pojechały do Iwieńca. — A sędzina mu na to: — Wybierz sobie jeden półsetek, ojcie gwardjanie, masz do tego prawo: wszak ja wasza dłużniczka za cebulki tulipanowe, coś mnie przyniosł w jesieni. — Pan sędzia odezwał się: — Ale wybierzże ze wszystkich półsetków najcięższy; bo oskarżę cię przed kapitułą, że nam takich gwardjanów przysyła, co się na gospodarstwie nie znają. — Wtem Wawrzyniec kredencierz wszedł z serwetą na plecach i coś sędziemu szepnął, a sędzia wstawszy, powiedział żonie: — Kochanko, prosz JW. kasztelana do stołu. — Za przykładem pierwszej pary my wszyscy wzięwszy kobiety pod rękę, poszliśmy do sali, gdzie stół był zastawiony, a przy nim stolki i ławki. Siedzieliśmy wszyscy za stołem, oprócz samego sędziego, który jako gospodarz chodził od jednego do drugiego w koło stołu, aby usługi z oka nie spuścić. Nadmienilem o Wawrzyńcu kredenczerzu, bo tego sługę znała cała palestra nowogrodzka. On na rękach kiedyś nosił sędziego, a u nieboszczyka wojskiego Rewieńskiego, wielkiego myśliwego, był dojeżdżaczem, potem lat kilka furmanem i wozził go raz do Warszawy. Była to kronika żyjąca domu Rewieńskich. Pamiętał kiedy nieboszczyka wojska w cięży chodziła z sędzią, jak cyganka jej wróżyła, że będzie miała syna, co w zaszczytach przejdzie ojca swego; i to często młodemu paniczowi przypominał. Otóż kiedy ten później wybrany został sędzią ziemskim, pierwszą rzecz, co zrobił, to, że całą familję Wawrzyńca od wszelkiej robocizny uwolnił, a jego samego z furmana na kredenczerza postąpił. Co kadencji Wawrzyniec z panem swoim przyjeżdżał do Nowogrodka: to my co dzień bywało na atencję do sędziego chodzim, którego choć czasem we dworku nie było, Wawrzyniec nas wszystkich wódką traktował, a sam, nie wiem, czy jej smak znał, tak był trzeźwy. Lubił on tylko o sta-

rych rzeczach gadać, osobiwie o polowaniach nieboszczyka. Za stołem u obiadu stojąc, do dyskursu się mięszał, ile razy o nieboszczyku mówiono; bo sędzia jemu wielkiej do siebie konfidencji pozwalał, że był bardzo do państwa przywiązany i tego znał służbę. Czasem kilkadziesiąt gości u sędziego dobrze podochociło się, a pewnie ani jedna butelka na bok nie poszła. Do tego koni na nosaciznę, a psy na robaki miał sekret leczyć, czego sam kilka razy byłem świadkiem.

Przy obiedzie po pierwszych potrawach zaczęto kielichem się bawić. Kielich nie wielki zaczął kolejno obchodzić; jedni winem, drudzy miodem zdrowia rozmaite pili. Gospodarz zaczął od JW. kasztelana Jeleńskiego, w ręce chorążego Rdułtowskiego, a wkrótce potem w ręce kasztelana spełnił zdrowie chorążego; następnie kasztelan zdrowie gospodarskie, a chorąży gospodini; gospodarz znowu rozmaitych zasłużonych a przytomnych obywateli: z rąk do rąk kielichy szły, a każdy skrupulatnie swój wychylał, bez wylewania na ziemię, bez domięszywania wody i innych podobnych obłud, jakich później namnożyło się, nim przyszło do tego, że gościa bogdaj i najzacniejszego, przyjmuje się bez picia jego zdrowia: co ma być do wodom, że teraz więcej grzeczności, niż za naszych czasów! — Po obiedzie zaczynały się pląsy, tańce i mazur, na przemianę. A tak i młodzież i sędziwi bawili się, a kielichy ciągle chodziły aż miło. Zabawy były niewinne, szczerze; każdy serce na ustach nosił, bo nie miał potrzeby go zakrywać. Kiedy podochoceni, zaczęliśmy śpiewać kociubicę, a przyszło do ostatniej zwrotki:

Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

a hukiem razem: kochajmy się! — to nie był czczy wyraz, ale mczna było być pewnym, że każdy dla wszystkich, a wszyscy dla każdego choć w czysciec. Otóż tak było w Omniewiczach. Mocarze świata zazdrościliby szlachcicowi polskiemu, gdyby byli świadkami, jak umiał siebie i gości bawić na łonie równości.

W ostatni wtorek z rana, gdyśmy byli zebrani u sędziny, sędzia wpadł z obliczem uradowanem i powiedział: — Kochanko, baw gości, bo muszę natychmiast konno wyruszać naprzeciw dostojnego gościa, co swoją osobą chce zaszczyścić ubogi nasz domek. JO. książę Radziwiłł, wojewoda wileński, w samo południe tu będzie; zatem na granicy mojego dziedzictwa biegnę go przyjąć. — Ledwo to wyrzekł, prócz JW. kasztelana nowogrodzkiego, co jako senator w domu został, i kilku starszych, wszyscyśmy się upomnieli, by w sędziemu asystować. Niektórym wystarczyło sęskich koni, reszta każdy zaprzężonego konia uchwycawszy i okulbaczywszy pierwszem

siodłem lub terlicą, na którą napadł w masztarni sędziego, ruszał na spotkanie księcia, a nie jeden i oklep; bo choć masztarnia była porządna, gdzieżby wszystkim nastarczyć: więcej niż w pięćdziesiąt koni ruszyliśmy. Droga była kopna, a my ciągnęli się sznurem: Konfederację barską mnie to przypominało, ile że bieglem naprzeciw jednego z najdobstojniejszych jej wodzów. Niedaleko Naci, przy karczynie Czarnoszczenie zwanej, z powodu iż prostota powtarza, jakoby kiedyś djablica miała się oszczeniść obok tej karczmy, na tem samym miejscu, gdzie teraz stoi ś. Jan Nepomucen — spotkaliśmy pierwsze sanie orszaku księcia, a ostatnich już okiem dojrzeć nie można było. Więc my ustąpili z drogi, czekając aż sanie samego księcia nadejdą. Śniegu koniom było po brzuch, sędzia z urzędnikami stał przodem, a my z tyłu. Gdy się przybliżył sam książę, huknęliśmy wszyscy razem: Niech żyje nasz książę, ozdoba prowincji litewskiej! — i wszyscyśmy poziadali z koni, żeby go powitać. Sędzia z mową wystąpił, aż książę do łez się rozczulił, powtarzając pokilkakrotnie: — Panie kochanku, czy ja wart żebyście mnie tak przyjmowali? — A pomimo nalegań sędziego wysiadł z sań, nie uważając że śnieg. Witał się z nami, a prawie każdego po chrzestnem imieniu nazwał, rozumie się z tych, co się ku niemu zbliżali; bo wielu z nas, i ja najpierwszy, nie chcąc sędziemu czasu zabierać, a tem więcej księciu, opodał staliśmy. Wszak pomimo naszej dyskrecji więcej godziny witania trwały, a wszystko w śniegu; aż nacalowawszy i naciskawszy się z bracią szlachtą książę, krzyknął na koniuszego swego, żeby mu konia wierzchowego podał. A że sędzia nalegał, aby w saniach jechał jak wprzód, zniecierpliwił się i rzekł: — Taki w pan przyjaciel, panie Ignacy! Kiedy szlachta na koniu, chcesz żeby Radziwiłł na wozie siedział jak Żyd! — i lubo dosyć był otęły, skoczył na konia jak za dobrych czasów i zażył go, jakby żądnemu z nas lepiej się nie udało. Potem stępo wedle powagi swojej ciągnął do Omniewicz, ustawicznie coś prawiąc sędziemu i jego otaczającym. Przykro mi było, żem był opodał, bo radbym wszystkiemu się przysłuchał, ile że co tylko nasz książę powiedział, warte było być rytem na kamieniu. Książę był wzrostu słusznego, otęły; głowa ogromnej wielkości i tak ogolona, że na wierzchu kilka włosów tylko zostawało; wąż duży i zawieszisty, który głaskał, gdy był wesoły, a zakręcał do góry, kiedy bywał markotny lub poruszony; płeć biała jak u kobiety, nos długi, oczy jasnobłękitne duże, najczęściej pełne wesołości. W ochędóstwie wykwinął, bo zawsze przynajmniej dwa razy na dzień bieliznę odmieniał; a był ubrany dnia tego w mundurze ulubionym województwa wileńskiego, to jest: kontusz granatowy kusy, podszewka, żupan i wyłogi amarantowe, pas srebrny w amarantowe kwiateczki, szabla w jaszczur oprawna, bóty żółte z srebrnymi podkówkami; na tem wszystkiem płaszcz

z grubego sukna szarego, kuczając podszyty, a po wierzchu zarzucona burka, spięta pod szyją srebrnym radziwiłłowskim orłem. Nosił jeszcze wielkie szarawary płócienne, oskurem wyżej pasa związane, a to żeby kontusza w podróży nie brukać. Do tego czapeczka karmazynowa czarnym barankiem okolona, kitajką bez waty podszyta: kładł ją na bakier na samym wierzchu głowy, ucha nie dotykając, chociaż mróz był dobry. Na bucie berłacz sukienny; rękawiczek nie znał, lubo znaczną część zimy pod gołym niebem przepędzał, łowami zajęty. Miał dowcip bystry, łatwo obejmował rzeczy, z historją narodu był obeznany; a nie tylko że znał doskonale procedencję i powinowactwa swojego domu, ale nawet i domów szlacheckich. Szlachcica najuboższego, byle karmazynowego, uważał być sobie równym i obcował z nim poufale. Do ludzi podejrzanego szlachectwa, jako neofitów, Niemców i popowiczów, czuł wstręt i do siebie przystępu im nie dawał. Z prawem krajowem był dobrze obeznany, a przewodnicząc po dwakroć trybunałowi litewskiemu, w tem urzędowaniu okazał się czynnym, umiarkowanym i w zdaniu raz przyjętem niezachwianym. Na obradach publicznych mawiał często, często nieprzygotowany, zawsze do przekonania. W obcowaniu pełen konceptów, a lubiąc z drugich żartować, nigdy się sam nie obrażał, kiedy się mu kto odcinał. Pan dobry i kochający sługi jak dzieci; to też i oni za niego ubić by się dali. A choć był porywczy, że dobre miał serce, byle czem dawał się ubłagać: nie tak jako jego stryj chorąży, co po lat kilkanaście trzymał w łańcuchach wykraczające sługi. Kiedy szlachcic u księcia wojewody służbę dostał, mógł być spokojnym o los swych dzieci. Dla kobiet był tak grzeczny, że każdą z uszanowaniem w rękę całował, choćby żonę dyspozytora, byle szlachciankę. Obserwował pilnie przepisy religijne: codzień z szatnym śpiewał godzinki niepokalanego poczęcia, sobotę suszył, a w wielki piątek nawet dyscypliną się chłostał; za co też wielkich od Boga doświadczał błogosławieństw. Pił dużo i nie łatwo było dotrzymać mu placu. Jednemu Leonowi Borowskiemu nie mógł dać rady: ten zawsze go zwyciężał kielichem; ale z pomiędzy sług i przyjaciół on był jeden, co tego dokazał.

Kiedy się kalwakata już do omniewiczowskeigo dworu zbliżała, sędzia puścił konia swego w czwał, żeby księcia przed domem przyjąć; jakoż jego i gości zastaliśmy przy ganku. Sędzina i wszystkie damy wyszły także na spotkanie gościa. Książę zsiadłszy z konia i po kilkakrotnie ucałowałszy znowu gospodarza, wszystkie kobiety, zaczynając od gospodyni, w rękę pocałował: dostało się i mojej Magdusi. Potem wszedłszy do pokoju, a obaczywszy Wawrzyńca: — Jak się waszeć masz, kumie? — powiedział mu. W istocie przed trzema laty chłopca mu do chrztu trzymał. Wawrzyniec jak długi padł księciu do

nóg i rozbeczał się; ksiązę podniósłszy go, zaczął łaskawie wypytywać o żonie i o dzieciach, a kazawszy sekretarzowi swemu Mikuciovi napisać mu kwit na dwie fury zboża, do wyboru Wawrzyńca, i sam wręczając mu go, powiedział: — Zanieś to odemnie twojej żonie. — Wawrzyniec ledwo nie oszalał i cała dzień chodził nabuńdziuczony jak indyk. Jeszcze nazajutrz, kiedy przyszedł na folwark, upominając się u dyspozytora o owies dla gościnnych koni, kiedy mu ten powiedział: — Ach, mój Wawrzyńcze, czy nie przesadzasz? — Wawrzyniec odpowiedział: — Przesadzasz, przesadzasz; to ja to niby doliczyć się nie potrafi, to ja niby głupi, a niechno jegomość pójdzie do księcia pana i zapyta go, czy Wawrzyniec głupi; Bóg i ludzie wiedzą, że ksiązę pan mnie zna i wczoraj od razu mnie poznał, i tak mnie powitał, jak gdybym był wielmożnym; toć już zdaje się, że mnie nikt za głupca trzymać nie może. — A że ja to wszystko z alkiejra słyszał, za boki trzymałem się ze śmiechu.

Trzy dni hulaliśmy.

Książę był ciągle w przedziwnym sosie, animował do kielicha, tak że sędzia aż plakał z rozrzewnienia. Między inne zdrowia, książę sam wniósł prześwieatnej palestry i każdemu z nas jakąś grzeczność powiedział, a gdy ja z innymi przybliżyłem się do niego, rzekł: — Sewerynie kolego, wasze był kiedyś de hajda, a teraz de jure; kiedyś to my nieprzyjacielskie łby platali, a teraz przyjacielskie lampy. — Ja mu padłem do nóg jak długi: Niech książę pan tylko piśnie, dobre czasy nam wróca, a pan stolnik litewski pójdzie fora ze dwora. — Książę wsa do góry pokręcił, bo już był przyrzekł królowi więcej nigdy na niego konfederacji nie podnosić i mawiał często: Robiło się co można, ale teraz kto kocha ojczyznę, niech wiary królowi dochowa; panie kochanku, namnożyło się kapeluszywo, czapkami rady im nie damy.

Wśród zabawy było się trochę zachmurzyło z następnej przyczyny: JW. Jeleński, kasztelan nowogrodzki, przed kilku niedzielami, jako członek zadwornych sądów, był zjechał do Nieswieża na komisję księcia z kahałem nieswieżkim i zakończył interes, zapewnie sprawiedliwie, a przynajmniej wedle przekonania. Ale książę jego nie lubił, bo w czasie bezkrólewia był z małej liczby Litwinów adherentów domu Czartoryskich, i z ich łaski otrzymał wysokie w prowincji naszej krzesło. Książę więc przy kielichu wspominając o świeżo odbytej komisji, powiedział mu niby żartem: — Powiedz prawdę, panie kochanku, wiele rebochem wzięłeś od Żydów? — Myślałem że na te słowa pęknie ze złości kasztelan. — Straszne rzeczy! powiedział, (bo to było jego przysłowie), straszne rzeczy! senatorowi, orderowemu kawalerowi orła białego, powiedzieć rebochem; protestuję się przed wami, iż książę wojewoda w mojej osobie całe księstwo nowogrodzkie skrzywdził. — Na to się obruszył książę.

Nasz Rdułtowski, najpierwszy ze stanu rycerskiego, lubo sensat poważny, ale przez żonę siostrzeniec księcia: — Panie kasztelanie, a jużci to za nadto posunąłeś się; chyba stworzyć trzeba takiego obywatela, coby wymówkę do osoby jego zregulowaną jwazał być krzywdą całego województwa. — Na to kasztelan: — Ponieważ wszyscy dopuszczają mnie krzywdzić, więc ja nie czując się bezpiecznym w domu pana sędziego, wyjeżdżam. — Sędzia prawdziwie był w rozpaczy: klęczał przed drzwiami, prosząc kasztelana, ażeby mu tej krzywdy nie robił, wynosić się z domu. Ale książe pan widząc frasunek sędziego, przybliżył się do kasztelana, mówiąc: — Panie kolego, odpuść mnie to, com ci żartem powiedział. — Poprzestał na tem kasztelan i miał słusność, bo gdyby się był wahał, tobyśmy się wszyscy obruszyli; nie wiedzieć, co mu do głowy przyszło, jakby konfidencja księcia mogła kogo obrazić. Rozgniewał się wójt gdański na króla polskiego. To też my wszyscy zrozumieli, że jeśli książe niby się unżył, więcęj to uczynił dla sędziego, niż dla niego samego. Ale też niedługo potem na ustępie wyszturchaliśmy porządnie pana Adamowicza, jego plenipotentą, który po swemu o tem zdarzeniu rozповідаł z krzywdą księcia, a jako o słyszanej rzeczy, bo z nami w Omniewiczach nie był. Skutkiem tego wypadku kilkunastu nas jurystów z taktowego rejestru zapoznanemi zostali, a na mnie się zmełło. Bo gdy wizja odkryła, że Adamowiczowi część czupryny wyrwano, zarzucił mi, iż te włosy w mojem ręku zostały: nie śmiałem odpryskasz się, lubom tego nie pamiętał, bo w zapale być to mogło. Skazany więc zostałem na sześć niedziel więzi i zapłacenie tysiąca grzywnien. Grzywny chorąży Rdułtowski za mnie zapłacił, a więzę musiałem odsiedzieć; alem tego nie żałował. Książe pan pamiętny, żem cierpiał za jego sławę, kazał mi wypuścić Doktorowicze, ale tak, że gdyby człowiek nie chciał, to majątek sam z siebie by się zrobił. To też przy łasce księcia JMości (niech go Bóg błogosławi na wieki), a przy pomocy boskiej, z tego się zrobiło wszystko co jest. — Co się zaś tyczy JW. kasztelana, przeprosiny księcia dały mu się we znaki: bo książe na ich dopełnienie z całym swoim dworem pojechał do Dunajszyc, rezydencji kasztelana, który będąc wielce oszczędnym, nie mało w duchu się nafrasował, że trzeba było przez dni kilka okazałego i liczego gościa swoim chlebem przyjmować; a przecie rad nie rad musiał się okazywać wesółym. Ja z boku słyszałem, że ta wizyta kosztowała go do trzydziestu tysięcy, bo był pyszny i chciał nie po szlachecku, ale po pańsku wstępować. Dobrze tedy opłacił swoją obraźliwość, a nie było kogo żałować, bo był bezdzietny, i oprócz porządnego spadku miał kilka intratnych królewszczyzn.

Tak więc chmura prędko rozpedzona została i już nic zabawom naszym nie przeszkadzało, i owszem z powodu zgody

jeszcze gęściej kielichy krążyły; nawet przy końcu wzięto się do kijów szklanych. Był to w dawnym obyczaju najwyższy stopień podochocenia. Kij szklany był dęty: gdy napełniwszy go winem, przykładano do ust, trzeba było wypróżnić jednym tchem; inaczej pijący został obryzganym, a za karę wlewano mu za kołnierz kielich wody. Wszyscy popiliśmy się okropnie; gospodarza bez przytomności wynieśli. Książę jeden został przytomny, a nie mając już z kim pić, na znak zwycięstwa jeszcze kielich wypił do Wawrzyńca i jemu go oddał, napełniwszy swoją ręką, o własnej sile poszedł do sędziny, z nią zmówił li tanję do Najświętszej Panny; to wszystko odbywszy, zjadł ogromną misę kapusty kwaszonej i spać się położył, zdrów, jak gdyby nic nie pił.

Nazajutrz w ostatni wtorek był z rana obrządek solenny dla gospodarstwa i ich przyjaciół: zaręczyny pana Symeona Mogilnickiego, cześnikowicza nowogrodzkiego, z panną Agnieszką Hacıską, rodzoną siostrzenicą sędziego, a w jego opiece będącą. Jej ojciec chorąży pancerny, zacny obywatel, miał piękne dziećstwo, ale w czasie Konfederacji barskiej znacznie się odłużył, swoim kosztem sztywtując chorągiew, na czele której po Sochaczewem poległ. Majątek jego okropnie spustoszony został przez Moskwę, zgoliła że prawie bez sposobu zostawił żonę z czworgiem drobnych dzieci: a i ta nie długo płacząc, złączyła się z godnym małżonkiem, polecając biedne sieroty pieczy brata swojego, który lubo młody, już najsędziwszych posiadał szacunek. Jakoż się nie zawiodła, bo pewnie o własnych dzieci dobro sędziego więcej się nie troszczył, jak o siostrzanów. On to posag ich matki wydzwignął, gdyż cały majątek poszedł na satysfakcję wierzycieli; nawet kilkanaście tysięcy spadłych długów własnym kosztem zaspokoił, ażeby duszę szwagra oczyścić, a wieczny odpoczynek jej przybliżyć; a jego dzieciom dał wychowanie przystojne. Starszy syn wyćwiczywszy się w palestrze, został regentem grodzkim nowogrodzkim; młodszy był pokojowym u księcia wojewody. Starsza córka Katarzyna, lubo trochę ułonna, wielkie szczęście miała do ludzi. Niejeden ma jętny kawaler o jej przyjaźń się starał, ale ona najlepszymi stanowieniami wzgardziwszy, Bogu czystość ofiarowała. Pan byłem na jej obłóczynach w klasztorze panien Benedyktynek nieswiezkich. Sędzia chciał być na nich jako wuj, ale nie mógł dotrzeć do końca; bo lubo nie sprzeciwiał się powołaniu boskiemu, tak go czułość za serce ścisnęła, że aż musiano go wyprowadzić z kościoła. Najmłodsza była panna Agnieszka, dopiero siedmnaście lat mająca, której zaręczyny z w. cześnikowiczem się odbywały. Z rana, gdy się goście zebrawi na pokojach, pan cześnik Mogilnicki oświadczył, iż widząc przywiązanie syna do panny chorążanki, a przekonany będąc, że z nią dożywotny związek największe mu szczęście zapewni, tak z powodu cnót

i skromnego wychowania chorążanki, jako też koligacji z jednym z najzaccniejszych domów w województwie, więc dla syna o jej rękę prosi w. sędziego jako drugiego jej ojca, a razem księcia wojewodę o wystawienie się, aby raczył wesprzeć dobrem słowem tę prośbę sługi swego. Nie można było bardziej uradować księcia, bo co najlepiej lubił, to kojarzyć małżeństwa. To też natychmiast wstał i wpół ścisnawszy sędziego, rzekł: — No, panie Ignacy, wybornie się zdarza dla Jagusi; Mogilnickich dobra krew: niech się przyjaciele Radziwiłła łączą. Zezwól, . prędko; bo jak zaskoczy popielec, na czterdzieści dni klamпка spadnie. — Ojciec i syn ucałowali kolana JO. swata za wstawienie się łaskawe; a gdy pan sędzia oświadczył, że i on i żona za zaszczyt poczytują sobie, iż tak zacny obywatel jak w. cześnik szuka w ich domu szczęścia dla syna swojego, i w nadziei że Jagusia wstrętu ku temu nie czuje, chętnie błogosławieństwo swoje jako wuj i opiekun daje. Pan cześnikowicz jak długi padł mu do nóg, i toż samo sędzinie. Książę wziął za ręce chorążankę, która drżała jak liść osiny, i zapytał ją: czy zgadza się . wolać wujaszka iść za cześnikowicza. Chorążanka w płomienjach, ustami ruszyła, ale nie można było nic usłyszeć. Książę: — Głośniej Jagusiu — a ta jeszcze więcej się zmieszła. Książę . rady: — No, kiedy się tak wstydzisz, powiedz mi na ucho, ja . powtórzę głośno, a mnie uwierzą — i wzięwszy ją wpół, ucho do jej ust przyłożył. Po niejakiu czasie odważyła się coś szepnąć księciu, dopiero książę wykrzyknął: Zezwala. — Biedna chorążanka ledwo nie zemdląła, kiedy cześnikowicz padł jej do nóg. Zaczęto mówić o postanowieniu państwa młodych, a chorążanka wysunęła się z pokoju. Pan cześnik . powiedział: — Ja dymituje synowi Kozarkę, folwark mający 10 dymów, a po mojej śmierci będzie się miał jeszcze czem dzielić z braćmi, a wypuszczając mu wieś, dam mu świeronek zapaśny, iż na niczem młodemu gospodarstwu zbywać nie będzie. — Co do mojej siostrzanki, rzekł sędzia, jej posag aktom wiadomy: ma ona swoich szesnaście tysięcy pięćset złotych, które po zapisaniu . wikceji panu cześnikowi wręczone zostaną; a ja z afektu wujowskiego wyprawę sprawuję. — Wtenczas książę odezwał się: — Na co pan Karol ma ewikcją obciążyć swój majątek. Ja sumę przyjmuję, a w procencie wieś przyszłej pani cześnikowiczowej wypuszczę. — Skłoniwszy się stolnik, powiedział: — Ponieważ wasza książęca mość łaskaw, nasze dzieci a przyszłe sługi swe swoim chlebem karmić, więc ja szacunek wyprawy trzy tysiące gotowych dołączę, a całkowity posag synowej mojej dziewiętnaście tysięcy pięćset ulokowany zostanie w kasie waszej książęcej mości. — Książę powiedział panu Mikuciu, że jedną z wsi, które są do wypuszczenia, wypuszcza w zastaw pannie Agnieszce Haciskiej, a jej posag do siebie przyjmuje, i dodał: — Niech inwentarz będzie przyjacielski. — Pan Mikuc

podał registr folwarków do puszczenia będących (który to registr zwykle przy sobie nosił), a gdy pan cześnik wybrał Borowicz, tegi folwark w Słuszczyźnie, przeszło trzydzieści chłopów mający, książę powiedział: — Jaki addyament roczny będzie się należał do mego skarbu, połowę z niego daruję Jagusi, aż do czasu wykupna Borowicz. — Po najpokorniejszych dziękach pan sędzia wyrzekł: — Wasza książęca mość i wy szanowni goście, raczcie mi pozwolić, abym w ich obecności sam intercyzę pisał. Rad jestem to własnoręczne moje pismo na pamiątkę mojej Jagusi zostawić. — A wzięwszy pióro i papier, od razu zaczął pisać tranzakcję, wedle zwyczaju poczynającą się od procedencji państwa młodych. Dziwną łatwość miał sędzia do pisania: nie go rozrywać nie mogło; nieraz pisząc, do dyskursu się mieszał, a omyłki nie zrobił. Wszystkie prawa z pamięci przytaczał, i dość obszerną intercyzę w pół godziny skończył. Po głośnym onej przeczytaniu, a przez strony podpisaniu, nową kłopot dla chorążanki. Sędzina wyprowadziła ją z garderoby, trzeba jej było z narzeczonym zamienić pierścionki, klęknąć, z nim przed wujowstwem i ojcem, dla przyjęcia błogosławieństwa, a potem przed księciem, z intercyzą w rękę, by podziękować mu za szczodrość i prosić go o podpisanie się za świadka, co JO. książę uczynił, naprzesła dowawszy chorążankę żarcikami. Podpisał się także kasztelan Jeleński i chorąży Rdułtowski. Nie co dzień czyta się taka intercyza; bo mieścił się w niej porządny kawał chleba, a zdobyły ją mitry, krzesła i ordery. Zaręczyny się odbyły, a ślub naznaczony został na Wniebowstąpienie pańskie, z woli sędziny, pomimo licznych prośb, aby go przyspieszyć. A to z powodu, iż w dniu tym z mężem przyjęła błogosławieństwo. Ucałowawszy rękę męża, rzekła: — Dzień to szczęśliwy, mój Ignasiu. Już się kończy lat trzynastcie jak z sobą mieszkamy, a momentu smutku nie doświadczyłam. — Sędzia rzucił się w jej objęcia i rozplakał się, my wszyscy się rozrzewnili, i księciu wojewodzie kilka łez na wąż upadło. Jeszcześmy nie odeszli z rozrzewnienia naszego, gdy pora obiadowa złączyła nas wszystkich za stołem. Już sama wesołość panowała. Pierwsze zdrowie było przyszłego szczęścia zaręczonych; piliśmy także: Niech żyją połączone domy. A gdy przyszło do piasów, którym książę dał hasło, w pierwszą parę wzięwszy pannę chorążankę, i coraz lepsza ochota nas zagrzewała, piliśmy z trzewika panny Agnieszki, piliśmy także z bota księcia wojewody i na przemian szły tańce: mazurki, krakowiaki, przeplatane kielichami. Dopiero w samą północ, na zakończenie zapust, książę wzięwszy panią sędzinę, a każdy z nas damę swoją, posłaliśmy drabanta, po którym muzyka się rozeszła, a zwykłym natenczas obyczajem, książdz gwardjan bernardynów miał do nas egzortę. Ostrzegłszy on nas, że o zabawach trzeba zapomnieć, bo nadszedł czas pokuty i postu, zaprosił wszyst-

kich do modlitwy. Słudzy zaczęli wypuszczać z klatek wróble, a my z księdzem zaczęliśmy śpiewać «Gorzkie żale», aż ściany się trzęsły. Donośne głosy księcia wojewody i ojca gwardjana nad naszymi wszystkimi się unosiły. Kilka godzin klęczeliśmy, aż dopiero poszliśmy z gwardjanem do cerkwi unickiej, niedaleko dworu będącej. Tam ojciec gwardjan miał mszę o czwartej z rana; sędzia służył mu do mszy. Kiedy przyszło do tych słów: Cum jejuna tis nolite fieri sicut Pharisæi, wszyscyśmy do pół szabli z pochew wydobyli, głowy czapkami nakrywszy, a to na znak, iż gotowi jesteśmy walczyć za święte słowa Zbawiciela naszego. Po skończonej mszy książe wojewoda z JW. kasztelanem Jeleńskim, po nich stan rycerski, urzędnicy wprzód, dalej my szlachta, potem słudzy, ordynkiem po dwóch postępowali do ołtarza dla przyjęcia popielcu; dopiero po nas kobiety. Kiedyśmy wrócili do dworu, to już było około szóstej rana. Jak w pierwszy dzień postu, bez żadnego posiłku po-
 liśmy spoczywać kilka godzin, aż zebraliśmy się w sali obieranej. Siedliśmy do postnego obiadu: wszystko było na oleju; ale część gości i same gospodarstwo mając zwyczaj dzień popielcowy suszyć, grzankami tylko się posilali. Gdyśmy spostrzegli, że książe wojewoda także się od innych pokarmów wstrzymuje, zbudowani pięknym przykładem, nie odważaliśmy się dogadzać żołądkowi; a choć tem małym umartwieniem, każdy rad był przysłużyć się Zbawicielowi swojemu. W dniu tym wina nie była widać u stołu, tylko miód i piwo. Po obiedzie wszyscy rozjechali się. Ja z moją Magdusią puściliśmy się do Nowogródka, gdzie dość późno stanęliśmy w ubogim naszym dworku.

IX.

TRYBUNAŁ LUBELSKI.

I.

Ośmdziesiąt lat mija jak bieduję na tym padole płaczu, a i drugie i trzecie lat tyle przeżyłbym, a nigdy bym nie zapomniał wrażenia, jakie na mnie zrobił trybunał lubelski, chociaż na nim byłem nie dzieckiem, ani młokosem, ale już miałem blisko lat czterdziestu. Lubom starzec, nie zazdroścę młodzieży naszej, że mnie przeżyje, bo nigdy widzieć nie będzie tego, na cośmy patrzeli. Doczeka się i ona swego czasu czegoś dobrego, ale taki to nie będzie co było. I nasze trybunały były pełne powagi, i było na co patrzeć; ale trybunał koronny był nierównie okazalszy, bo starszy był ledwo nie dwomaset laty i więcej narodom sprawiedliwości wymierzał. Na Litwie dziesięć województw, a w Koronie ledwo nie trzydzieści. Otóż kiedy Konfederacja barska się rozwiązała, kraj pierwszy raz podzielono, a mój pan już nie żył, osiadłem jak to powiadają: jak na łodzie. Miałem ja chętkę i w wojsku Rzeczypospolitej służyć, i o tom się starał; ale departament przyjmował konfederatów barskich z równą uprzejmością jak pies jeża. Cóż tu było robić? Przypominałem sobie czasy dawne, jakto ja kiedyś u wuja relacje pozwów przepisywałem. Pomyślałem sobie: Pójdę do palestry obywatelom służyć. Coś się z prawa pamiętało, reszta się douczy: nie święci garnki lepią. Pomagali mnie też ludzie. W Polsce kto się bił za ojczyznę, a jeszcze coś dla niej oberwał po kościach, między swoimi z głodu nie zginie. Pan Fabjan Wojniłowicz, regent ziemski, wziął mnie na dependenta; a przy takim łepaku, kto nie chciał, prawa by się nauczył, a cóż dopiero faldów przysiedziawszy! Wkrótce człowiek

wprawił się stawać jak potrzeba, a że w kieszeń paćjentom nie bardzo zaziarał, szlachta powierzała interesa. Właśnie wtenczas na rękę mi poszło, że pan Stefan Oborski, plenipotent księcia wojewody, ożeniwszy się z panią Chrapowicką, bogatą wdową, której wydzwigiwał majątek nieco zawikłany, musiał się przemieścić na Białą Ruś, a zatem księciu podziękować. Wielu było ubiegających się, aby jego miejsce zastąpić, i mocne były intrzygi. Ale książę z własnego instynktu przypomniawszy sobie, że widywał mnie w bitwach i że parę razy byłem do niego posłany z sekretnymi instrukcjami przez JW. Ogińskiego, wojewodę witebskiego, wówczas pana mojego, przez wzgląd na te moje jakieś zasługi dla kraju, powierzył mi atentowanie wszystkich spraw, jakieby mógł mieć tak w ziemstwie jak i w grodzie nowogrodzkim.

Już od lat kilku chodziłem koło pańskich interesów, kiedy książę mi kazał jechać do Białej z częścią swojego dworu i tam na niego czekać. Książę przybywszy do Białej, nie długo w niej gościł i pojechał do Lublina, gdzie finalnie sądzona być miała jego sprawa zadawniona, która przez wielkie forsy przechodziła. Sięgała ona jeszcze czasów księcia Radziwiłła Sierotki, a okoliczności, z których wynikała, głośnemi są dotąd na Litwie. Książę Sierotka żył w ścisłych stosunkach z JW. Iliniczem, wojewodą brzeskim litewskim, co miał wielkie dobra, a między innymi Białę, w której mieszkał. Kiedy więc powziął zamiar odbycia pielgrzymki do ziemi świętej, powierzył go przyjacielowi swemu. A że w kraju, gdzie barbarzyństwo pogańskie panuje, gdzie morowe powietrze nie ustaje, gdzie dostać się nie można, jeno przebywając góry, morza i pustynie, podróż ta jest niebezpieczna, iż można było zakład trzymać, że się z niej nie powróci. Książę, będąc kawalerem i nie mając sukcesorów, prócz książąt Radziwiłłów, upartych kalwinów, którzy go z powodu, że rewokował, ile mogli prześladowali, a tem i on do nich nie wiele miał serca, i nie rad był, aby po jego śmierci ogromne spuścizny miały wzbogacić nieżyczliwych-krewnych, umyślił majątkiem swoim obdarzyć przyjaciół. Te wszystkie okoliczności przyjacielowi wynurzając, prosił go o radę. Na to pan Ilinicz: — Jak zrobisz testament, mój książę, a Pan Bóg ciebie do kraju nie wróci, ci, których obdarzysz, nie będą korzyściami z twojej szczodroty. Ty wiesz, że w naszym prawodawstwie żaden testament nie jest tak mocnym, aby interpretationi nie podpadł. Krewni twoi Radziwiłłowie birzańscy są silni, oni rej wodzą dysydentami obudowanych narodów, a w Litwie i katolik nawet po twojej śmierci nie odstąpi; zwałą twój testament, owładną twoje dobra i napełnią je bombizami. Ja bym ci radził, nie testamentem, ale formalną tranzakcją rozporządzać majątek. — A to jakim sposobem? zapytał książę. — Ty nie żonaty, odpowiedział JW. Ilinicz; ja dzieci nie mam:

zróbmy więc między sobą tranzakcję na przeżycie. Ja pierwiej umrę? wszystkie dobra twoje; Pan Bóg ciebie pierwiej zawoła do chwały swojej? Słuczczynna, Kojdanowszczynna, Siebież i co tylko teraz posiadasz, będą moje: a zjedzą diabła kalwini, jeżeli mnie jedną włokę twojej ziemi wydrą. — Zgodą! — powiedział książę. Zaraz oba panowie pojechali do Brześcia dla przyznania sobie tranzakcji. Książę Sierotka puścił się na pielgrzymkę. Minał rok jeden i drugi; już tedy JW. Ilinicz wyglądał tylko pewnego doniesienia o śmierci księcia; bo chodziły wieści, raz że okręt, na którym płynął, rozbitym został, raz że z dżumy umarł, inny raz, że bisurmanie go zabili. A że wojewoda był łakomy, bardzo niecierpliwie musiał oczekiwać dokładniejszej wiadomości; pięć księstw i trzynaście hrabstw nie piechotą chodzą! Ale człowiek sporządza, Pan Bóg rozrządza. Książę Sierotka wszystkie trudy i niebezpieczeństwa przy pomocy anioła swego przebył i zdrow wrócił: szukał śmierci po szerokim świecie i jej nie znalazł; a ona pana Ilinicza w jego własnych dobrach wytropiła. Bo kiedy książę Sierotka już wracał do Nieświeża, w Krakowie ledwo kilka dni zatrzymawszy się, obrócił podróż na Białą, aby przyjaciela uściskać — aż wjeżdżając do miasta, spotyka kondukt bardzo okazały, zapytuje, kogo to prowadzą, i dowiaduje się, że JW. wojewodę Ilinicza, którego przed dwoma dniami na polowaniu niedźwiedź rozdarł. Oddał mu ostatnie posługi książę i szczerze po nim płakał, bo był czułego serca, jak kroniki o nim piszą, i nie było cnoty, którejby nie posiadał. Ale że tranzakcja jak wół była wyraźna, dostało się mu czem łyzy obetrzeć i ubogim za duszę nieboszczyka świadczyć. Biała, Sławatycze, Zabłudów, Mir i tyle innych dóbr iliniczowskich weszły w dom Radziwiłłów. Tak jemu pielgrzymka i na ten i na tamten świat pomogła, bo był wart tego: Żona wojewody Ilinicza, Tarłówna z domu, miała posag swój oparty na dobrach męża: książę Sierotka, chociaż ona nie miała dożywocia, pokąd żyła, nie tykał ich, zostawując jej wszystkie dochody; a ona wywdzięczając się za tę łaskę, listem własnoręcznym zapewniła księcia, że ani sama, ani jej sukcesorowie o jej posag nigdy upominać się nie będą, gdyż aż nadto została zaspokojona. Ale potem Tarłowie zaczęli pieniać księcia, jakoby takie ustępstwa kobiecie nie listem, ale tranzakcją przyznaną w asystencji krewnych mają się robić. Przez łaf półtorasta o to wszczynwały się i urywały sprawy. Książę Michał Radziwiłł, hetman wielki litewski, ojciec księcia wojewody, na trybunale lubelskim zjechał się był z Tarłą, wojewodą lubelskim, który mu nie mało nadokuczał, będąc najzuchwalszym z ludzi. Ale wtenczas na niczem speszło, a wkrótce JW. wojewoda lubelski, ostatni z domu Tarłów po mieczu, zginął w pojedynku od JO. księcia Poniatowskiego, podkomorzego koronnego; o którym to pojedynku wiele było gadania. Sprawa do-

stała się w spadku JO. księciu Lubomirskiemu, marszałkowi wielkiemu koronnemu, którego natenczas spodziewano się w Lublinie. Jeśli świadomy jestem tego wszystkiego, nie dziw, bo od deski do deski, sto razy może przeczytałem wszystkie dokumenta, tyczące się tej sprawy.

Pojechaliliśmy więc do Lublina za księciem. Do bryki, w której siedziałem, dodano mnie pana Bartłomieja Chodźkę, dworzanina księcia. Dobry chłopiec, ale Paliwoda, jakiego świat i korona polska nie widziały. Ojciec jego, sędzia ziemski upitski, miał piękny majątek i kilka razy deputował na trybunał. Mógłby on sam wykierować syna, ale rady mu dać nie mógł, taki był zabijaka. Oddał go był do palestry, chcąc mieć niedaleko oka; ale ten więcej szabli niż pióra pilnując, tyle ponakrawał łbów, że w jednym roku do trzydziestu tysięcy musiał zapłacić za jego burdy. Naprzykrzyło mu się; a że był spadkowiec przyjacielem domu Radziwiłłów, a księżę Radziwiłł lubił szlachtę łapczywą do korda, więc go oddał do Nieświeża. Wzrostu był małego i sucharławy, figura niepoczesna; ale mało ludzi równej siły i tak szabłą robiących. Miał on pałasz cieniutki, który smyczkiem nazywał. Najmilsza jego zabawka była wpaść między nieznajomych i udając mazgaja, przyjąć do zaczepki. Pozwalał najprzód z siebie żartować, potem odciął się czem grubem, żeby być wyzwanym, dopiero minę tchórza przybrawszy, wypraszał się od pojedynku, a nakoniec z musu niby bił się i kaleczył tych, co się na nim nie poznali. Ja, że byłem już ojcem dzieciom, a do tego zaszczycony przyjaźnią w. sędziego upitskiego, więc miałem przewagę na panu Bartłomieju i wierzył mnie. Bywało nieraz umityguję go, kiedy przyjechawszy do Nowogródka, wpadnie w burdę; bo on zawsze do mnie zajeżdżał jako do sługi jednego dworu. Więc z nim na bryczce siedziałem, a on że nigdy dotąd z Litwy nie wyjechał, wypytywał się mnie w drodze o Koronie. Razu jednego mówił mnie: — Wybacz, panie Sewerynie, ale taki mój smyczek musi się pobratać z koroniarzami; szczególnie radbym poznał jakiego Łęczyczanina. — A to czemu? — Temu, że kiedy mnie w szkołach męczono, wyczytałem w Trocu, że Francuzi mówią: bić się po djabelsku, a Polacy: bić się po łączycku. Tyle mi się zostało z całej francuzczyzny. Otóż radbym się przekonał, czy lepsi gracze w Łęczycy, czy w Poniewieżu. — Ej, porzuć panie Bartłomieju pleść takie koszalki opałki. Czy nie wiesz, że pod bokiem trybunału burdę zrobiwszy, można się przed czasem obaczyć z Trójcą świętą! Waćpan całe życie guza szukasza, a jak staniemy, powiem ja księciu panu, jakie waćpan chcesz kwerendy robić w Lublinie: to księżę waćpana nie każe wypuścić ze stancji. — Panie Sewerynie; ja tak żartuję tylko, aby czas prędzej schodził. Ktoby tam o burdach myślał! Bądź spokojny, ja pana ciągle się będę trzymał, ale dla Boga! księciu

pana o niczem nie wspominaj. — Myślałem że się panicz utemperował: bo spotykaliśmy po karczmach zsiadłą lukowską przy kufu, a przecież pan Bartłomiej nikogo nie zaczepił. Przyjechalimy do Lublina w sobotę wieczór. Ja byłem rad, że naraz jutra była niedziela, bo dojeżdżając do Lubartowa, gdyśmy się spuszczała z góry, nasze konie pękły i konie nas poniosły. Pan Bartłomiej śmiał się, że ja przeziębłem się mocno i zrobiłem intencję, że jak Pan Bóg wyratuje mnie z niebezpieczeństwa, przyjechawszy do Lublina, naraz jutra pójdę do spowiedzi i komunji. Jakoś tak bryka przewróciła się na grobli, prawdziwym cudem wszyscy wstaliśmy bez szwanka. Ale w niedzielę ledwo przez pół godziny dopełnić mojej intencji, bo ksiądz kazał z rana przysść do siebie, aby pomagać panu Radziżewskiemu w tłumaczeniu interesu przed panami Hryszewiczem i Kofmianem, co później został jeden wojewoda, drugi kasztelanem lubelskim, a był porwany przez szlachę w Lublinie i księcia pana wielkiego przywrócić. Szczęściem że ksiądz miał kapelana i ołtarz podkowy z wiankami przewieszonymi od nuncjusza, bo inaczej byłby nasz święty przypościł. W sprawie konferencja po dwunastu godzinach zakończyła. Ja z panem Bartłomiejem poszedłem do Orli Karczmarzów: trafiłszy pod sam koniec nabożeństwa. Uprawdzeni ksiądz że miał wygłaszać, że przyjdzie cięła i król: Parszyk do pana ołtarzy: maszalen.

Trzymał w tym czasie obywatel się pod lasy JW. Choloniewskiego starosty kalużyńskiego, że miał ukasę kolidację z księciem panem. Późniejtem był kanonik Wolnicki, opat hebdowicki, z którego przez czas królewski wzięł się starożytny wywód, że jak z siebie kół młynskie mogły się niem obracać. On to nawiał: że wód przynajmniej w tym miejscu starożytność być powinna od przetożnego gospodarza. Ował JW. marszałek przyznał tym miał szacunka dla dostojnego swego koligata, że potwory go nawiedził: szepotał że sobie na dżdż. Książę pan przysłał go przed kanonik, szepotał się z go uprzedził, a potem JW. marszałkiem poprosił do przetożnego przetożenta. Ze zaś pan Karmaz szepotał że sobie na dżdż w w. Radziżewskim: Karpicki, czerwna grągońskiego, że z przetożni dla księgi z węgł marszałka żwone przetożniemu szepotał, więc przy mnie jak pięćdziesiąt specjalnym, rozawale przetożni szepotał na dżdżem: z szepotał marszałkowskiego i szepotał gospodarz. Po ołtarzy przetożni musiał panem, a szepotał nie bardziej dowiedzieć: panu Radziżewskiemu: że do dżdżem szepotał, szepotał, że by nie dżdżem kompani. Późniejtem więc: ale że jak w niedzielę wprost szepotał być przetożni, a szepotał, szepotał: panem Radziżewskiemu, szepotał szepotał na dżdżem przetożni, aby ołtarzy obywatel. Kłisze: królów szepotał, szepotał na dżdżem szepotał lip,

za któremi była karczma, a przed lipami na samym gościńcu leżał wielki kamień młyński. Pan Bartłomiej odezwał się: — Nie źle byłoby się na tym kamieniu pod cieniem i napić się piwka. — Dobrze mówisz; poczekajże na mnie, a ja pójde do gospody i każe go wynieść. — Przy gospodarze zastałem kilku nastu młodzieży do palestry należącej, jakem wnosił z ich pasowych lubelskich kontuszów. Ja im się uklonił, oni mnie, i wszedłem do szynku. Żyd poszedł do lodowni natoczyć garniec świeżego piwa, a ja na niego czekając, czytałem po oknach i ścianach różne popisane koncepta. Gdy żyd wrócił z piwem, poszliśmy do lip: widzę pana Bartłomieja siedzącego na kamieniu, jakem go zostawił, a przy nim ci wszyscy panowie, których znalazłem na przyspie u karczmy. Oni stali kołem przy nim, a on na nich poglądał jak gap. Jużem poznał, że to będą nie-przelewki; przybliżyłem się do niego, a on mi, mazgaja mnie zrobiwszy: — Panie Sewerynie dobrodzieju, coś ci panowie do mnie mówią koroniarzowskim językiem; a ja ich nie ze wszystkim rozumiem. — Aż jeden z pasowych panów: Waćpanowie może nie wiecie, że tu się kończy jurysdykcja trybunalska; to jest palestry młyn, oto kamień, a my kołem. Kto się tego kamienia dotyka, musi ztąd wyjść albo mąką, albo krupami. Waćpanów dwóch: powiedzcie, którego mały zmleć, a którego skrupić? — Ja im na to: Moi panowie! jam już za stary abyście ze mnie żartowali, a Bóg świadek, że jutro do komunji przystępuję. Powtóre, hędac tu w interesie księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, w którego orszaku przybyłem, nie mogę sobą rozrządzać przed końcem jego sprawy. A oto jest pan Chodźko, sędzic ziemski upitski, dworzanin JO. księcia wojewody. Bądźcie więc łaskawi panowie, puśćcie nas spokojnie. — Między nimi był, jakem się później dowiedział, dependant pana Koźmiana, nazwiskiem Czarkowski, z Braclawskiego, który wiedział o interesie księcia, i że jego mecenas nim się trudni. Ten się odezwał: Panowie koledzy! to jest umocowany księcia, ja za nim proszę, ile że on się nie dotknął naszego kamienia; ale pana sędzica upitskiego, co tu na tym kamieniu siedzi, będziemy mleć bez ceremonji. — A czyście mnie ze swego spichrza wynieśli, żebyście mnie mleć mieli? — Tyś się naszego kamienia dotknął, to jużes nasz. — A jakże wy mnie mleć będziecie? — Powiedzno bracie, czy ty karabelę nosisz tylko dla ozdoby? — A dla ozdoby. — To my ciebie wyuczmy, jak się z nią obchodzić: wstawaj i dohwyj szabli. — A kiedy mi dobrze na tym kamieniu. Nie wolelibyście piwka z nami wypić i odczepić się odemnie, a mleć kogo z waszych; bo zboże litewskie dobrze ususzone i twarde. — Obaczmy! — odezwał się jeden — czy twardsze od naszego. Ja jestem marszałkiem koła, ze mną trzeba zaczynać; wstawaj więc bracie. — A kiedy ja się asandzieja boję: wolę przeprosić, niż bić się. — Już to za późno,

bić się musisz; chyba zezwolisz, abyśmy ciebie wyplazowali. — No, kiedyście tacy zawzięci; czy nie masz między wami Łęczyczanina jakiego, niech się nie męczy! — i zaczął chustką niby łzy z oczu ocierać, dodając: — Oj, biedna moja matulo, jakże będziesz płakać po swoim Bartku! — Tak ja: Panowie dobrodzieje! posłuchajcie mnie, jako wiekiem od was wszystkich starszego. Wszak to w tym samym Lublinie zrobiła się unja Korony z Litwą: poruszają się zwłoki przodków naszych, jak się Litwini z Polakami w temże mieście powadzą. Czyby nie lepiej na pamiątkę Ludwika, ojca królowej Jadwigi, a teścia naszego Jagielly, wezwać Węgrzynów, aby nas pogodzili. Dajcie pokój temu spokojnemu chłopcu, a pozwólcie żebym posłał za winem i was uczęstował w tej gospodzie. — Zaczęła się miękczyć palestra i niektórzy odzywali się do marszałka koła: — Puść z Bogiem tego poczciwego Litwosza; on nie wiedział o prawach naszego młyna. — Tu już się zaczął obawiać pan Bartłomiej, aby burda na niczem nie spełzła, i siedząc zawsze na kamieniu, odezwał się, drapiąc w głowę: — A to waćpan jesteś marszałkiem tego młyna? Winszuję; ale na Litwie mielnicy i wieprze po młynach siedzą, a nie marszałkowie. — Słuchaj bracie gapiu: przeż wzgląd na twego poważnego kolegę całego cię puszczam; ale trzymaj język za zębami, a z żarcikami występuj na takich jakiś sam. — Nie gniewaj się w marszałku, nie będę z tobą żartował, tylko serjo mówię. A wiesz dla czego wolałbym z biedy potykać się z Łęczyczaninem, niż z waćpanem? bo mówią, że Łęczyczanie mają rozum; a oto świadek mój kolega, że kiedyś jechał z Litwy do Lublina, cyganka mnie wróżyła: że z rąk wielkiego błazna mam zginąć: to jakim spojrział na w marszałka, bardzom się go przestraszył. — Już tu nie było sposobu poradzić. Marszałek ledwo nie pękł ze złości, i dobywszy szabli, z największym impetem na Chodźkę natarł. Ten tylko miał czas za kamień wyskoczyć, dobył swojego smyczka, plunąłszy w rękę i od pierwszego składu tak dał po łapie, że szabla na ziemię upadła. Obwiązywali marszałkowi rękę, a on nie tyle z bólu, ile z konfuzji, stał jak wryty. — A nu! — odezwał się pan Bartłomiej — myślałem że się bić z koroniarzem wielka filozofja, a tu marszałka oporządzić mniej trzeba czasu, niżby butelkę odkorkować. — Poczekaj gburze, dam ja tobie! — zawołał drugi i z ogromnym pałaszem na niego. Ale ledwo parę razy się złożył, a i drugi smyczkiem po łbie dostał. Stanął trzeci: — Chciałeś mieć do czynienia z Łęczyczaninem, oto masz go tu. — Trochę dłużej trwało, ale i ten po łbie oberwał. — A to djabeł, nie Litwin — odezwali się koroniarze. — Słuchaj, panie bracie, tyś zadrwił z nas: udawałeś gawrona, a tyś rębacz czternastej próby. Wedle praw naszego młyna, kto trzy razy zwyciężył, wolnym jest od wszelkiej przepetycji. Jeżeliś temu rad, ofiaruję ci naszą przyjaźń; jeśli nią gardzisz, cho-

ciażesz tęgi, jeden po drugim wszyscy ci służyć będziemy. — Omne trinum perfectum — odezwałem się — będzie z waćpana, panie Bartłomieju, a pocałuj się z tymi zacnymi panami. — Zgoda! — odpowiedział Bartłomiej — ja jak mam sobie za zaszczyt, że się z wami pobawił smyczkiem, to jeszcze za większy poczytuję waszą przyjaźń. — Zaczął się z nimi całować, przeproszać tych, co obznaczył, a szczególnie marszałka. Ja, aby ich pocieszyć, powiedziałem: — Niech to panów nie upokarza, żeście nie byli szczęśliwi z moim kolegą, bo to jest pierwszy rębacz na Litwie. — Jakoż się szczerze pojednali, i odprowadziliśmy do kwatery marszałka jego samego i kolegów rannych: my piechotą, a ranni na furmance u żyda najętej. Pa-lestra fundowała nam hulankę, że dobrze podochoceni wróciliśmy do siebie. Po drodze strofowałem trochę pana Bartłomieja, ale go jeszcze więcej jak wprzód pokochał, bo tak i honor prowincji litewskiej utrzymał.

Nazajutrz odbywszy się w kościele, poszedłem z panem Bartłomiejem na trybunał, gdzieśmy zastali kilku z tych, cośmy poznali dnia wczorajszego przy kamieniu młyńskim. Oni czekali przybycia członków trybunału; mnóstwo było palestry i pacjentów w ustępnej sali: było tego więcej dwóch tysięcy, jakem z oka miarkował. Nasi przyjaciele oprowadzali nas wędzidłem, wszystko nam tłumacząc. W sali sądowej stał krzyż kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, a nad nim był napis wielkimi złotymi literami: *Justicias vestras judicabo*. To nas uderzyło, że Chrystus Pan miał twarz obróconą tak, że jej rysów nie można było widzieć; ale nasi przyjaciele powiedzieli nam, że snycerz nie był go tak wystawił, i owszem Chrystus Pan wprzód na trybunał patrzył, ale przed laty pewien wypadek stał się przyczyną tej zmiany.

Była wdowa szczupłego pana, uciśniona procederem przez jakiegoś magnata. Jej sprawa była jak bursztyn czysta, ale magnat zobowiązawszy wszystkich członków trybunału, zyskał dekret wbrew prawu i sumieniu. Gdy go ogłoszono, nieszcześliwa wdowa wyrzekła na cały głos w izbie: — Żeby mnie sądzili diabli, sprawiedliwszy byłby dekret. — A że sumienie kłuto nieco deputatów, na roki jej nie pozwano, i wszyscy udali, jakby nie słyszeli, z czem się odezwała. I że to było pod koniec seacji, porzejeżdżali się marszałek i deputaci, tak duchowni jako i świeccy: została się tylko kancelarja i pisarze trybunalscy. Aż tu zajężdża przed trybunał mnóstwo karet, wysiadają jacyś panowie, jedni w kontuszach, drudzy w rokietach, z rogami na głowach i ogonami, które się pod sukien dobywały. I zaczynają iść po schodach, a przyszedłszy do sali trybunalskiej, zajmują krzesła, jeden marszałka, drugi prezydenta, inni deputatów. Pomiarowali się pisarze i kancelarja, że to byli diabli,

i w wielkim strachu przy stołach swoich siedząc, czekali co z tego będzie. Wtem djabeł, co marszałkował, kazał wprowadzić sprawę tejże wdowy. Przystąpiło do krutek dwóch djabłów jędrystów: jeden pro drugi contra stawał, ale z dziwnym dociepem i z wielką praw naszych znajomością. Po krótkim ustępie djabeł marszałek przywołał pisarza województwa wołyńskiego (bo ten interes był z Wołynia), ale prawdziwego pisarza, nie djabła, i kazał mu sięść za stołem i wziąć pióro. Zbliżył się pisarz pół umarły z bojaźni i przymrużając oczy, zaczął pisać dekret, jaki mu dyktowano. Dekret był zupełnie na stronę uciśnionej wdowy, a Pan Jezus na taką zgrozę, że djabli byli sprawiedliwsi niż trybunał przenaświętszą krwią jego wykupiony, i w którym tyłu kapłanów zasiadało, zasmuconą twarz odwrócił i oblicza swego nie pokaże (jako miał o tem objawienie świątobliwy jeden bazylianin lubelski), aż naród się pozbędzie zaprzeczności w sądach, świętokupstwa w księżach i pieniactwa w szlachcie. Ów dekret djabli podpisali (a zamiast podpisów były wypalone łapki różnego kształtu), i położywszy go na kobiercu, który pokrywał stół trybunalski, zniknęli. Następnej sejsji trybunał znalazł djabelski dekret, gdzie był położony, bo rozumie się, że nikt z kancelarji ruszyć go nie śmiał. Złożono go w archiwach, a że akta nikomu nie są wzbronione, kto zechce, może go odczytać, nawet ekstraktem wyjąć.

Podczas gdy my się zastanawiali nad tak niesłychanym wypadkiem, usłyszeliśmy woźnych różnemi tonami powtarzających: — Mości panowie, ustąpcie się, ustąpcie się! JW. Sandomierski idzie! — a potem znów: — Ustąpcie się! JW. Poznański idzie! — i tak ciągle coraz innego jasnie wielmożnego mianując. My czem prędzej wrócili się do sali ustępnej, przez którą między dwoma linjami palestry i pacjentów, poprzedzani przez woźnych, szli poważnie deputaci dwaj trybunalskiej, lekkim skinieniem głowy odpłacając niższe ukłony, z prawej i lewej strony odbierane. Aż huk bębnow i gęste wystrzały oznajmiły przybycie JW. marszałka. Tu woźni wszyscy odezwali się jednym głosem: — Mości panowie, uciszcie się, uciszcie się! JW. marszałek najjaśniejszego trybunału idzie. — I prawda, że w tak liczmem zgromadzeniu takie milczenie towarzyszyło przybyciu JW. marszałka, że muchę latającą usłyszećby można było. Prawy i lewy szereg, między którymi przechodził, ukłonem ziemi prawie się dotykał, i dopiero kiedy już był o kilka kroków naprzód, jeden łeb po drugim powstawał, a tak regularnie, jakby za pociągnięciem sznurka. Za marszałkiem kilku magnatów przybyło i między nimi JO. księży wojewoda wileński z JO. marszałkiem wielkim koronnym szli razem, po przyjacielisku rozmawiając, chociaż się prawowali; bo wielki dla siebie wzajemnie znali szacunek, ile że pomimo kilkokrotnych krwi związków, JW. Rzewuski, hetman polny koronny, a księ-

cia wojewody szwagier, miał wkrótce łączyć się w dożywotniej parze z córką księcia marszałka, księżniczką Konstancją, panią, która i pięknoscia i rozumem wszystkich zachwycała. — JW. marszałek trybunału zaprosił księcia marszałka w. k., księcia wojewodę wileńskiego i innych znajdujących się senatorów za kratę, aby raczyli zająć miejsca w izbie trybunalskiej, a woźniowie im krzesła poustawiali: bo ministrów i senatorów nawet w czasie ustępu nie wypraszano, sami chyba przez delikatność usuwali się. Gdy trybunał zasiadł, JW. przewielebny prezydent zaintonował *Veni creator*, a deputaci duchowni wszyscy, i niektórzy świeccy, jakoż wielu z palestry i pacjentów wtórowali, że po całym rynku hymn dał się słyszeć. JW. marszałek trybunału uderzył laską i rozkazał woźnemu, aby ogłosił gotowość sesji, a ten stanawszy na progu ustępnej sali, tubalnym głosem wykrzyknął: — Mości panowie! najjaśniejszy trybunał przywołuje was do atentowania i słuchania spraw. Agitować się będzie rejestr ordynaryjny; kolej przypada na województwo krakowskie. Mości panowie, gotujcie się! — Rejent trybunalski głośno przeczytał wokandę, a sprawa JW. Wielopolskiego, marszałka nadwornego koronnego, powodu z wy. Dembińskimi, chorążycami krakowskimi, o awulsa margrabstwa pińczowskiego wprowadzona została. Pan Koźmian stawał od strony powodowej, a pan Plichta bronił ww. Dembińskich. To lubo były indukta, ani Demostenes, ani Cyncero lepiejby nie mówili. Odbyło się jeszcze kilka innych wpisów na tej sesji; bo JW. marszałek bardzo był czynny i co sesji kilka dekrétów ogłaszał.

A co to była za okazałość! Deputaci duchowni w rokietach koronkowych, deputaci świeccy w mundurach swoich województw, a palestra cała w mundurze lubelskim: kontusze pąsowe, kołnierze i podszewki zielone, białe żupany. Taki to mundur nosił tego dnia i nasz książę, jako obywatel województwa lubelskiego, w którym oprócz innych dóbr, miał hrabstwo woszczatyńskie, także po Iliniczach, i na tem to hrabstwie pozwy od sukcesorów tarłowskich były kładzione.

Po sieniach hajduki, pajuki, węgrzynki, a strzelców, a hałustry, a kozaków, co nie miara; na rynku karety, łożasy, konie — i papież nie powstydziliby się niemi jeździć; a srebro, a złoto wszędzie aż kapało. Na trybunale szlachcie poznawał wielkość swojego narodu. To kiedy po sesji wracając na kwatery, przechodziłem po pod sklepami, gdzie Niemcy i Francuzi towarem zagranicznym handlują i wzbogacają się naszym groszem, tom z litością na nich patrzał i pomyślałem sobie: Nie zazdrościm wam, że u was każdy, jak mówicie, w kamienicy się rodzi, i że u was obfitość figielków stalowych i kościanych. Coby wam było z waszego dowcipu bez naszych pieniędzy!

Ani macie, ani mieć możecie tego co my. Gdzie się jaki nasz pan pokaże, to ani się opędzi od Francuzów, Włochów, Niemców; a żaden z nas do waszych panów nie lezie.

Tego dnia był obiad wielki u JW. prezydenta, na którym był nasz książę i JO. jego antagonistą; tam się też zrobił początek zgody między nimi. Książę Bykowski, deputat kapituły łuckiej, a który dzierżał infułę ołycką z kollacji JO. księcia wojewody wileńskiego, wielmożnego Radziszewskiego i nas wszystkich dworzan księcia zaprosił do siebie na obiad, gdzie było kilku deputatów i mecenasów. Ciągłe dawały nam się słyszeć wiwaty z armat tym; których zdrowia spełniano u JW. prezydenta.

Tego wieczora byłem w teatrze, i przyznaję, że się bardzo niecierpliwił. Bo człowiek radby wiedział o sztuce granej, i nakonec za to zapłacił, ale nie było sposobu. Co zaczął słuchać, to w prawo i w lewo taki hałas, że człowiek nie wie, gdzie się znajduje. Jak pokaże się wyżej czy deputat, czy jakiego deputata żona, krzyczą z dołu wiwat, że aż ściany się trzęsą; a niektórzy wina każą przynieść i wołają na komedjantów, żeby granie przerwali, pokąd kielich rąk nie obejdzie. Dopiero potem pozwolą biedakom dalej rzecz swoją prowadzić, póki jej na nowo nie przerwą. Tak sztuka około jedenastej się skończyła; a tylem o niej wiedział, powracając z teatru, jakbym nigdy ze stacji nie wychodził. Postanowiłem sobie, pokąd będę w Lublinie, na teatr nie chodzić i czterech złotych we wdę więcej nie rzucić.

Nie długośmy bawili w Lublinie; bo jak przyjechał brat JO. księcia marszałka, pan krakowski, i JW. hetman polny koronny, to sprawa, która od dwóchset lat trwała, w kilku godzinach się skończyła. Książę wojewoda wileński odstąpił na rzecz książąt Lubomirskich wszystkich praw, jakie miał wspólnie z nimi do sukcesji po Szydłowieckich, a książęta zakwitowali go z pogażu JW. wojewodziny Iliniczowej. Komplanację sam JW. marszałek trybunału swoją ręką napisał, a strony ją podpisawszy, osobiście przyznały. Ekstrakt komplanacji przynieśli księciu plenipotenci książąt Lubomirskich, którym nasz książę rozdał do tysiąca czerwonych złotych; a my podobnież takowy ekstrakt zanieśli książętom Lubomirskim, co była dla mnie wielka radość, bom jeszcze dotąd nigdy nie widział żadnego kanclerza krakowskiego, który z urzędu swojego jest Princeps Senatus obojga narodów. Co dostał wielmożny Radziszewski i inni, w tom nie wchodził; wiem tylko, że pan Huszarowski, marszałek dworu księcia Lubomirskiego, wręczył mi tabakierkę papierową, ale ciężką, bo w niej było sześćdziesiąt czerwonych złotych, z których dnia tego użylem dwadzieścia i cztery na kupno antała wina u Jokisza węgry, a to

rdziwego maślaczu, bo mi się tegoż samego roku dziewczka ziała. Ten antał wyprawilem na Litwę z transportem księ-
ana: takim sposobem dostał się do Doktrowicz, że o nim
nie wiedział, pokąd na weselu tejże córki łaskawi przyja-
ze mną go nie wysuszyli.

II.

W czasie naszego pobytu w Lublinie cudowny zdarzył się wypadek. W. Kurdwanowski, możny obywatel, który rej wodził partji tego to hetmana Branickiego, co potem zaniósł ojczyznę tam, zkąd dostał żonę, był wielkim pieniaczem, i ani w Żytomierzu, ani w Włodzimierzu, gdzie miał dobra, nie było kadencji bez kilkunastu jego wpisów; toż samo i w trybunale. Plenipotenci hetmana jego spraw atentowali, plecy miał silne: biada szlachcicowi, co z nim sąsiadował; a taki był uparty, że nie znał co to się zgodzić, i pieniał się do upadłego. Była wdowa mająca-wioseczkę niewielką w środku jego dóbr, którą bardzo życzył nabyć w. Kurdwanowski, i kilkakrotnie o to się zgłaszał. Ale ta wdowa, nazwiskiem Glinkowa, zbyć nie chciała swojej wioski, lubo jej wartość pewnie nie dochodziła kwoty za nią ofiarowanej. Otóż rozgniewany w. Kurdwanowski tym, jak go nazywał, uporem wdowy, ułożył sobie procederem wydrzeć, czego pieniędzmi dokazać nie mógł. Miał on sobie obowiązanym neofitę Abramowicza, który liznąwszy jurysterji, do wszystkich brudnych interesów był sposobny: jakoż podobnemi na obywatela się wy kierował, że już miał pod Berdyczowem kilka wiosek, które potem dzieci jego odziedziczyły, a przeciw żadnego nie opuścił, byle mu coś kapnęło. Dobrawszy więc sobie takiego niecnotę, układa z nim następną machinację. Dziad pani Glinkowej od antecesorów pana Kurdwanowskiego kupił tę wioskę, która go teraz tak mocno tentowała; a donacja, kontrakt rezygnacyjny i kwit de pretio były na to w aktach żytomierskich. Przekupują tedy niejakiego Chamca, plenipotentą pani Glinkowej, aby oryginały z pomiędzy jej papierów wydobył i im oddał, które dostawszy, jadą natychmiast do Żytomierza i tam za tysiąc czerwonych złotych wyrabiają u Rojeckiego, pisarza ziemskiego tamecznego, iż z akt wydzierają oblatę tychże dokumentów. Tak zatarliśmy wszelki ślad nabycia wsi, zapożywa w. Kurdwanowski panię Glinkową o nieprawne posiadanie, sine nullo dato et accepto, jego majątku.

Napastowana wdowa, ufna w świętość swojej sprawy, a nie mniej w światło i przyjaźń Chamca, czeka wyroku co jej spokojność ma powrócić. Ziemstwo nakazuje stronom komportację dokumentów. Pan Abramowicz jako plenipotent przysięga, bo tak w. Kurdwanowskiego sumienie ruszyło, iż nie był na sprawie. Pan Chamiec zaprzysięgł także komportację dokumentów, będących w jego ręku, z których zniszczył te właśnie, co stanowiły cały interes jego pryncypalki. A tak sąd ziemski, do którego dobrze panu Kurdwanowskiemu forytował Rojecki pisarz, a który nakoniec może i sumiennie postępował, bo tak i sądzi się z dokumentów, nie z własnej wiadomości, przysądził panu Kurdwanowskiemu wieś z kalkulacją od lat kilkudziesiąt. Majętna wdowa, zagrożona tym dekretem z trojgiem dziatek być bez kawałka chleba, apelowała do trybunału, a trybunał potwierdził wyrok sądu ziemskiego. Ale w Koronie dwa dekreta trybunalskie conformiter zapadłe stanowią dopiero konwicyję. Właśnie kiedyśmy byli w Lublinie, ta sprawa na stół przychodziła. Spieszył na nią pan Kurdwanowski w dobrej nadziei, bo wsparty dekretem ziemskim i jednym trybunalskim. Miał przytem wielu deputatów za sobą i miał czem ich nabywać; a sumienie swoje już był zwycięzył.

Jadąc do Lublina, gdy mu nocleg w Piaskach wypadł, marzy mu się we śnie, ale tak wyraźnie, jakby to się działo na jawie, że się znajduje w sali trybunalskiej. Tam widzi marszałka i deputatów miejsca zajęte, ale przez osoby jemu nieznanome. Marszałek ogłasza, iż sędzić się będzie registr taktowy, i każe czytać wokandę. Pierwszy wpis wychodzi pana Chamca. Jakież było zdziwienie pana Kurdwanowskiego, słysząc wprowadzenie jego sprawy ze wszystkimi okolicznościami jego zaprzędaności i wydania oryginalnych dokumentów na zgubę pryncypalki! Po wysłuchaniu tej sprawy, w kilku słowach marszałek ogłasza dekret skazujący na śmierć Chamca; a po przeczytaniu onego każe wprowadzić sprawę następnego wpisu. Wprowadzają sprawę pisarza Rojeckiego. Słyszy w. Kurdwanowski (choć we śnie, ale silnie przerażony), jak instygator dowodzi, że pisarz wziął tysiąc czerwonych złotych, które mu sam Kurdwanowski wręczył, jak pofałszował akta, i t. d., a marszałek równej krótkości dekret jak poprzedzający ogłosił, pana Rojeckiego też samo na śmierć skazując. Czeką więc (zawsze we śnie) co tu dalej będzie. Słyszy że z kolei regent czyta dwa następne wpisy: Urodzonego Abramowicza i w. Kurdwanowskiego; marszałek oba wpisy łączy i każe wprowadzać sprawę. Tu słyszy w. Kurdwanowski instygatora tłumaczącego całą rzecz i dowodzącego z wymową niepospolitą, ale tak, że aż mrowie po nim przechodziło, iż trybunał skazawszy na śmierć patrona Chamca i pisarza Rojeckiego, nie może mniejszej kary naznaczyć Abramowiczowi, co był główną sprężyną całej tej zbrodni-

czej tajemnicy; a cóż dopiero w. Kurdwanowskiemu, który pieniędzmi swojemi jako istny szatan tych wszystkich nikczemników skusiwszy, przywiódł ich do najszkaradniejszego występku: on, co będąc z starożytnego na Podlasiu rodu, powinien by przykładem do cnoty wszystkich zagrzewać, związał się z przechrztami i ludźmi podejrzanego szlachectwa, aby biedną wdowę, prawdziwą jak on szlachciankę, zgubić. Jakażby była sprawiedliwość najjaśniejszego trybunału, gdyby takowa czynność płazem poszła p. Kurdwanowskiemu, i gdyby ten, co największą korzyść ze zbrodni otrzymał, sam jeden był wolny od kary? Po skończonym indukcie, nie czekając repliki, bo po prawdzie powiedziałwszy, nie było co replikować, marszałek odezwał się temi słowy: — Odkładam sesję do Wielkiej nocy — i silnie stuknął łaską, a pan Kurdwanowski się przebudził. Uczuł się zmęczonym tak dziwnym snem, przygotował się w dalszą drogę i w wielkiej niespokojności siadł do pojazdu. Ale jak zaczął w umyśle jego djabeł przeciw Panu Bogu patronować i wmawiać mu: że sen mara, że o tem myślał, więc to się i przyśniło; że raz zacząwszy, ambicja każe kończyć; że prawo jest gatunkiem wojny, w której wszelki fortel uchodzi, byle zwyciężyć; że kto przekupuje, za łeb nie bierze, więc ci, co zaprzędali sumienie, o sobie niech myślą; a on w czymże tak bardzo wykroczył? Nawet okazał sumienie dość delikatne, bo nie sam, ale umocowany jego zaprzysięgił komportację dokumentów; że nakoniec kiedyś, jak przyjdą czasy po temu, może znaleźć sposobność i panią Glinkową wynagrodzić: tak i do Lublina przyjechał uspokojony, a przyjechawszy, zaczął chodzić koło swej sprawy i popierać ją na sucho i na mokro. Aż tu przybywa do niego sztafeta z doniesieniem, że przed kilku dniami, gdy pan Chamiec wioził pana pisarza Rojeckiego na jakąś kondescencję, most się pod nimi zawalił i pana Chamca wyciągnęli z pod mostu bez duszy, a pan Rojecki w kilkanaście godzin po tym przypadku skonał.

Dopiero w. Kurdwanowski tak się przeraził, że pierwszy raz w życiu starał się o zgodę. Nie tylko że zakwitował panią Glinkową ze wszystkich pretensji do jej majątku, ale z największą skrupulatnością wynagrodził jej wszystkie wydatki i szkody, jakie poniosła z jego przyczyny, i klęcząc w obliczu nas wszystkich prosił, by mu odpuściła, opowiadając publicznie sen, który mu Pan Bóg łaskawy zesłał, a który w części już się ziścił. To mu wielką zjednało sławę; bo przyznanie się publiczne do winy, skrucha prawdziwa i zadość uczynienie dobrowolne, są rzeczy nadludzkie i tylko ulubieniec boży może je uzupełnić.

Tak i trybunał, i pany i my szlachta wielceśmy się z występku pana Kurdwanowskiego zbudowali, a ten dowód nowy nieogarnionych a tajemnych rozrządzeń bożych pewnie dla nikogo straconym nie został. Odtąd pan Kurdwanowski zupełnie

nienił prowadzenie swoje, wszelkiego pieniactwa poprze-
i wiódł życie chrześcijańskie. Ale słowa we śnie słyszane:
kładam sesję do Wielkiej nocy», utkwily w nim, bo przez
rozumiał, że w czasie Wielkiej nocy koniecznie umrzeć musi.
roku potem przez cały wielki post gotował się na śmierć,
hując się ściśle ze swoim sumieniem. Jakom się dowiedział
niej, w samej istocie umarł w czasie świąt wielkanocnych,
podeszłym wieku, bo już i natenczas, kiedym go widział
ublinie, nie był młody; a śmierć jego była do zazdrości, bo
cej lat trzydziestu do niej się gotował.

X.

KRÓL STANISŁAW.

Nie jest to łatwo sądzić o rzeczach publicznych, a tem więcej o mężach, którzy na nie wpływali. Żąd wedle mojego zdania, największa przysługa, co ją wysoki rozum dla kraju uczynić może, jest opisanie należyte jego dziejów. Cycero mawiał: *Historia magistra vitae* — a przecie lubo głęboki mędrzec i nadzwyczajny krasomówca, lubo przez jego ręce przechodziły najważniejsze interesa rzeczypospolitej, nie dowierzał sobie i nie odważył się wydać dziejów ojczystych. Po zagranicznych krajach, gdzie liczni piórowi rzemieślnicy uprawiają papier pod książki, jak u nas szlachta role pod żyto i jęczmień, namnożyło się historii różnego rodzaju. Ja ich nie czytałem; bo oprócz swojego i nieco łacińskiego, żadnego obcego języka nie rozumiem, a przecie pewny jestem, że te ich pisma lubo pokupne, żadnego istotnego pożytku nie przynoszą. Kto przedsięwzięcie opisać dzieje jakiego narodu, powinien wprzód obeznać się gruntownie nie tylko z jego językiem, ale jeszcze z jego prawodawstwem, z obyczajami obywateli, a zasiliwszy się takowym zasobem, dopiero wziąć się do roboty. A i wtedy nawet nie ma pewności, aby się ona udała. Bo nie dość to wszystko znać, jeszcze trzeba mieć jakieś doświadczenie w prowadzeniu ludzi. Kował gwoli kuje lemiesz czy podkowę, ale naród nie jest sztabą martwą w ręku tego, co mu przewodniczy, choć on prowadzi podwładnych; przecie nie, robi się z nimi tylko to, co daje się robić; bezwątpienia władza nimi, a jednak niewidocznie ulega sam ich woli. Pod tym względem uważając rzeczy, można by sobie oszczędzić wiele zapytań, które z pierwszego rzutu rozwiązać się nigdy nie dadzą. Dla czego Jagiełłowic, mając Litwę i Ruś po sobie, nie utwierdzili dla siebie spadkowego tronu w Koronie, jak go mieli we własnym kraju? Dla czego

Batory Prus książęcych z Polską nie zjednoczył? Dla czego Zygmunt III. nie ugruntował syna na moskiewskim tronie? Dla czego Jan III. niczego nie obwarował dla Rzeczypospolitej, biegnąca hasło niepolityczne przeciw dysydemtom? Wazystkie takowe pytania niejednokrotnie słyzałem i po szczeremu wyznaję, że na nie dać odpowiedzi nie umiem. Ale zdaje mi się, że i świadomego odpowiedź byłaby w rodzaju tej, co ją kiedyś uczynił pewien biegły wojsk dowódcą lekkomyślnemu młodzieńcowi, chcącemu go sztuki wojennej nauczyć. Owemu dowódcy nie było się razu jednego szczęśliwie powiedło, a tamten chciał mu dowieść, pokazując palcem na mapie jakąś rzekę, że gdyby był przez nią wojsko swoje przeprawił, na głowę nieprzyjaciela by poraził. — Wąscin palec nie jest mostem — odpowiedział na to znieczierpliwiony wódz. Żeby dobrze opisać dzieje swojego narodu, bo wątpię, aby opisanie cudzego udać się mogło, trzeba mieć jakieś doświadczenie w kierowaniu ludzi przy okolicznościach zawiłych; a zbyt rzadko łączy się w jednej głowie i dzielność w uczynkach i dar przełożenia tychże uczynków w księgi. Dajmy na to, że takowe zjawisko się uici, jakże trudno nie dać się uludzić miłością własną i stronnością, bo mąż piszący rzeczy, do których sam wchodził, częstokroć musiałby sam siebie obwiniać. Cieszę się, że nie mamy historii ostatnich naszych czasów, bo niezawodnie byłaby nie do rzeczy. Niech każdy stary sumiennie pisze to, czego sam był świadkiem, niech pisze po swojemu, rzeczy uważając z własnego, a nie uczonego stanowiska, a dopiero jak będzie potrzeba, znajdzie się taki, którego Opatrzność wzbudzi, aby z tego wszystkiego pożyteczną ułożył historję. Całkowiłą młodość przepędziłem w otwartych bojach z królem Stanisławem, lub w domach jemu niezyczliwych, a jednak wszystko po bożemu rozebrawszy, potępić go nie śmiem, ani jemu przypisuję niezasłużonej winy. Pewny jestem, że jeden człowiek wielką ofiarą, nadzwyczajnem poświęceniem się cały naród swój może zbawić; ale żeby jeden człowiek, acz najwyższy, występkami swojemi mógł naród potępić, tego nie przypuszczam, bo mniejsza zbrodnia przeczyć Boga istności, niż sprawiedliwości i miłosierdziu. Nie królów, ale poddanych grzechy gubią narody, ho z chlubą wyznać możemy, że żaden tron na świecie nie pochwali się panami tak łagodnymi, tak sprawiedliwymi, tak uczonymi, jak polski. I król Ponia-towski miał wielkie cnoty, większe bez wątpienia niż niektórzy z poprzedników jego. Przy innych okolicznościach byłby sobie uzyskał odgłos wielkiego króla. Jakoż widzieliśmy rozmaitych władców, którzy przed naszymi oczyma rzecz swoją nie źle prowadzili, uchodząc za mądrych i przezornych, a przecie ani rozumem, ani wiadomościami, ani łagodnością obyczajów naszym Stanisławowi sprostacby nie mogli. Całe nasze nieszczęście,

że wpadliśmy byli w taką zagmatwaną, że największy człowiek nie dałby jej rady. Wiele złego dwóch na jednego, mówi przysłowie, a cóż dopiero jak tłum weźmie go w obroty? Chociażby się nie wiedzieć jak odgryzał, nie postawi nigdy na swoim.

Niechaj mędrcom się świdrzy rozumem, a ja po prostu tłumaczyć się będę: jest to grzech pierworodny, na który zbyt ciężko chrzest wynaleźć; a chociaż mu nie przeczyli ani rozumu, ani zdadności, nie dowierzali atoli tyle tym przymiotom, by myśleć, że nimi zastąpi tę powagę, co ją ród wysoki i dziedziczne państwo saskiemu domowi zabezpieczały. Magnaci tak dalece byli przekonani, że nie była pora Piastowi panować, iż żaden z nich o koronę się nie pokusił. Bo nie ma co liczyć księcia Lubomirskiego, człowieka z umysłem pomieszany, a którego intryga wystawiła była w czasie bezkrólewia, aby osłabić jedność magnatów. Książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, głowa tej partji, w której tyle lat walczyłem jako żołnierz i ziemianin, był nie tylko głębokim, ale i poczciwym statystą, bo ile mógł, przeszkadzał królowi Poniatowskiemu, i nawet usiłował zepchnąć go z tronu, na którym wedle jego przekonania nieprawnie był zasiadł, obstając za domem saskim, z poświęceniem wszelkiej prywaty: gdyż mógł mieć żal do nieboszczyka króla za odmówienie mu buławy litewskiej po śmierci jego ojca. Ale skoro się upewnił, że żadnego wsparcia z zagranicy mieć nie można, że dom saski przestał o nas myśleć, że wszystkie dwory obojętnie na nas patrzą: przekonał się, iż jako tonący brzytwy się chwytą, kiedy innego nie ma wsparcia, tak poczciwym obywatelom nie zostawało nic więcej, tylko się tulić do króla, ze spolić wszystkie narodowe korzyści z jego osobistemi korzyściami, aby on czując siebie bezpiecznym między swoimi, nie zebrał wsparcia u postronnych, a tak: iżby każdy uważał za największą zbrodnię, wszelką usilność w czemkolwiek nadwładzić tę jedność króla z narodem; w przekonaniu na doświadczeniu opartem, że każda partja przeciwna królowi zostanie tylko narzędziem, którem szerzyć się będzie wyłom, co go nierząd w kraju wybił od lat tyłu. Jak się więc pogodził z królem, mimo siebie puszczając prześladowania, które od niego doświadczał, pogodził się szczerze, i aż do śmierci ani on, ani żaden z jego partji, która całą Litwę zajmowała, nie złamali mu wiary i poddaństwa. Owszem na wszystkich sejmach posłowie litewscy jednomyślnie z dworem głosowali. Jakoż na pamiętnej sejsji sejmowej r. 1786, kiedy rzecz chodziła o przyznanie królowi Subsidium charitativum, dość długo rozprawiały stany koronne w połączonych izbach; ale kiedy kolej przyszła na Litwę, książę wojewoda wileński objawił i życzliwość Litwinów i swoją własną potęgę temi słowy: — Nie mitrząc czasu tak drogiego przy kończącym się sejmie, w imieniu całej pro-

wincji litewskiej dają afirmatywę. — I ani w stanie rycerskim, ani nawet w senacie nie znalazł się żaden, co by mu tego pełnomocnictwa zaprzeczył.

Pan Bogusz, niegdyś sekretarz jeneralnej Konfederacji barskiej, był może najgłębszym w Polsce statystą i nadzwyczajnie poświęcał się dla kraju. Kiedy jego i nasze starania na niczem spelżyły, na małym przestał: osiadł na dziesięciodymnym folwarczku, na którym miał dożywocie z łaski naszego księcia wojewody, bo więcej nic od niego przyjąć nie chciał. Tam zajmował się pielęgnowaniem pięknych kwiatów; rzadko kiedy dom opuszczał, nawet dla Nieswieża, ale dawnych znajomych rad był w nim ugasać. Razu jednego, kiedy mu służyłem w jego domu z panem Świętorzeckim, także wielkim statystą a jego ścisłym przyjacielem, zgadało się wedle naszego zwyczajów o rzeczach publicznych. Pan Bogusz mnie znał, kiedy to jeszcze byłem pokojowym u JW. Ogińskiego, wojewody witebskiego, i nie mało czasu stawiliśmy z sobą w dwóch konfederacjach; a tym bliższy wstęp miałem do niego, że nie chwając się, na takiej nodze postawiłem mu interes z sukcesorami tegoż JW. Ogińskiego, że na pół darmo, godząc się z nimi, czterdzieści tysięcy mu odliczono. A służyłem mu z przyjaźni, bo żadnej nagrody nie przyjmowałem, chociaż kilkakrotnie coś mnie chciał wetknąć w ręce. Otóż pan Bogusz zaczął mówić o potrzebie powiększenia władzy królowi; że nasze starodawne cnoty za nadto już były zbutwiały, byśmy się mogli nadal cieszyć po dawnemu. Pan Świętorzecki na to się godził, jako utrzymywał, że powierzyć się nie można panującemu regnantowi. — Jakże, mówił, oddać skarb i wojsko marnotrawcy i tchórzowi? — Na to pan Bogusz tak odpowiedział: — Panowie bracia! nikt więcej odemnie nie nadokuczał królowi, bo przekonany byłem, że tylko panowanie monarchicznego domu mogło nas ocalić. A jeśli ma być koniecznie Piast, może z pomiędzy wszystkich zdatniejszego nie znajdziecie. — Na tośmy obydwaj powstałi: — A co to, panie sekretarzu! — odezwał się pan Świętorzecki — czy daleko szukać trzeba zdatniejszego Piasta, a wszakże trzy mile nie spelną do Nieswieża? Godzi li się przepomnieć naszego księcia? — A pan Bogusz: — Moi panowie, gdyby to odemnie zależało, a Litwa była odrębnym narodem, ani bym się wahał uwienić koroną to panowanie, co nasz książę swojemi cnotami nad nami otrzymał. Któż więcej odemnie przypatrył się jego szlachetnym postępkom i poświęceniu się dla dobra ogólnego? Ale nasza Litwa jest tylko częścią Rzeczypospolitej, a wam wiadome uprzedzenia naszego księcia przeciw wszystkiemu co nie z Litwy. Każdego wielkopolanina nazywa kaszubą; kto z Małej Polski, u niego cygan, a kto z Rusi koronnej, ten u niego kuśnierz. W dobrach, co ma w Koronie, żaden z tamecznych stron oficjalista w jego służbie się nie

utrzyma, wszędzie naszych rozsyła, czem jeszcze więcej Litwę obowiązuje. Ale nie królewska to rzecz, dla jednej prowincji być wylanym, a drugie od siebie odganiać. A potem czybyście dokazali, żeby faldów przysiadował w Warszawie? W czasie sejmu ledwo szósty tydzień dotrzymał, tak tęsknił za Nieświeżem. A przecie król w swojej stolicy mieszkać musi. Jeżeli tedy on przy tak wielkich cnotach duszy i nadzwyczajnie dowcipie przyrodzonym nie myśli, by dla swoich przesądów całej Rzeczypospolitej mógł dopisać, czy znajdziecie jakiego innego Piasta, coby był zdatniejszym do rządu, od terażniejszego? Nie tajno wam, jak ściśle stosunki miałem ze wszystkimi naszymi magnatami. Otóż powiem wam, że jako ich wszystkich widziałem godzących się na królewicza, tak pomimo ściśle przyjaźni, co ich w jedno grono łączyła, każdy z nich tak dalece poznawał, czego drugiemu nie dostawało, że prędzej zezwoliłby na Poniatowskiego, jak na którego ze swoich, zaczynając od naszego księcia. Wiem dobrze, że w duchu król Stanisław nie wiele o nas trzyma, ale już i to wiele, że sobą władać umie. Pytajcie naszych zakutych Litwinów, bywających w Warszawie, a każdy z nich powie o królu, że jest pełnym powagi, nie wdaje się w żadne śmieszki, każdego poddanego przyjmuje jednak, i choć miłuje swoich literatów, nie zaciera nimi gospodarzów. A na księcia-jenerała skarżą się, że ich w półmiewisko obracał. Tak więc wszystko rozebrawszy, wnioskuję, że najlepiej było, aby Sasi jak panowali nam blisko lat siedmdziesiąt, i dalej panowali, bo z pomiędzy zagranicznych domów on jest najmniej obcy naszym wyobrażeniom. Ale że wola Pana Boga, aby tubylec nami rządził, oddajmyż więc jemu sprawiedliwość. A jak nie stanie Stanisława Augusta (a my się tego doczekamy), wtenczas obróćmy naszą życzliwość ku wielkiej i dobroczynnej krwi jagiellońskiej, ku temu domowi, z kąd król terażniejszy czerpał i swój wzrost i te nadzieje, które Opatrzność tak hojnie sięciła. — Skoro pan Bogusz nam dowieść, że nasz książę nie byłby zupełnie dogodnym dla całej Rzeczypospolitej, obojętna dla nas była rzecz niezdatność do korony i innych magnatów; aleśmy nie mogli nie podziwiać, że on, tak czynny przeciwnik partji Czartoryskich, do nich skłaniał przyszłe nadzieje. Spozstrzegłszy nasze podziwienie, tak się nam tłumaczył: — Panowie bracia, obywatel poczciwy powinien ile możności bronić ustaw swojego kraju, z poświęceniem nawet własnego przekonania, bo gdzie o powinność chodzi, tam już nie ma miejsca na rozumowanie. Jednak wcześniej czy później nadchodzi czas potrzeby nowych warunków dla społeczeństwa. Poczciwi ludzie, co im się opierają, dopełniają swojej powinności, ale nigdy zwycięstwem cieszyć się nie mogą. Bo starość musi ustąpić miejsca młodości, na którą kiedyś kolej przyjdzie także zostać starą. Rzecz pewna, że ci, którym obmierzał dawny porządek, nie składają

cnotliwszej części narodu; gdyż namiętność zawsze nowościom sprzyja; ale cóż na to poradzić, kiedy doświadczenie nas uczy, że nakoniec słuszność jest przy nich? Nie żałuję ofiar i poświęceń moich dla dawnego porządku, i dziś jeszcze bym je odnawiał, chociaż w przekonaniu, że one na nic się nie przydadzą: bo nie ma nic wspólnego między dopełnieniem powinności a przecuciem pomyślnego skutku. Ale jakkolwiek być może, że prywatnie kieruje postępami ludzi, co hołdują nowości, wątpić nie można, że przyszłość jest ich, a nie naszą puścizną. Próżna więc usilność, choćby wskrziesić to, co już nie żyje. Lepiej po szlachetnym oporze godzić się z nowymi wyobrażeniami, by przy tej zgodzie zachować to, co jeszcze zachować się może. By przynajmniej ocalić pamięć sławy naddziadów, starając się ile możności do nich łączyć te nowe wyobrażenia. Pokąd sława przodków jest świętą dla narodu, nie ma jeszcze nic dlań rozpaczającego; ale skoro ta będzie znieważoną, pomiataną, w pośmiewisko obróconą, wszystko wtedy przepadło; bo już to jest oznaka oczywista, że naród nie wart bytu, że nawet żyć nie może, ponieważ już się oderwał od korzenia, z którego żywot swój czerpał. Przyznam się wam, że w przyszłości lękam się mocno o sławę wielu naszych godnych mężów, którzy nie poprzestając na tem, co już chwalebnie dopełnili, dla zachowania dawnych naszych ustaw, nie chcą za przykładem naszego księcia szczerze się pojednać z położeniem rzeczy nieodwzownem. Strzeż Boże! ażeby, kiedy przyjdą ostatnie Rzeczypospolitej zapasy, uporem swoim w przepaść jej nie wtrącić, wolać się chętniej złączyć z obcymi, niż dzielić z ziomkami to, co uważają być błędnem. —

Te były słowa tego wielkiego statysty, który tak zgłębił rzeczy nasze, iż ledwo nie duchem wieszczym przeczuwał, w co się one obróca. Szczęśliwy, że nie doczekał się nieszczęść, których nigdy nie przestawał przewidywać. Ale te słowa jego nigdy mi nie wyszły z pamięci. Byłże senator wyższy w świetle, wolniejszy od samolubstwa, równy w poświęceniu swojemu dla kraju księciu Antoniemu Czartoryskiemu? Byłże większy obywatel od Seweryna Rzewuskiego, hetmana polnego koronnego, Antoniego Półnawskiego, i t. p., i t. p.; a przecie na jak okropne stanowisko popchnął ich wszystkich upór w zamiłowaniu rzeczy godziwych i świętych, ale do których cały naród już smak był utracił. W r. 1784 król Stanisław objeżdżając Wielkie księstwo litewskie, nie ominął stolicy naszego Mendoga. Między nami Nowogrodzianami przeciw niemu wielkie kłóżyły uprzedzenia, ale na widok jego dostojnej osoby, jego majestatu, prawdziwie królewskiego, wszystkie one stajały jak śnieg kwietniowy przed słońcem. Napatrzyłem się na niego: było coś czarującego w tych rysach pięknego oblicza. Na granicy naszego województwa, gdzie go odprowadziły urząd i szlachta brzesko-

litewska, przyjęty został od starszyny i szlachty nowogrodzkiej. Wszyscyśmy byli na koniach, a na czele naszym JW. Niesiołowski, nasz wojewoda, który go powitał czując mową. A król nieprzygotowany, dziwnie pięknie na nią odpowiedział, dziękując za przywiązanie szlachty, oświadczone mu przez cnotliwe usta nieskażonego, w zawodzie pełnym zasług ich sędziwego wojewody. A potem, gdy ten mu przedstawiał urzędników i szlachtę, każdemu coś powiedział takiego, co go za serce uchwyciło. Nawet gdy między innymi przedstawiony mu był pan Michał Rejten, nasz pisarz ziemski, z taką czułością wspominał brata jego Tadeusza, że wszystkim przytomnym łzy dobył z oczu. Dopiero wedle staropolskiego obyczaju, urzędnicy brzescy zdali urzędnikom nowogrodzkim usługę królowi, który w ciągu swojego pobytu nosił mundur naszego województwa. Wielmożny Rdułtowski, nasz chorąży, zastępujący miejsce pierwszego urzędnika, odebrał z rąk JW. Niemcewicza, podkomorzego brzesko-litewskiego, pod rejestrem szaty i sprzętu podróżne królewskie, przyjął i dozór nad jego dworem, ciągle się sam zajmował odziewaniem króla i ścieleniem jego łóżka przy asystencji innych urzędników, tak, że przez cały czas jego pobytu tylko possessionati et bene nati dotykali się naszego pomazańca. Była wielka okazałość przy nim i siła pieniędzy pozała na wydatki jego podejmowania — a te pieniądze nie z jego kasy wyszły, ale naszą były krwawicą. Kiedy urzędnicy zbierali między sobą składki, my szlachta bardzo się obruszyli, że nas nie wzywają. Pan Łukasz Hreczecha w naszym imieniu się odezwał: — A co to panowie urzędnicy, sami tylko czujecie się być godnymi w podejmowaniu króla, a nas szlachtę za bajbardzo macie? — Dopiero każdy z nas co mógł sypał, a szczerze, bo kiedy szlachcie się rozczuli, rachować się nie umie. Dość że taka nawała brzęczącerek padła u pana Stefana Wereszczaki, skarbnego nowogrodzkiego, że kiedy król nas opuścił, to chociaż po królewsku był podejmowany, a do tego każdy z jego dworzan i sług stosowny do swojego znaczenia otrzymał upominek: więcej dziesięć tysięcy zostało u pana skarbnego, z którycheśmy uchwalili fundusz na coroczne wybitcie medalu złotego, a cztery srebrne z popiersiem królewskim, na nagrodę uczniom nowogrodzkim, najlepiej odznaczającym się w czasie szkolnych popisów.

Król otoczony czołem województwa i tłumem szlachty, wjechał konno do Nowogródka i przed farnym kościołem stanął, chcąc najpierw uciąć Pana nad pany. Kiedy zsiadł z konia, pan chorąży Rdułtowski podał mu swoje ramię, a pan Stanisław Orzeszko, koniuszy nowogrodzki, trzymał jedną ręką trędzle, a drugą strzemię. U drzwi kościoła, na czele duchowienstwa, JW. ksiądz Koncewicz, kanonik wileński, u oficjał nowogrodzki, orderu królewskiego kawaler, powitał go mową.

Poczem król, ciągle kłęcząc, słuchał tajemnic pańskich, w czasie których wymieniony szanowny kapłan przyniósł mu mszał, i kłęcząc, podał mu ś. ewangelję do ucałowania. Po mszy ś. urzędnicy województwa oddzielili się od szlachty i skupili się w grono. JW. Gedeon Jeleński, kasztelan nowogrodzki, zabrał głos, którym oświadczył w imieniu tychże urzędników radość publiczną z powodu dnia tak świetnego, w którym łaska Najwyższego użyła ich województwu, nacieszyć się obliczem pana i ojca całego narodu. Książę Radziwiłł, wojewoda wileński, lubo był zaproszony do grona urzędników, stał między nami, oświadczywszy iż nie mając urzędu w tem województwie, jest prostym szlachcicem. Gdy skończył mówić JW. kasztelan, od nas witał króla jęgoomości pan Paweł Odyniec. — Po tych mowach i królewskich odpowiedziach, bo król na każdą mowę odpowiedział dziwnie pięknie, a głosem tak miłym, że jakby wdzięczną muzyką wszystkich serca wabił ku sobie, dopiero duchowieństwo, urzędnicy, szlachta, ba! i prostaczowie nawet, zaczęliśmy śpiewać *Te deum laudamus*. Po odśpiewanym hymnie poszliśmy wszyscy za królem do szkoły wojewódzkiej. Książę Krysztof Haraburda, rektor, przyjął króla łacińską mową, na którą król odpowiedział tymże językiem, ale tak płynnie, jakby rodowitym, czem do reszty nas zawojował. Potem od każdej szkoły uczeń wystąpił przed króla z mową: od poetyki w języku francuzkim perorował pan Julian Niemcewicz, podkomorzyc brzeski. Widać było, że król był uderzony wymową tego kawalera; jakoż mnie upewniał świadomi przytomni, że ta mowa miała być bardzo piękną.

Ale wspomnienie tej uroczystości rozdziera moje serce! — Młodszy mój syn, mój Karolek od syntaksy, mówił przed najjaśniejszym panem i podobał się królowi, bo od dzieciństwa dzwone miał szczęście do ludzi. Wielkie na nim, nie tylko my rodzice, ale i przyjaciele pokładali nadzieje, bo i twarz jakby aniołka i przy wielkiej zdatności nadzwyczajna pilność i potulność. Pan Bóg mi go dał, Pan Bóg mi go odebrał, niech mu będzie chwała na wieki wieków! Po skończonych szkołach, że miał ochotę do wojska, kupiłem mu chorążstwo w ósmym pułku litewskim. Pod Żelwą bił się jak lew, że chociaż desarmacja zastąpiła go podporucznikiem, pan Jasieński, tymczasowy naczelnik w Wilnie, kapitanem go mianował w tymże samym pułku. Ale nie długo się cieszył swoim stopniem. Pod Sałantami, gdzie szesnastu oficerów ósmego pułku poległo, padł między nimi mój Karolek, pięciu bagnietami pchnięty. Pogrzeban został na swojej jeszcze ziemi, i to jest jedyna pociecha, co mi zostaje.

Król miał przesłiczną do naszej młodzi mowę; prawdziwie jak ojciec do dzieci przemówił, a tak, że aż ryk dał się słyszeć po wszystkich kościele. A gdy potem własną ręką rozdawał me-

dale calującym uczniom, gdy go przypinał mojemu Karolkowi, nie wiem co się ze mną stało, ale wszystkich roztrąciwszy, przedarłem się wprost do króla, jak długi padłem mu do nóg i rozbeczałem się, że sam król bardzo się rozczulił, podniósł mnie, dał rękę pańską do ucałowania, pobłogosławił mi syna, i jak się później okazało, dał dowód, że ta moja rzewliwość nie była mu od smaku. Że była właśnie natenczas kadencja świętomirska, król oświadczył, iż radby nawiedzić sądy. Pan Ignacy Rewieński, prezydujący w ziemstwie, z kolegami swoimi spiesznie udał się do sądu, aby króla przyjąć w czasie gotowej sesji. I tak się uwinęli, że kiedy król przybył, zastał sędziów na miejscach swoich, słuchających agitującej się sprawy. Indukt dopiero zaczęty przerwany został, a pan prezydent krótką mową powitawszy najjaśniejszego pana, zaprosił ojca i najwyższego sędziego narodu, aby raczył osobiście wymierzyć tę sprawiedliwość, co ją oni jego powagą i imieniem poddanym głoszą. Król zasiadł w krześle, a wszyscy sędziowie stali w milczeniu, bo w przytomności króla pełność władzy sądowniczej w jego tylko osobie zostaje. Pan Fabjan Wojniłowicz właśnie indukował sprawę, dość z siebie mało znaczącą. Rzecz chodziła o otrzymanie dekretu nakazującego wypłatę sumy, z prostego długu należnej, po dwóch kondemnatach używanych na panu Remerze, marszałku oszmiańskim, przez pana Jakuba Potrykowskiego, w ziemstwie nowogrodzkim. Pan Jelec, umocowany pana marszałka, stawiał z tem, że jego stronie zaoczność niesprawiedliwie przypisaną była: gdyż pozwy nie były kładzione na jego dobrach w województwie wileńskim, na których opiera się ubezpieczenie sumy zaciągniętej, ale pozwy położone były w Nowogrodku, gdzie piędzi ziemi nie posiadając, pilnować się nie mógł. Domagał się tedy uchylenia zapadłych kondemnat. — Ale pan Wojniłowicz stanął z prawam, którem jak vot, forum ubiquinarium całemu w księstwu litewskiemu jest dozwolony w sprawach simplicis debiti — ale w ciągu induktu zrzęcznie zrobił zwrot do króla, którego w imieniu palestry ziemskiej powitał. Z mocy więc prawa wypadł wyrok na pana marszałka, aby pod winą wywołania na naznaczonym terminie sumę zapłacił, a ten wyrok przez króla podpisanym został. Pan Jelec, lubo sprawę przegrał, w imieniu swojego pryncypała zadowolenie podpisał, oświadczając, że jest nadto wiernym poddanym, aby w czemkolwiek różnił się w zdaniu z panem swoim. Wszystko to i godziny nie trwało, bo wszystko było przygotowane, by królowi czasu nie kwasic.

... Po ogłoszeniu wyroku najjaśniejszy pan poszedł do grodu, gdzie go pan Kazimierz Haraburda, sędzia grodzki prezydujący, powitał, podobnie jak w ziemstwie prosząc go, aby raczył wysłuchać sprawy. Jakoś się nie opatrzył, że nie było przyzwoitą grzecznością prosić króla, aby zasiadł w jurysdykcji, gdzie nie

w jego, ale w wojewody imieniu wyroki się głoszą. Przecież król przedziwnie się znalazł, bo przyjmując to jego oświadczenie za dowód życzliwego poddaństwa, co w istocie tak było, oświadczył ze swojej strony, iż w namaszczeniu swoim przyjął stopień duchowny, a zatem wedle kanonów do spraw kryminalnych udziału mieć nie może, i dziękuje Bogu, że mu prawo nie pozwala karać miłych poddanych, czegoby mu i własne serce sabroniło. A ja w imieniu palestry grodzkiej miałem rzec do króla. Łaskawi przyjaciele wieszowali mi, że jakoś nie najgorzej mi poszło; wiem przynajmniej, że jeśli tam były pochwały królowi, nie z pochlebstwa, ani z podłych widoków pochodziły, ale były istnem wynurzeniem mojego przekonania, a król w krótkich wyrazach okazał, iż mi jest rad.

W dniu tym był wielki obiad dany królowi przez szlachtę w kościele OO. Dominikanów. Więcej nas tysiąca siedziało za stołem. Przykro nam było, że król rad nie rad wielkie grzeszności wyświadczać musiał jednemu z obcych książąt, kazał jego na obiad zaprosić i posadził go tuż przy sobie. Bo kiedy dzieci ojca przyjmują, nie radzi wtedy, by cudzy do nich się przymieszał. Tam wedle starego obyczaju urzędnicy województwa wzięli się do służby, a na czele ich w. Chryzostom Rdułtowski, nasz chorąży. Pan Benedykt Imieniński, mieczny nowogrodzki, stał przy królu z pałaszem dobytym. Pan Hipolit Korsak i pan Michał Ginter, jeden stolnik, drugi podstoli, zajęci kuchnią, zastawiali półmiski przed królem, podawali je i chleb mu krajali. Pan Jan Kiersnowski, cześnik, przynosił butelki i korki dobywał, a pan Antoni Zwierowicz, podczaszy, nalewał wino królowi, którego butelka więcej sta złotych kosztowała, a nalewał go w małe kieliszek, gdyż król nie był wzwyczajony do trunku, owszem brzydził się w nim zbyt kawać. Pan Wojciech Płaskowiecki, krajczy, rozbierał pieczenie i krajał mięsiwa królowi przeznaczone. A inni urzędnicy między sobą podzielili dozór nad hajdukami pańskimi i inną liberją, z rozmaitych dworów obywatelskich zebraną, dla publicznej usługi. Podzielili ich na oddziały tak, że każdy oddział miał nad sobą urzędnika. Srebra były zbierane z całego województwa, ze wszystkich jego posesjonatów, co z herbów można było poznać, a nad tym kosztownym kredensem miał dozór pan Ignacy Rewieński, prezes sądu ziemskiego. Jeszcze to w czasie obiadu, książę gość, widząc że Zwierowicz królowi wino nalewa, kiwnął na niego i swój mu kielich pokazał, by i jemu nalać: ale nasz podczaszy, że tylko swemu obowiązany służyć, jakby go nie rozumiał, postawił butelkę na stole. A książę tylko marszem na niego spojrzął, o co on mało dbał, i tamten sam sobie wina nalać musiał. A że my to uważali, była nam pociecha, iż przynajmniej dumą upokorzoną została. Przy obiedzie spełniono kilka wiatów, jednak towarzystwo nie bardzo było animowane, bo

ten dokuczliwy intruz pruć nam zabawę. Starszyzna nie chciała nas zagrzewać do kielicha, aby któremu z nas coś się nie wypnęło, bo jakbykolwiek człowiek był ostrożnym po trzeźwu, to przy kielichu nie najlepiej wyjdzie obcy, który się tam urodził, gdzie go nie posiali. Ale z tem wszystkiem nie dość mogliśmy się nacieszyć naszym królem.

Po obiedzie król z księciem wojewodą wileńskim pojechali do Nieświeża na całą noc, gdzie przededniem stanęli. Król tam miał dwie doby zatrzymać się, i wszyscy urzędnicy nie odstępując króla, za nim pojechali. Król obiecał panu Rdułowskiemu przyjechać do niego z Nieświeża, ale że on jako zastępujący miejsce podkomorzego, ani na jedną chwilę nie chciał się odkażać od przełożenia nad królewską usługą, więc pojechał za nim do Nieświeża ze wszystkimi urzędnikami. gdzie i żona jego, księcia wojewody rodzona siostrzenica, umyślnym uwiadomiona, pojechała. Ale zaprosiwszy całą szlachtę nowogrodzką do Snowia na dzień pojutrzny, uprosił przyjaciół i sobie obowiązanych, aby wprost natychmiast ruszyli do Snowia, by rozporządzenia w jego niebytności zrobili do przyjęcia tak okazałego i licznego gościa; i mnie tam wyprawił, mówiąc: — Zmiłujcie się, by mnie wstydu nie było, a zajmijcie się gospodarstwem, bo czasu nie wiele. — Ja srebra i szkła zebrane ze sobą zabrałem, a chociaż gospodarstwa nie było, przy pomocy licznych przyjaciół i krewnych tego domu jakoś się urządziło tak snadnie, że wszystko pokazało się być przyzwyczajonem. Nazajutrz w nocy nasze chorążtwa przyjechawszy do domu, a opatrzwszy się, bardzo się ucieszyli i czule nam dziękowali, mówiąc że gdyby sami się byli wszystkim zatrudnili, nigdyby nie zdołali popisać się lepiej. Uwiadomił nas chorąży, że król Jmć. bardzo był wesoły z przyjęcia nieświezkiego, a chcąc w domu księcia pana dać dowód szacunku swojego całemu naszemu województwu, obu naszych posłów, pana Adama Rzewuskiego, chorążycy w. litewskiego, i pana Kazimierza Jabłońskiego, wojskiego nowogrodzkiego, raczył zaszczycić orderem ś. Stanisława, oświadczając że w Snowiu innym obywatelom nagrody rozdawać będzie. Tłumy szlachty przez cały ranek przybywały dla powtórnego powitania najjaśniejszego pana, a przed południem samem urzędnicy nasi przybyli z Nieświeża z doniesieniem: że lada chwila król przyjedzie. Jakoż nie długo czekaliśmy na karetę dworską, z której wysiadł król, książę wojewoda wileński, J.W. wojewoda nowogrodzki i książę Naruszewicz, pisarz wielki litewski, a za nimi rozmaite karety, z których wysiadały: infuły, mitry, ordery, krzesła, i tak dalej. Gospodarz przyjmując u ganku wysiadającego króla, padł mu do nóg, dziękując za zaszczyt przyniesiony jego domowi; i my wszyscy klękli. Jako ojciec przez dzieci, tak król przez wiernych poddanych powitany został, i mocno go rozrzewniła czolobitność nasza. Nie obawa t.j. była, ale miłość,

o słodkiego ucucia tylko dobrzy, ojcowscy królowie doleżyć mogą. Pani chorążyna podała rękę królowi i zaprosiła go do obszernej sali bawialnej, która w oka mgnieniu spełniła. Król kilka chwil zabiawiwszy, trochę z obywateloznamniał, chwalać uprawę roli w Nowogrodzkim, iż t na Rusi piękniejszego zboża nie widział. Ale wkrótce się zaprowadzić do komnaty jemu przeznaczonej; tam poz księdzem Naruszewiczem, by odprawić ekspedycję do szawy, a my zebrani na pokojach, pomagaliśmy gospodarować gości, zwłaszcza tych, co składali orszak królewski: o dość mężów za królem z Warszawy przybyłych. Odznasie się jego czterej szambelani, nieodstępni od jego osoby: całą podróż. Ci byli: pan Trembecki, sławny wierszopis, wieku dojrzałego, a tamci trzej młodzi byli: pan Szydłowski, wojewódzic połocki, pan Grocholski, kasztelanic braclawski i pan Morykoni, nasz Litwin; bo chociaż jego przodkowie li aż z Łukieckiej ziemi, gdzieś tam z pod Rzymu, ale on był ym obywatelem w wileńskim województwie, a nawet zonie długo potem starostą wilkomierskim. Młodzi to byli ze, po niemiecku się nosili i pudrowali czupryny; ale jak ałem, przysłuchując się ich dyskursom, dobrze z polskimi ami byli obeznani. Bo kiedy się zgadało o odmianach, co rządzie naszym uskutecznił sejm 1766 roku, pan Butrymowski podstarosta piński, ośmdziesięcioletni starzec, mąż wielopowagi, temu sejmowi gdy jął przyganiać, iż ścieśnieniem a de liberi vocis, zniósł przywileje narodu, że to o słuszenie od przodków naszych było uważane jako pu- a libertatis, bo zasłaniało naród od skutków korupcji, w czasach tak zepsutych ogarnąć może większość izby rwej. Słyszając to, na niego wielu powstało, a szczególnie belani królewscy. Pan Szydłowski bardzo gruntownie do- ił, że zerwanie sejmu przy łada materji zawsze było prze- a duchowi naszego prawodawstwa, że to było nadużycie órych wyrazów Jana Zamojskiego; że przedtem in Volu- t legum śladu nie było tak dziwaczego przywileju, upo- zbniającego tylko nierząd i intrygi w narodzie; a że nako- samowolność nie na tem zależy, aby ulegać większości izby odawczej, ale dawać się wiązać przez widzimisię jednej r. Pan Butrymowicz, chociaż wielki prawnik, widno że nie piej sprawy bronił; bo dość słabe były jego argumenta. ało się także o potrzebie egzekucji dekretów; nasz poseł, łzewuski, z wielką wymową powstał na nadużycia staro- ktrózy w Warszawie przesiadują, a przecie bez ich pod- rodzkich sądów wyroki egzekucji nie mają; i swoje rozu- nie kończył, mówiąc: — Sam skorzystawszy z tego nie- mam prawo o nim mówić. Wyobraźcie sobie panowie, że Turkuł, łowczy braclawski, zyskał na mnie w grodzie kijo-

wskim dekret, nakazujący zapłacić mu sześćdziesiąt tysięcy. Prosiłem o umiarkowanie, żeby przynajmniej rozłożył dekreta na dwa terminy; ale zaufany w dekrete, tak się okazał twardym, że ani sobie mówić nie dał o układach. Udałem się do Warszawy, gdzie mieszkał książę Lubomirski, wojewoda, a razem starosta kijowski, człowiek umysłu nieprzytomnego i tylko kobietami zatrudniony. Otóż tam mój umocowany wszedł w układ z jego faworytą, iż co dzień będzie jej płacić po jednym czerwonym złotym, aż póki książę podpisze dekret zwykłą formą. Rozumie się, że ta imość nie dopuściła księciu takowy podpis zrobić, by nie stracić akcydensu, tak, że pan Turkul nie mogąc się doczekać egzekucji swojego dekretu, przeciw zmieknął i ze mną wszedł w układy. Na przyszłym sejmie, da Bóg doczekać, jeśli będę posłem, wniosę, aby odjąć starostom ten przywilej, tak uciążliwy dla szlachty, i domagać się będę, aby nadać sądom grodzkim moc egzekucji wyroków, jako ją mają ziemstwa. — I w samej rzeczy w Grodnie na sejmie 1784 na wniesienie tegoż pana Rzewuskiego, posła wówczas wołyńskiego, prawo o egzekucji dekretów jednomyślnie uchwalone zostało.

Tak tedy o publicznych rzeczach wszyscy byli zajęci mową i słuchaniem, gdy król wrócił na pokoje z księdzem pisarzem, i kiedy zgromadzeni poddani cieszyli się oglądaniem pana, gospodarz odezwał się, trafiając w ich myśl, o uszczęśliwieniu województwa tą pierwszą, a tak długo oczekiwaną bytnością króla na Litwie; ale król przerwał z żywością: — Mości panie chorąży nowogrodzki, jak widzę masz nas za obcego; wszakżeśmy rodowitym Litwinem, urodziliśmy się i chrzest święty przyjeśliśmy w Wołożynie, a będąc w stanie rycerskim, sprawowaliśmy urząd stolnika litewskiego. Nawet byliśmy w Lidzie na sejmiku, na którym utrzymaliśmy na poselstwie teraz tu obecnego waszego godnego wojewodę. Mości wojewodo nowogrodzki, przyświadc nam, żeśmy wtedy szczerze wam dopisali. — Skłonił się JW. Niesiołowski, dziękując za łaskawą pamięć najjaśniejszego pana, a ksiądz Koncewicz, sufragan nowogrodzki, sędziwy starzec, ale wielce lubiący gawędzić, wmiezał się do dyskursu. — Pozwól, najjaśniejszy panie, przypomnieć pewną okoliczność jednego pobytu waszej królewskiej mości na Litwie. To było w Wilnie za księcia biskupa Pocięja. Już byłem rektorem w kolegium ś. Kazimierza, a JW. pisarz wielki litewski tylko co został profesorem; jeszcze wtedy ani myślano o kazacie. Dano przeto wiedzieć księciu biskupowi, że na ponarskiej puszczy lud tajemnie się zbiera, dla odbywania jakichś zadawniałych pogańskich obrządków, i że tam stoi dąb poświęcony, ogromnej grubości, przed którym lud kłęka, pokłony bije i ofiary pali. Już jego poprzednik bywał o tem uwiadomiony, i dał był rozkaz, by ten dąb zwalono i spalono; ale było mnie-

manie, iż jak kto toporem po dębie uderzy, sam siebie zetnie. Ztąd prostota myślała, że to Bóg swój dąb broni, a inni wnosili, że być może, iż djabeł ludzi omamiał — dość, że nikt się nie odważył na ten dąb porwać, i rozkaz dopełnionym nie został, a zabobony jak trwały tak trwały. Otóż ksiązę Pocięj, równie światły jak gorliwy, że tak na pedogrę cierpiał, iż od dwóch lat z łóżka nie wstawał, nie mógł osobiście zjechać do ponarskiej puszczy, ale wysłał tam komisję, a na jej czele nieboszczyka księdza Juragę, ofiojała wileńskiego; i mnie tam wysłano z ojcami jezuitami. Był z nami i ksiądz Naruszewicz, tu obecny, a ten mi kłamstwo zada, jeśli zmysłam. Siła była dominikanów, bernardynów i innych zakonników, nie licząc świeckich; dość, że omal całe duchowienstwo wileńskie nie zjechało się, kto z rozkazu, kto z ciekawości, a do nich mnóstwo panów i szlachty się przyłączyło. Przybyliśmy tedy w las, a już z całej okolicy spędzono prostaczków, ile ich tylko można było nagromadzić. Dopiero ksiądz Juraha miał naukę do narodu, w której go przekonywał, że to bałwochwalstwo porzucić trzeba, a przestać naszego Zbawiciela krzyżować, gardząc nauką jego kościoła, aby chodzić za baśniami i czartowskimi wymysłami, a po skończonem nabożeństwie kazał ów dąb zwalić: ale żaden prostak nie chciał mu być posłusznym. — A co to, prawi jeden po drugim, mam sobie samemu być wrogiem? Niech książe sami popróbują go ścinać. — Nie trzeba zaś zapomnieć, że wiele było świeckich mężów. Ksiądz Juraha mówi JW. Chlebowiczowi, kasztelanowi wileńskiemu: — Jako wysoki senator, daj panie z siebie przykład, którym lud oświecisz! — A pan kasztelan odpowiedział, pokazując na JO. księcia Radziwiłła, hetmana wielkiego litewskiego, który był razem wojewodą wileńskim: — Oto jest pierwszy senator naszej prowincji; strzeż mię Boże, abym przywłaszczył sobie pierwszeństwo. — Ale książe hetman: — Rybeńko, przywoiciej aby stan duchowny zaczynał, a my potem. — Tu ksiądz Juraha: — Toby było przeciwko powagi stanu duchownego, toporem machać. — Tak wszyscy stanęliśmy jak wryci, tylko się na siebie oglądamy, bo choć wiara była wielka, każdy myśli sobie: a nuż czort omamiał, kto siebie pewny, kiedy on na Sanctus Sanctorum odważył się porwać. Świeccy jeszcze więcej zwątpili o sobie; piękna była rzecz zrobiła: tu uczył naród, aby w takie zabobony nie wierzył, a tu sami nauczyciele tak się polekali, iż żaden odważyć się nie może na to, przeciwko czemu piorunuje. Aż jeden pan młodziuchny, po zagranicznemu odziany, ale dziwnej urody, podobniejszy do anioła, niż do człowieka, widząc te korowody, porywa topór i śmiało nim po dębie raz, drugi i trzeci zacina. Dopiero jak zobaczył lud, że jemu nic, za nim z toporami tak żwawo, że dębsko duchem zwalone, runęło z hukiem o ziemię. My cie-

kawi, co to za pan tak odważny i piękny, dowiadujemy się, że to pan kasztelan krakowski, dzisiejszy nasz pomazaniec, który zaszczyca nas swoim majestatem, a który, daj Boże! aby nad naszymi prawnukami panował, jak teraz nad nami szczęśliwie panuje. Tak ledwo z dzieciństwa wyszedłszy nasz wielki monarcho, uzupełnił dzieło Władysława Jagielly: tamten w pogańskich narodach prawdziwą wiarę zaszczyił, a ten ostatnie szczytki bałwochwalstwa zniszczył. Pan Bóg mu to nagroził, powierzając mu panowanie nad ludem, którego, śmielszy od nas wszystkich, na drogę zbawienia wprowadził. —

Podobało się bardzo królowi to zaszczytne wspomnienie jego pierwszej młodości, tem więcej, że w tem zgromadzeniu było kilku tego naocznych świadków, a wielu z nas o tem wiedziało, ale tylko jak o słyszanej rzeczy. Pan Trembecki zaczął trochę przesładować księdza pisarza wielkiego litewskiego, że z siebie przykładu nie dał; ale ów J.W. ksiądz się tłumaczył: — Co to waćpan myślisz, że u nas w zakonie jak między szlachtą, gdzie każdy starszy? U nas wara młodzikowi, coby się z czemkolwiek wyrwał przed swoim przełożonym. Nie prawdaż, mości sufraganie, że będąc rektorem, byłbyś mnie w ciupie zaparł, gdybym bez rozkazu jął się siekiery. A nakoniec sameś napisał, mości szambelanie, o naszym pomazańcu:

Że raczył nam powszechne światło rozprowadzić;
I myśleć nas nauczył, i po trzeźwu radzić.

Wszystko idzie ad Caesaris exemplum. Za czasów byliśmy pijaki, tchórze i ciemi, teraz jesteśmy trzeźwi, mężni i światli. Onegdaj my starzy w szkole nowogrodzkiej przekonywać się mogliśmy, że dziś dzieci więcej mają nauki, niż za naszych czasów wysokie urzędniki. — To młodzieży się podobało, ale starzy trochę czoła namarszczyli; jeno że król spostrzegłszy się, wnet temu dał inny obrót: — Byliśmy tak szczęśliwi — rzekł — obejmując rządy powierzone nam od Boga, iż znaleźliśmy wielu starych, którzy uskuteczнили nasze zamiary względem rozposzczelnienia nauk między młodzieżą. Bo bez pomocy tych weteranów, o których widno iż żartując, tak lekko wspominałeś, mości księże pisarzu litewski, na nicby się nie przydały starania nasze. — A temi słowy król mocno uradował całą naszą publiczność. Potem pani chorążyna zaprosiła króla, by raczył pozwolić sobie służyć obiadem w stodole, przepraszając, iż nie mają sali tak obzernej, w którejby mogli umieścić liczne obywatelstwo, łaknące dzielić gody królewskie. Król odpowiedział uprzejmie, że najwłaściwiej króla rolniczego narodu w stodole nakarmić, i podawszy rękę gospodyni domu, z nią poszedł na gumno. Gdyśmy za przykładem i pozwoleniem najjaśniejszego

pana zasiadł za stołem, zwrócił uwagę królewską przy nim stojący zrobiony misternie z ciasta i cukru na półmisku ogromnym wizerunek Piasta, siedzącego na wozie dwoma wołami i ciągniętym, a naładowanym kołami, któremu u wrót Kruszwicy wojewodowie koronę i berło przynoszą. Ta cudna robota, która długo się jeszcze potem chowała w Snowiu, była dziełem wędrownego snycerza Niemca, który właśnie jakby z rozporządzenia boskiego, natenczas w kościele ojców Dominikanów nowogrodzkich różne ozdoby kościelne kształcił i złościł. A że jako Niemiec do wszystkiego był zręczny, kazał przeto pan chorąży nam go zabrać z sobą do Snowia, gdzie przez dwa dni nie spełna tak się nam popisał, że mu pan chorąży po odjeździe króla dwadzieścia pięć czerwonych złotych z dobrego serca dał nagrody. Z powodu tegoż wizerunku zaczęto rozprawiać, czy też w istocie tak było, czyli to tylko wymysł dzi-jopisarza. Jedni dowodzili rzetelności tego wypadku, drudzy a między nimi szczególnie pan Trembecki, uważał to być alegoryją. Rozpierał się jak to zwykle pomiędzy uczonymi, aż król się odezwał: — Zmiłujcie się, nie odbierajcie nam naszego Piasta, niech on nam służy na zawsze za dowód, że w znacnym narodzie prosty kołodziej cnotami swojemi może dostąpić najwyższej władzy. — Jeszcze się wtenczas doskonale udało p. nu chorążemu stojącemu jako gospodarz za krzesłem królewskim: — Najjaśniejszy panie, powiedział, wasza królewska mość je tu dla nas zupełnym Piastem, nawet kołodziejem, jak on, bo toczyś koło fortuny polskiej i litewskiej. — Co król mu odwdzięczył miłym uśmiechem; potem król zaczął po francuzku rozmawiać z paną chorążyną. Zaczęła się animować kompanja za hasłem przez gospodarza danem, który ogromnym kielichem spełił zdrowie jego królewskiej mości w ręce JW. Niesiołowskiego, wojewody naszego. A potem kielich puścił się na wędrownkę między nami, przy tem zdrowiu śpiewano wiersze na przedce ułożone przez pana chorążycę litewskiego, naszego posła, a brata rodzzonego gospodyni domu. Król małym kieliszkiem pił zdrowie gospodarstwa i szlachty, ale widno było, że mu to nie służyło, i choć w małej ilości, nie pijał bez widocznego wstrętu. Ale my szlachta, rozrzewniona jego bytnością, pozwoliliśmy sobie, że przez cały czas obiadu zabawa była dość animowana. I panowie z królem przybyli, chociaż do Warszawy nawykli, nie gorzej nam dopisali, a szczególnie książę Narusiewicz, p. szarz litewski, który pił ze aż miło. Jednak jakieś było umia kowanie. I o pan chorąży wstrzymał nasz popęd, gdyż król po obiedzie miał rozdawać urzędy; trzeba więc było gospodarzowi być trzeźwym, bo jako zastępującemu miejsce podkoronarskiego, wypadało jemu mówić z królem o wakansach i przekładać mu życzenia oływatełskie.

Jakoż po obiedzie król wezwawszy JW. wojewodę i kasztelaną nowogrodzkich i pana chorążego Rdultowskiego do swojej komnaty, konferował z nimi o nagrodach zasłużonym obywatelom i o rozdaniu wakansowych urzędów-tym, co opinję publiczną mieli za sobą.

Po skończonej konferencji wróciwszy na pokoje, gdzie my zebrani z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy ich przybycia, król jegomość kazał księdzu Naruszewiczowi ogłosić nazwiska łaskobierców. Orderem orła białego zaszczytzeni wtedy zostali: JW. Gedeon Jeleński kasztelan i ksiądz Kuncewicz, biskup adnuntański, sufragan nowogrodzki. A świętego Stanisława: pan chorąży, gospodarz domu, pan Obuchowicz, podwojewodzy, i pan Rewieński, prezydent sądów ziemskich. Pan Siemiradzki, który przed rokiem złożył nasze stolnikostwo in favorem pana Hipolita Kor-aka, otrzymał urząd sędziego wojskowego. Wakujące strażnikostwo i mostowniczostwo nowogrodzkie dostali: Pan Celestyn Czeczot i pan Józef Barzobohaty; także kilka starostw król naszym rozdał i nieco urzędów egzotycznych. W tym hojnym wylewie szczodroty najjaśniejszego pana i mnie jego łaska nie ominęła: dostało mi się cześnikostwo parnawskie. A sposób, w jakim król te godności rozdawał, był nam wdzięczniejszy niż one same. Bo każdemu świeżo zaszczyconemu umiał coś obowiązującego powiedzieć. Gdy przyszło do mnie: — Mości cześniku parnawski, rzekł, zawsze się staramy zasłużonym obywatelom podawać coraz obszerniejsze pole do dalszych ich zasług. Wiem że długo byłeś nam przeciwny; ani wam to za winę przypisujemy, boś szedł za swoim przekonaniem. Spodziewamy się atoli, iż odtąd jedna tylko opinja nie dopuści żadnych domowych rozterek w naszej Rzeczypospolitej, i że z równą wiernością będziesz służył królowi ściśle zjednoczonemu z całkowitym narodem, jakęś służył tej części, która niefortunnymi okolicznościami od niego się była odłączyła. Tuszysz, że mieć zawsze będziemy w waćpanu wiernego sługę i przyjaciela. —

Kłęknałem natychmiast przed królem i u nóg jego odnowiłem przysięgę wierności, co ją aż do samego końca dochowałem jemu. I nie tylko ja, ale wszyscy obdarzeni równym zapalem przysięgali mu wiarę. Taką miłością zapaliliśmy się do naszego pana, że byliśmy jak w gorączce: żaden z nas nie umiałby dokładnie przypomnieć sobie, cośmy wyrabiali. To tylko pamiętam, że ustawicznie padaliśmy do nóg, płakaliśmy i śpiewali na przemian, a pili co się wlało. — Choć król okazywał, iż był rad tym naszym wynurzeniom, pewny jestem, żeśmy się naprzykrzyli jemu, bośmy chwili mu wolnej nie zostawili; co jeden kończy, to drugi zaczyna, a gospodarz tylko chodzi od jednego do drugiego i przekłada, że król nazajutrz z rana musi jechać, że podróżą i pracą zmęczony, że wczasu mu potrzeba — na się

my się przekonać dali. A tak zebrawszy się w oficynie, żeby hałas nie dokuczał królowi, całą noc piliśmy; że kiedy z rana król wsiadał do karety, zastał nas przed gankiem na nogach, lubo dobrze chwiejących się. Dopiero znowu nowe śpiewy i klękania przy pożegnaniu i prośby, by nam dał ojcowskie błogosławieństwo, którebyśmy zanieśli żonom i dzieciom naszym. A większa część naszych, choć ledwo na nogach się trzymała przez wino i niewczas, króla konno odprowadziła aż do granicy naszego województwa.

Ale kiedy po odbyciu wszystkiego wróciłem do Doktorowicz, co to była za radość żony i czeladki! Zsiadając z bryki, pierwsze moje słowa do żonki, która na przyjęcie moje wybiegła, były:

— Żonko! dziękuj Bogu, że nam nad spodziewanie poszczęścił: był już z jego łaski majątek i dziatwa, urzędem tylko nie dostawało, aż król jegomość raczył nas i urzędem zaszczycić. Mościa cześnikowo parnawska! pocałujże swojego męża! — Co powiadasz, mój kochanku? — Tak, tak, moja Magdusiu! Pamiętasz jakieś mocno uczyła roku zeszłego, że nasza sąsiadka, pani Rajka, miecznikowa, napisała do ciebie: Mnie wielce mościwa pani i kochana siostró! Rzewnemi łzami płakałaś przedemną, skarżąc się na jej niegrzeczność. A jam ci powiedział: choć pani miecznikowa, mogłaby spuścić ze swego prawa, by niem nie upokarzać sąsiadki; przeczyć jej tego prawa nie można, bo ona urzędniczka, a ty po prostu szlachcianka. Ledwom cię ukoili, toś przez cały rok ofiarowała boskiej Opatrzności poniedziałki suszyć, byś także została urzędniczką. Widzisz, że kto z Bogiem, Bóg z nim, i my teraz z jego łaski jesteśmy wielmożni. — Ach, mój Sewerynku, pozwól niechno wyprawię forysia do pani miecznikowej z doniesieniem o naszym szczęściu, które listownie jej oznajmię, jako sąsiadce łaskawej. — Dobrze, moja Magdusiu, pisz; niech wszyscy wiedzą, że my na ludzi wyszli.

Moja Magdusia do siebie nie mogła przyjść z radości. A ja patrząc na tę jej radość, więcej czułem moje szczęście, niż kiedym je otrzymał w Snowiu z rąk najjaśniejszego pana. A w domu z jaką pociechą cała moja czeladka i wiejska gromada przybyli do mnie z powinszowaniem!

Pięćdziesiąt kwart gorzałki dałem gromadzie, aby na moim dziedzińcu radowała się z nami, a mój stary dyspozytor Pękałski, który mojego dobra gorliwiej niż własnego pilnował, którego synów moim kosztem w szkołach utrzymywałem, do łez mnie rozczulił, bo jak mu Magdusia oznajmiła, że cześnikiem zostałem, powiedział mnie: — Panie! już teraz spokojnie umrzeć mogę, kiedy doczekałem, że zasługi pańskie nie poszły marnie.

Ledwo nie przez cały kwartał zjeżdżali się do mnie sąsiedzi, by mi winzować zaszczytu, i nie mało kosztu ta ich życzliwość nam przyczyniła. Aleśmy tego nie żalowali, i Magdusia, choć skrzętna gospodyni, tak była ucieszona swoim znaczeniem, że na żadne wydatki dłoni nie ścisłała.

XI.

SAWA.

Bez najmniejszej przesady wyznać można, że nie tylko doświadczeniem, ale pożyciem nawet nie można objąć większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Bo szlachcic, choć najuboższy, był równy magnatowi; przy pomocy boskiej mógł sam zostać magnatem (jak tego bywały przykłady); a tej równości z magnatem nie tracił nawet, służąc u niego. Pan Radziszewski, chorąży starodubowski, służył u księcia wojewody wileńskiego, był u niego paziem, potem dworzaninem, potem dowódcą jego milicji i jeneralnym plenipotentem; a przecie urządował rzeczypospolitą, posłował na sejmach i został orderowym panem. A że był starożytnym szlachcicem, ożenił się z siostrzenicą księcia, panną Brzostowską, z tak wysokiego domu, i nikt się nie dziwił, że sam ksiączę wyprawiał wesele, bośmy wszyscy byli równi między sobą. Pan był szlachcicem bogatym, a szlachcic był panem ubogim; że zaś pan był zawsze wysokim sługą rzeczypospolitej, szlachcic u niego służąc, służył razem i ojczyźnie.

Już dziś panów nie ma w Polsce, ani na Litwie, ale za to namnożyło się podpanków, co nie służąc ojczyźnie, nie z tego co boli, często nawet ani z soli ani z roli, ale z jakichś tam podradów, z nabytków nie koniecznie uczciwych, z handelków, z lichwy i podobnych szachrajstw, porobili sobie majątki znaczne; a że i dziadów swoich okazać nie mogą, tylko albo pod cudze szlachectwa podszywają się, albo wymyślają takie, o których ani Paprocki, ani Okolski, ani nawet Niesiecki nie wiedzieli — więc krzyczą na możnowładców dawnych, do których pewnie żaden z nich za naszych czasów ani by dostąpił, i wynoszą pod niebiosy postęp teraźniejszego wieku. Nie wiem kto w narodzie korzysta z tego postępu. Mieszczan, co nam wyrzu-

cano, żeśmy ich nie mieli, i teraz nie widać, tylko po dawnemu handlują sami Żydzi, lub gdzieś tam jakiś Niemiec przybyły; a włościaninowi nierównie gorzej. Na Litwie już bojarów zmusili do robocizny, a na Ukrainie zamiast dawnych dni letnich, co ich tylko po dwanaście na rok chłop odrabiał, pędzą go na pańszczyznę od nowego roku aż do świętego Sylwestra dzień po dniu. Pletą o prawach człowieka to, co pochwyтали z zagranicznych ksiązek, a nie wiedzą, że co tam jest w piśmie, u nas było w doświadczeniu, i dokładniej: bo to nasi przodkowie lepiej umieli tworzyć, niż zagraniczni potrafią wymyśleć. Ale czyż tylko na równości zasadzały się zaszczyty i szczęście naszego szlachectwa? Szlachcic nie mógł być ani rządzoną, ani sądzoną, tylko przez tego; kogo sam wybierał; a sam z zgrody swojej mógł się przenieść i na ławicę poselską i na krzesło senatorskie, i na tron nawet. To też nasi przodkowie krwią swoją tego zaszczytu dokupili się dla potomków. Hetmani podawali do klejnotu szlacheckiego żołnierzy, co się w bitwach wstawiali, a sejmy za szlachtę ich przyznawały, i takich nazywano *ex charta belli*. Ztąd w ostatnich czasach, kiedy król Poniatowski otrzymał pozwolenie od narodu, dziesięć dyplomów sekretnych dać na szlachectwo takim, co szlachtą nie byli (jak to widzieć w konstytucji 1766 r.), a pozwolenia tego nadużył, zamiast dziesięciu może kilkuset uszlachcając, co sejmy były o to skargi i choć daremne ze strony posłów dopominania się, aby metryki koronne im okazywano. Bośmy składali stan rycerski i w samych dyplomatach dodawane były zawsze te wyrazy: *preciso scarta bellatum*. Była wprawdzie przez czas niejaki konstytucja ubezpieczająca szlachectwo każdemu Żydowi przyjmującemu wiarę katolicką: prawo pobożne, przeciw któremu nie godziło się sarkać, gdyż zgodne było z gorliwością narodu, chcącego wszelkimi środkami rozprzestrzeniać królestwo boże na ziemi. Ale takowe szlachectwa nie były u nas poważne, bo zdawało się nam, że stan rycerski w rycerskich tylko zasługach powinien szukać swojego początku. Szlachectwo *ex charta belli*, choć świeże, było na równi z najdawniejszym poważane. Nie podszywano się dawniej pod cudze szlachectwa, ale prawnie onego dostępowano. Hetman Żółkiewski podał do szlachectwa czterdziestu meźów włościan, co się odznaczyli pod Kluzynem, a sejm im wszystkim nadał przezwisko Żółkiewskich, tylko kazał pieczętować się nie Lubiczem Żółkiewskich, ale jakimś innym herbem, dla uniknienia familijnego zamieszania. Toż i Rewera Potocki, hetman wielki koronny, podał do klejnotu szlacheckiego wielu chłopów ukraińskich, co nie tylko że do buntu Chmielnickiego należeć nie chcieli, ale z nim razem krew za ojczyznę przelewali. Sejm potwierdził jego sprawiedliwe żądanie: ztąd na Rusi powstałi Jaroszyńscy, Sabatynowie, Ułaszyny, Santamany, i inni, którzy

bez niczyjego zgorszenia weszli w udzielnosc szlachecką, a z których ojczyzna miała potem pociechę. Dla tego bardzo nam było przykro, kiedy przybysz jaki przywłaszczywszy sobie szlachectwo, nieprawnie za jednego z naszych chciał uchodzić, bez innych zasług, tylko że miał pieniądze. Więc też na takiego zawsze się znachodził potomek zasłużonego przodka, nierad aby czy mieszczanin, czy popowicz, czy chłop zbiegły, mógł zostać jego sędzią, prawodawcą, a może i królem. Ten mu zadawał imparitatem, i gdy tego dowiódł, samowzaniec cały majątek utracił, który najczęściej jure caduco dostawał się temu, co go przekonał o nieprawie posiadanie zaszczytu należnego i tem uwolnił obywatelstwo swojego województwa od wielkiego zgorszenia; bo gdyby dowieść nie potrafił, sam byłby karany pena talionis. Młodzieży teraz o tem gadaj, to słucha jakby o żelaznym wilku; albo ona rozumie, czem było nasze szlachectwo? Wie ona z historii, że Jan Zamojski podpisał się: Nobilis Polonus omnibus par; a może o tem nie wie, że na Litwie jest kilkadziesiąt domów, co książęcego tytułu nosić nie chcą, chociaż mają do niego niezaprzeczone prawo. Nie tylko Oginscy, ale Pużynowie, Świrscy, Mickiewicz, Wańkowiczowie, Mirscy, mają mitry w herbach i są prawdziwymi książętami, do czego nigdy przyznawać się nie chcieli, przez miłość równości szlacheckiej. A potem cóż księstwo prawdziwemu szlachcicowi mogło dodać? Jeszcze to nie najdawniej, kiedy książę de Ligne, panujący w Niemczech, ożenił był swojego syna z naszą księżniczką Massalską, starał się o indigenat dla siebie na sejmie 1786 roku, i ledwo otrzymał ten zaszczyt z takimi trudnościami, że powiedział publicznie: — Łatwiej w Niemczech o udzielnosc, niż w Polsce o szlachectwo. — I dziwi się młodzież, iż ci sami, co długo trutynowali czy tak wielkiego męża, hetmana cesarza rzymskiego i księcia udzielnego, przyjąć za szlachcica lub nie, obruszali się na jakiegoś rzeźnika albo bandarzystę, co sam siebie nobilitując, deptał najkardynalniejsze prawo narodu! Zresztą doświadczenie przekonuya, że z ludzi podejrzanego szlachectwa nie wielka pociecha. Czytałem w podróży do Ukrainy zachodniej przez pana Sakowicza wydanej, że w okolicach Machnówki obywatele tak są bezczelni, iż jeden drugiemu psy i konie kradnie. Taka rzecz, dawniej po szlachcie niesłuchana, mocno mnie była zastanowiła i temu wierzyć nie mogłem. Jakoż i teraz myślę, że trochę przesadził pan Sakowicz, ale już teraz miarkuje, żkad coś podobnego wyjść mogło. Dowiedziałem się, że JW. Potocki; wojewoda kijowski, z wymysłu pańskiego zostawszy handlarzem, do swojego miasteczka Machnówki przywabił był na buchalterję, do której szlachta nasza niezdatna, różnych prechrztów, a popowiczów, a mieszczuchów: tego do pióra, tego do kasy, tego do transportów. Ci ichmościowie nabierawszy

grosza, szlachtą się porobili i już między siebie porozdzielali część dziedzictwa wojewody; a że zabór kraju zaraz nastąpił, to im uszło i *via facti* utrzymali się przy szlacheństwie: teraz ich synowie urzędują i nosy do góry zadzierają. I cóż może być dobrego z takich? Nie lepiejże było za naszych czasów, kadukiem pozbyć się takiego śmiecia, niż jak dziś być niem obsypanymi? Chwała niech będzie Bogu, że jeszcze na Litwie szlachta się trzyma i od dziadów i naddziadów na dziedzicznej roli pracuje. To też takich paskudstw o nas nie piszą. Tłumacząc więc jaśniej, dla czegośmy nasze szlacheństwo tak wysoko cenili: nie była to pycha, ale natura naszych ustaw, naszej Rzeczypospolitej; a kto był jej zasłużonym, tem samem mieliśmy go nie tylko za szlachcica, ale za magnata, nawet choćby się był urodził chłopem. I tego dowód przytoczę: pan Sawa, co się urodził prostym kozakiem, nobilitacji nie miał, a był marszałkiem zakroczymskim i w czasie Konfederacji barskiej zasiadał między pany.

Służyłem pod ś. p. panem Sawą i przy mnie Panu Bogu ducha oddał; a chociaż nie chwając się, z dawnego rodu jestem szlachcicem (bo każdemu w metrykach koronnych wolno odczytać, jak sześciu Sopliców podpisało się na elekcji króla Stefana), byłem mu posłusznym. A nie tylko ja i mnie podobni, ale J.W. Potoccy, wojewodzice wołyńscy, byli pod nim regimentarzami, i chociaż magnaci całą gębą, drżeli przed nim. Razu jednego, gdy jeden z wojewodzców niedość prędko dopełnił jego rozkazu, przez co DREWICZOWI udało się ująć prawie z rąk naszych, pan Sawa zaczął lajać wojewodzica i zagroził mu, że jeśli kiedykolwiek dopuści się podobnej opieszałości, to każe mu w łeb wypalić. To było w obec kilku panów, zapewne spokrewnionych z wojewodzicem, a nikt nie powiedział: — A co ma kozak gnębić senatorskiego syna? — bo wszyscy mieli Sawę za równego sobie. Jakoż w istocie poświęceniem się swojem dla ojczyzny wyrównywał on tym zasługom, które magnaci po przodkach odziedziczyli i przez które jedynie są magnatami.

Sawa urodził się w starostwie czehryńskim, z kąd był i przekłęty zbrodzień Chmielnicki (takto z jednego drzewa może być i krzyż i motyka!); a że od dzieciństwa umiał śpiewać dumki i grać na bandurce, pan Woronicz, wówczas starosta czehryński, przywoził go małym do Warszawy, i gdy go odumarł, a Sawa podrosł, po dworach służył za kozaka; bandurkę rzucił, a nawykł do innych zabaw: i spisą i szablą tego robił, na polowaniach zając z pistoletu ubijał, naszego języka się wyuczył i nasz obrządek przyjął; bo chociaż i pierwęj był katolikiem, jeno obrządku ruskiego, mając szlachetne serce, jak najmniej chciał się różnić od szlachty. W czasie siedmioletniej wojny w pułku Szybilskiego (prostego jak on włościanina), Fryderykowi pruskiemu służąc, taką sobie zjednał sławę, że tam los

mógłby sobie być zapewnić. Ale ztęskniwszy za ojczyzną, do niej wrócił, a jako nieszlachcic nie mogąc się w komputowem wojsku umieścić, na nowo musiał po panach służyć. Kiedy się zaczęła Konfederacja barska, był wielki zjazd w Piotrkowie, na reasumcji trybunału. Mnóstwo było panów z licznemi pocztami; a że wielcy panowie prawie wszyscy mieli dobra na Rusi, do kilkuset kozaków zbrojnych przyprowadzili ze sobą. Sawa także się tam znajdował i wisiał przy dworze JW. Działyńskiego, marszałka trybunału, a będąc sam kozakiem, łatwo się z kozakami porozumiał i tak koło nich pochodził, że jak na cztery tuzy w tryszaku, mógł na nich rachować. Kiedy pan Kwilecki, starosta kościański, marszałek konfederacji, rozbił księcia Sołtykowa pod Rozrażewem, Sawa zebrawszy do półtrzecia sta kozaków na dobrych koniach, wśród dnia wyszedł z Piotrkowa, spotkał po drodze rejterującego się Sołtykowa, napadł na niego niespodziewanie, rozbił do reszty, zabrał mu armaty, samego wziął w niewolę, i złączywszy się z panem Kwileckim, z nim razem szedł do miasta. Ten wypadek rozszerzył konfederację po całej Wielkopolsce. Pan Kwilecki oddał Sawie dowództwo swojej przedniej straży i zaczęli maszerować ku Warszawie. Sawą upewniał, że stolica dostanie im się w ręce, że gwardja koronna z nimi się złączy, a mając mieszczan po sobie, stojących tam Moskali nie masz czego się obawiać. Gdyby posłuchano pana Sawę, inny kierunek rzeczy by wzięły. Doszedłszy do Bolimowa, pan Kwilecki odebrał wiadomość przez obywatela, co się do niego przedarł, że całe Kujawy i Płockie są gotowe do powstania, byle tylko jeden zbrojny konfederat im się pokazał. To go zdecydowało zaniechać Warszawę, której się prawie dotykał, a co prędzej dostać się na prawy brzeg Wisły.

— Nuż nam się nie uda opanować Warszawy — mówił Sawie. — Jeżeli porażeni zostaniem, co być może, bo ten tehórz Poniatowski co mógł musiał zebrać na swoją obronę, natenczas cała konfederacja na Wielkopolsce przepadnie, której ledwo trzecia część powstała. Lepiej nam się wzmocnić w Płockiem, otworzyć związki z Litwą, a dopiero potem napewno pójść do Warszawy.

Napróżno Sawa ofiarował mu ze swoją przednią strażą napaść na stolicę, byle mu tylko pan Kwilecki stał w odwodzie, aby w przypadku do niego mógł się cofać; napróżno cały szwadron pułku Mirowskich, prowadzony przez porucznika Franciszka Dzierżanowskiego, przeszedł na naszą stronę pod samym Bolimowem i świeżem doniesieniem potwierdzał wszystkie wnioski Sawy o duchu stolicy i gwardji — nic nie mogło przekonać pana Kwileckiego. Był on dobrym żołnierzem i w wojsku francuzkiem w młodości swojej służył; ale na niebezpieczeńście więcej wierzył w zagraniczne prawidła sztuki wojsko-

wej, niżeli w instynkta polskie, a do tego popierał go w zdaniu Gawar, inżynier francuzki przy nim będący, w którym szczególną miał ufność. Ten uzyskawszy dość wziętości, iż przycygnął się do zwycięstwa pod Rozrażewem, nie mógł pojąć, jak można w trzy tysięcy ludzi dobywać miasto wielkie bronione przez ośm tysięcy żołnierzy. Z boleścią serca tedy Sawa musiał prowadzić przednią straż ku Wyszogrodowi, gdzie szczęśliwie przez Wisłę się przeprawili.

Pod pewnym względem niezupełnie pomylił się pan Kwielecki: bo jak tylko gruchnęła wiadomość, że nasi opanowali Wyszogród, całe Kujawy i Płockie podniosły Konfederację. Oddzielił więc od siebie Sawę w trzysta koni, dał mu pod komendę pana Franciszka Dzierżanowskiego z częścią Mirowskich i kazał iść do Zakrocymia, aby rozszerrać powstanie po Mazowszu, a sam poszedł do Płocka, dla poparcia wzrastającej Konfederacji. Pan Dzierżanowski z początku chciał drzeć koty ze swoim dowódcą, jako szlachcic i oficer gwardji z kozakiem; ale pan Sawa tak mu się dał poznać, że lubo przy nadzwyczajnym mężwie był dość burzliwym, słuchał go jednak potem jak dziecię piastunki.

Mnóstwo młodzieży mazowieckiej do naszych się garnęło i zaciągało się pod znaki Sawy. Od nich dowiedział się, że w Zakrocymie stoi bataljon moskiewski i kilkaset Dońców. Moskale widząc że dąży ku miastu, wyszli naprzeciw niemu, tem pewniejsi zwycięstwa, że silny oddział karabinierów przybył im w pomoc z Warszawy. Rozwinąwszy się przed Zakrocymiem, ledwo naszych zoczyli, dali ognia z armat, a potem posunęli szpako naprzód swoją kawalerję. Pan Sawa zalecił panu Dzierżanowskiemu cofać się przed kawalerją moskiewską, a sam zakryty jego obrotem, rzucił się w lewo, by napaść na piechotę, skoro się jazda oddali. Doskonale się udało. Pan Dzierżanowski niby uciekając przed karabinierami i Dońcami, tak ich w pole wyprowadził, że pan Sawa miał czas pokazać się jak piorun pod samym Zakrocymiem. Jak go spostrzegła piechota moskiewska, uszykowała się w czworobok i sygnęła ognia; ale pan Sawa nie dał jej się poprawić: czworobok złamał, cztery armaty zabrał i cały bataljon w pień wyciął. Opamiętała się dopiero jazda nieprzyjacielska na słuch wystrzałów, że się oddaliła zanadto i wzięła się co prędzej do odwrotu. Chociaż pan Dzierżanowski już jej na karku siedział, w największym jednak porządku szła, myśląc że do swojej piechoty się cofa. Wtem pan Sawa jak ją przywitał kartaczami z armat przez siebie zdobytych, wszystko się rozsypało: ten do lasa, ten do Sasa, a pan Dzierżanowski nabrał tego ile sam chciał.

Po tak świetnem zwycięstwie wszedł pan Sawa do Zakrocymia, gdzie mnóstwo było obywateli uwięzionych po klasztorach, którym natychmiast wrota otworzono. Liczne magazyny

wpadły w jego ręce, a czego pan Sawa dla wojska nie użył, to rozdał między mieszkańców. I nie tracąc czasu, zgromadził szlachtę będącą w mieście, aby co prędzej sporządziła akt powstania. Tak się podniosła Konfederacja w Zakroczymiu, której marszałkiem Sawa jednomyślnie ogłoszonym został, a regimentarzami obrani byli: pan Potocki, wojewódzic wołyński, i pan Lelewel, burgrabia zakroczymski.

— Bójcie się Boga, panowie! — mówił Sawa. — Ja prosty kozak, jakże wam szlachcie mam marszałkować?

— Innego marszałka nie chcemy! — krzyknęła szlachta. — Pan Bóg i twoje zasługi namaściły cię polskim szlachcicem, nim sejm za takiego przyzna.

Przytem nie byłem, ale tak o tem wiem, jakbym na to partrzał; bo wiem to i od samego pana marszałka Sawy i od pana Dzierżanowskiego, i od p. Lelewela, i od wielu innych, z którymi później służyłem, a każdego relacja na jedno godzila. Dość że ta sama szlachta, co nie tylko urzędnika, ale wioski dzierżyć by nie pozwoliła nieszlachcicowi, marszałkiem swoim ogłosiła kozaka: bo nasza дума szlachecka nie była ad destruendam, sed ad aedificandam patriam. A sam widziałem jak inni marszałkowie, nawet i sam JW. Pac, co był nad nimi wszystkimi, obcowali z p. Sawą jak z równym i tyle go szanowali, że gdyby był wyniesiony nie tylko na marszałka, ale i na kasztelana krakowskiego, nikt by z pocziwych przeciw temu słowa nie powiedział: taki z niego był i wielki wojownik i godny obywatel. I ciągle się odtąd wślawiał marszałek zakroczymski; gdzie było największe niebezpieczeństwo, można było iść o zakład, że i on tam jest. A że ludzie obok niego i za nim padali, że kule ustawicznie robiły mu dziury w odzieniu, tak że zawsze łatany chodził, a sam nigdy ranny nie był; Rusini jako zabobni, między jego kozakami urosło przekonanie, że on był charakternikiem, jak mówią na Ukrainie, to jest, że umiał kule zamawiać, aby go żadna trafić nie mogła. Od nich i do nas ta pogłoska się rozeszła; przyznaję, że i sam temu wierzyłem, a to mniemanie bardzo go obrażało: raz, że był dobrym katolikiem, powtóre, że jako rycerz miał sobie za krzywdę, gdy o nim myślano, jakoby dla tego na niebezpieczeństwa śmiało się narażał, że wiedział, iż mu się nic nie stanie; i nieraz byłem świadkiem, jak przeklinał swoje szczęście, co mu rany dostać nie pozwalało. Ale na biedę ojczyźnie i nam wszystkim, przekonałem się, że on nie był charakternikiem. Bo kiedy pan Sawa później chciał jeszcze spróbować, czy mu się nie uda wziąć Warszawy, zebrał z różnych komend do tysiąca koni (i ja mu się wtedy dostałem); szliśmy lasami powiatu radomskiego, gdzie często po drodze udawało nam się gromić oddziały moskiewskie. Pod Jankowicami nawet DREWICZA zbilismy, i możebyśmy go samego żywcem schwyтали, gdyby pan regimentarz

Potocki nie był się o jedną godzinę spóźnił: wszelako wzięliśmy przeszło pięćdziesiąt drewiczowskich huzarów, których wszystkich pan marszałek kazał zakłuć: pastwiono się nad nimi. Pan Sawa był ludzki i z niewolnikami moskiewskimi zawsze łagodnie się obchodził; ale że Drewicz wielkie okrucieństwa popełniał, żonom konfederatów piersi odrzynał, niewolnikom naszym skóry z ramion zdierał, a robiąc niby wyloty wiszące, mówił, że im kontusze sprawuje, i podobne okrucieństwa wymyślał — więc pan Sawa dla żołnierzy pułku Drewicza równem okrucieństwem odplącał. Poszliśmy dalej, zawsze dążąc do Warszawy, a Suwarow, natenczas brygadjer moskiewski, na czele czterech tysięcy ludzi oddzielił się, by nas ścigać, i zastąpił nam drogę pod Mszczonowem. Sawa choć nierówny w siłę, odważył się pójść wstępny bojem. Mszczonów był w ręku Moskali: wielki staw przedzielał ich od nas, a grobla długa prowadziła do miasteczka. Już część jazdy moskiewskiej przeszła była groblę i piechota zaczynała przez nią przechodzić i od naszej strony szycować się. Pan marszałek myślał napaść na jazdę, nim piechota przejdzie, aby skrzydłem atakując, od grobli ją oderznął. Uszykował tedy do boju swoje wojsko i pana wojewodzica wołyńskiego zostawiwszy w odwodzie z półtorasta koniami, na Moskali uderzył. Dobrze się udało było, bo gdy uderzył, zaczęli pierzchać w nieporządku, i już byłby ich odciął, ale nad samą groblą na wzgórkę stały armaty moskiewskie, które jak dały ognia, od pierwszego wystrzału pan marszałek dostał kartaczem w udo i spadł z konia. Kozacy, co byli do niego jak do ojca przywiązani, a mieli go za charakternika, widząc go rannym, bardzo się przełękli, jednak rzucili się ku niemu na ratunek. Skoro go podźwignięto, z największą przytomnością oddał dowództwo regimentarzowi zakroczymskiemu Lelewelowi, zalecając mu, by ścigał pierzchającą jazdę moskiewską, a sam się kazał zanieść na rękach do karczmy, przy której stał wojewodzie wołyński z odwodem, gdzie i ja się znajdowałem.

Zaczęliśmy obwiązywać jak mogli udo pana marszałka: poznać było po twarzy, że mocno cierpiał, jednak najmniejszego jęku nie wydał, tylko patrzył na komendę swoją, którą panu Lelewelowi poruczył. Ale ten jej rady dać nie mógł; bo jak spostrzegli ludzie, że już nie Sawa ich prowadzi, tak zaczęli pierzchać, że uciekający Moskale opatrzyszy się, wrócili do sztyku i pędzili naszych, a tu coraz więcej jazdy moskiewskiej przechodziło przez groblę. Pan Sawa widząc, że dobrowolnie nasi się gubią, choć udreżony boleściami, chciał by go na konia posadzono; ale nie mógł siedzieć. Kazał więc wynieść kołyskę z karczmy, przywiązać ją do dwóch najlepszych swoich koni, na których posadził doświadczonych kozaków, a samego siebie w nią włożyć, okręcić pasami i konce ich do terlic kozackich przymocować. Tak niewygodnie i niebezpiecznie wisząc

na powietrzu między kozakami, wziął w rękę proporzec i prowadził nas do ataku. Opamiętał uciekających naszych żołnierzy, zawrócił ich z sobą i pomimo najokropniejszych boleści dając niesłychany przykład męstwa, złamał szyk Moskali i zmusił ich do ucieczki. Ale wszystko było za późno: już piechota moskiewska i armaty przeprawiły się przez groble. Jak zaczęli ognia do nas dawać, sam pan Sawa pomiarkował, że nie ma nic do czynienia, tylko albo uciekać, albo doczekać się, że do jednego wszystkich nas wystrzelają. Lubo boleści jego coraz więcej się wzinały, że ledwo od rozumu nie odchodził, z największą przytomnością prowadził nasz odwrót przez Mszczonowską Wołę. Przedzieliwszy się wsią od ścigającej nas jazdy moskiewskiej, która dwa razy rozsypana, trzeci raz na karku nam siedziała, z dwóch stron razem kazał wioskę zapalić. Ponieważ wiatr był silny, wkrótce cała stanęła w płomieniach, i to wstrzymało czas jakiś Moskali. Sawa rozdzielił swoje wojsko na dwie połowy. Dowództwo jednej oddał wojewodzie wołyńskiemu, a drugą poruczył p. Lelewelowi, nakazując im najusilniej, aby każdy inną drogą cofał się ku krakowskiemu województwu, i nigdy nie łączyli się z sobą; sam zaś z dwoma kozakami i ze mną, który go nie chciałem odstąpić, zostając na miejscu, pożegnał swoich i pocieszył przyrzeczeniem, że jak tylko ranę wyleczy, znajdzie ich gdziekolwiek byli. Wszystkie konie zostawiliśmy przy komendzie, a pana marszałka piechotą na rękach naszych zaniesiliśmy w głąb lasu i całą noc przepędziliśmy w krzewinach pod gołym niebem, ratując go jak było można. Coraz bardziej jednak upadał na siłach i czasem nawet omdlewał. Nazajutrz rano, zawsze z drogim naszym ciężarem, puściliśmy się dalej w las na wołę bożą. Błąkając się po lesie, trafiliśmy na chałupę, jak się potem okazało, podleśniczego mszczonowskiej puszczy, i oddawszy się Bogu, na osłep do chałupy weszliśmy: bo trzeba było koniecznie w spokojnem miejscu złożyć pana Sawę, inaczej byłby nam skonał w rękę. Podleśniczy okazał się poczciwym szlachcicem i wiernym ojczyźnie; bo choć ubogi i obarczony dziećmi, ostatkiem się z nami dzielił. Mnie i kozaków poprzebierał za gajowych, a własną pościel w zamkniętej komórce oddał panu marszałkowi, którego podleśniczyną pielęgnowała. Potem sam w nocy wózkiem udał się do Mszczonowa, zkąd przywiózł żyda cyrulika. Ten opatrzył ranę pana Sawy: udo tak mu było spuchłe, że wszystko musieliśmy pruć na nim. Boleści odnowiły się okropnie przy pierwszym opatrywaniu: już nie mógł wytrzymać, jęknął kilka razy, a potem zemdlął, żeśmy go ledwo odtarli. Przyszedszy do siebie, powiedział nam: — A co? prawda, że nie charakternik — i pokazując swój szkaplerz, dodał: — Cały mój inkluz; innego nigdy nie miałem.

Umówił się cyrulik, żeby co nocy po niego przyjeżdżano;

a szanowna nasza gospodyni, pani Kleczkowska, której jak i jej mężowi powierzyliśmy, co za wielkiego człowieka mają w swoim domu, miała o nim staranie jak o rodzonym ojcu. Dobrze nam szło przez tydzień: pan marszałek zaczynał przechodzić do siebie i na jednej nodze skacząc, przenosił się już z łóżka do kufra pani Kleczkowskiej, na którym siadywał, ał nie nadto zleniwieć. Cyrulik robił nam nadzieję, że za parę tygodni najdalej na koniu będzie mógł siedzieć. Ale w Mszczonowie stała komenda moskiewska: bo pan wojewodzie wołyński przed Suwarowem nie umknął i w kilka dni po rozstaniu się z naszym rozbitym, dostał się do niewoli z mnóstwem ludzi, gdy z trzechset przeszło żołnierza, co ich miał jeszcze, ledwo pięćdziesiąt uszło, a resztę Moskale zabrali lub pobili. Otóż Suwarow dowiedziawszy się od jeńców, że Sawa ranny w mszczonowski potyczce, niewiadomo gdzie się podział, wnioskował sobie, że koniecznie musi się ukrywać gdzieś niedaleko. A że jemu bardzo szło o to, aby go dostać, raz, że to był jeden z najdzielniejszych wodzów Konfederacji, powtórę, że chciał na nim pomścić się wielu drewiczowskich huzarów, którym pan marszałek płacił za ich okrucieństwa, kazał ręce i nosy poodrzynać — oddzielił więc od siebie pułkownika ze znacznym oddziałem, kazał mu stanąć w Mszczonowie i koniecznie pojmać Sawę.

Gdzie djabełska robota, tam sam djabeł pomaga. A że wojsko moskiewskie na dwie części się dzieli: połowa oficerów i żołnierze, a połowa szpiegi, i tych ostatnich więkza wziętość i prędzsze postąpienie niż pierwszych (szpiegowskie rzemiosło przyszło u nich do wysokiego stopnia doskonałości!), dośledzi przeto prędko, że cyrulik mszczonowski tajemnie co nocy gdzie wyjeżdża. Łapią go i dopóty biją, aż się przyznaje, że w lesie opatruje jakiegoś rannego. Biorą żyda, sadzą go na koń, a był ich przewodnikiem, i w czterdzieści koni za nim ruszają do leśnej chałupy. Otoczyli ją nagle, a kilku z nich wpadło do izby. Gospodyni im grzeczności robi, zapytuje czy nie każą sobie czem poczęstować; ale oni nic nie mówiąc, prędko przetrząsają wszystkie kąty, a postrzegłszy komorę zamkniętą, wysadzają drzwi i zastają pana Sawę siedzącego już z pistoletem w rękę. — Pierwszemu z was, co do mnie przystąpi, w łeb strzelę! — zawołał Sawa. Oficer moskiewski cofnął się, lecz następni kazali chałupę zapalić. Ja i dwaj kozacy wynieśliśmy z izby pana marszałka. Jak go ów oficer obaczył za domem szyderskim tonem odezwał się do niego: — A szto mospan typer kapitulujesz? — Oto moja kapitulacja! — odpowiedział marszałek i pierś mu przeszył kulą. Tedy drugi oficer krzyknął: Zakoli jęwo! — My choć bezbronni, ciałem naszym zaczęliśmy go zasłaniać; ale jak jeden Moskal urządził mnie szablą po łbie, krew mnie oblała i straciłem przytomność, a kilku na mnie padło z postronkami, i zaraz związany, ani ruszyć się

nie mogłem. Pana marszałka bezbronnego i leżącego zaczęto kaleczyć niemilosierdzie. Jeden oficer, jak się pokazało, Polak w służbie moskiewskiej, bił go po głowie, drzewcem od spisy; nasi dwaj kozacy to widząc, gołemi rękami odepchnęli nikkczemnika; ale on ich obydwóch zakłuć kazał, i obadwaj skonali tuż przy mnie, mając oczy na pana marszałka obrócone. Oficer od Dońców zgorszył się postępkim Polaka i sam zaczął zastaniać naszego wodza, mówiąc: — Leżaszczawo nie bit' — przytem reflektował go, że jak żywcem przyprowdzi Sawę do generała, to prędzej dostanie krzyż, niż gdyby trupa przywiózł.

Na jednym wozie obu nas przywieziono do Mszczonowa: mnie skrupowanego, żem się ruszyć nie mógł ze łbem obwiązanym, a pana Sawę kilkakrotnie pokłutego, z głową opuchłą, z bandażem od rany oderwanym, że do człowieka nie był podobny. Każde ruszenie ciasnego wozu, który czwaleł konie ciągnęły, było dla mnie istną torturą, a cóż dopiero pan marszałek musiał cierpieć! Jednak nie skarżył się, tylko całą drogę odmawiał psalmy pokutne tak przejmującym głosem, że chociaż temu lat piędziesiąt i więcej, ile razy mówię lub słyszę: *Miserere mei Deus secundum magnam misericordiam tuam*, zaraz mi staje przed oczyma nieboszczyk marszałek zakroczymski, łzami się zalewam. I teraz to pisać, płacę.

Przywieźli nas do Mszczonowa, gdzie już miał komendę generał Potapow, Moskal rodowity, człowiek godny i pełen charakteru. Obszedł on się z nami bardzo po ludzku: do pana Sawy mówił z uszanowaniem i część kwatery swojej mu odstąpił, którą z nim podzielałem wedle woli jego. Potem z błotem zmieszał oficera za barbarzyńskie z nami, a szczególnie z marszałkiem postępowanie; swojemu felcerowi kazał rany nasze opatrywać i zapytał pana Sawę, czego żąda, oświadczając, że starać się będzie wszelkie jego rozkazy wypełnić. — Nie długo panu generałowi naprzykrzę się — odpowiedział Sawa — bo czuję, że wszystko się kończy; ale prosiłbym o księdza. — Jakoż natychmiast sprowadzono proboszcza, który go wyspowiadał, dał mu ciało pańskie i odmówił modlitwy, które za nim pan Sawa powtarzał bardzo przytomnie i tak wyraźnie, że nie mogłem do głowy sobie przypuścić, aby był blizkim śmierci. Potem zasnął cokolwiek, ale wkrótce się ocknął i powiedział mi: — Oto mam szkaplerz, w którym są zaszyte relikwie ś. Wojciecha: jak skonam, zdejmiesz go, i zaklinam waćpana, byś go oddał p. Kaźmierzowi Puławskiemu, staroście wareckiemu. Jeśli ci się uda kiedy z nim się zobaczyć, powiedz mu, żem do śmierci był jego przyjacielem; a on niech ten szkaplerz nośi jako ostatnią odemnie pamiątkę. I waćpan, panie Soplico, nie zapomnij o mojej duszy. — To powiedziawszy, zażądał wody, wziął do ust, ale już przełknąć nie mógł; coś zaczął mówić niewyraźnie, można tylko było dośłyszeć: Jezus, Marja, Józef — i zaczął

konać. Nie pamiętam co się ze mną działo, ale jednak wypełniłem jego rozkazy: szkaplerz zdjąłem i nosiłem na sercu póki nie zobaczyłem się z w. starostą, co nie prędko nastąpiło; a odkąd mam kawał własnej ziemi, co rok egzekwie mu sprawuję. Nie długo po śmierci marszałka wyprawili mnie Moskale do Kazania z J.W. wojewodziecem wołyńskim i z innymi jeńcami; a Bóg świadek, że mniej czułem stratę wolności, niż że ojczyzna nie będzie się już cieszyć tak dzielnym i poczciwym synem, jakim był pan Sawa.

XII.

PAN CZAPSKI.

Nigdy dobry uczynek nie będzie stracony, nawet i na tym świecie. Rozumie się uczynek, do którego się łączy jakaś ofiara, jakie poświęcenie; bo cóż wielkiego rzucić, choćby pełną garść złota, jeśli to nie ujmuje nam najmniejszej wygody? Zbawiciel nasz widząc rozdających jałmużny i znaczne, rzekł, że biedna wdowa, co dała szeląg, większą ma zasługę, bo dała więcej niż każdy inny; był taki co i garść złota mógł dać bez uszczerbku swoich wygod, a ta wdowa może bez omasty musiała pożyć swoją wieczność, szeląg uboższemu oddawszy.

Dobrze sobie nadal tuszę o moim narodzie i ufam, że kiedyś Pan Bóg nad nim się zmiłuje, bo jest w nim wielki duch poświęcenia. Pomijam, że nigdzie magnaci nie byli tyle datni co nasi, i że mieli sobie za największe szczęście, kiedy kto z nich powstawał; ale i między nami szlachtą nawet zawziętości mało, a chęć przysłużenia się drugim wielka. To zwykle u nas zakończenie listów wyznaniem służebnictwa nie jest tylko formą, ale istotną prawdą. Polacy wzajemnie sobie służą co dosłownie. Ten za cudzym interesem kłopotą się po jurydykcyjach; tamten stara się pożyczyć gdzie pieniądze dla sąsiada; ów krewnemu swojemu urządza gospodarstwo; inny, że kilka razy za stołem siedział z drugim, na pierwszą prośbę jedzie o mil kilkadziesiąt syna mu swatać; a wszystko bez innej korzyści dla siebie, tylko żeby się wywiązał z obowiązku obywatelskiego. Są zapewne wady narodowe; ale że ten duch ofiary i poświęcenia siebie, który okazuje cała nasza historia, tak uznana za pewną, jak i ta, co ją, nie wiem dla czego, bajeczną nazywają; że ten duch, mówię, trwa w narodzie, i tylko w naszym narodzie, jest to rzecz niewątpliwa, chociaż może nasi uczeni nie dość nad tem się zastanowili.

Uczynność polska nie zamyka się w ciasnym obrębie; sięga ona nawet i po za granicę swojego kraju. W tym właśnie roku, w którym się urodziłem, Moskwa wspierała Augusta III. przeciwko Leszczyńskiemu; z tego powodu po całej Wielkopolsce stały ich komendy. J.W. Czapski, wojewoda malborski, pan znaczne dobra posiadający, a przychylny Augustowi, miał u siebie oddział artylerji. Chorąży, co nad tym oddziałem miał starszeństwo, będąc kawalerem w swoim narodzie zacnie urodzonym i dobrego wychowania, zaprzyjaźnił się był z synem jedynakiem wojewody, którego znałem w Konfederacji barskiej, starostą grodowym chełmińskim, i z którym potem w Kazaniu niewiele podzielałem. Że między młodzieżą związki są łatwe, wkrótce do wielkiej z sobą przysli zażyłości. Czasu jednego zauważał wojewodzie, że chorąży wesołość swoją utracił i okazywał jakoby głębokie smartwienie. Zaczął go więc wybadywać i nalegać, aby mu powierzył powód widocznego swego udręczenia. Wzbraniał się chorąży i zapierał się, ale nakoniec usilnemi prośbami przyjaciela zagnalony, zwierza mu się: że jego podkomendny zemknął, ukradłszy pieniądze rządowe, które się u niego znajdowały. Nie mając czem tej straty zastąpić, ani nie mogąc tak rychło pieniędzy od rodziców sprowadzić, nie widzi sposobu zasłonić się od kary, która go niechybnie czeka; bo za cztery dni generał przyjedzie, a jak pieniędzy pułkowych nie znajdzie, odda go pod sąd; ten pewno zdegradowe go, co matkę jego wpędzi do grobu. Nie mając przeto sił znieść tyle nieszczęść, postanowił w łeb sobie wypalić w dniu, w którym do niego generał przybędzie. Wojewodzie zapytał go, jak wielka może być kwota ukradzionych pieniędzy?

— Dwa tysiące czerwonych złotych — odpowiedział chorąży. —

Wojewodzie go zaklął, aby dopóki z nim się nie zobaczy, niczego nie przedsiębrał, i na to słowo officerskie od niego otrzymał; sam zaś poszedł do ojca, jak długi padł mu do nóg i zmyślając że się ograł w karty, że na słowo przegranych dwa tysiące czerwonych złotych musi oddać natychmiast pod utratą honoru; powiadał, że nie wstanie, póki go ojciec nie wyratuje. Ojciec, co był senator wielce roztropny, a miłował syna, wystrofował go i dał mu te pieniądze, ale nie pierwej, aż syn mu przysiągł uroczystie na ewangielję, że przez całe życie swoje karty w rękę nie weźmie. Przysięgi tej najwierniej potem dochował; a owego momentu pobiegłszy zaraz do przyjaciela, rzekł mu:

— Życia sobie nie odbieraj, żyj dla matki i przyjaciół: oto masz pieniądze.

Wzbraniał się oficer, nakoniec rozczulony przyjął ofiarę. Wkrótce Moskale wrócili do kraju swojego. Aż po upływnym roku na ręce wojewody przychodzi list do jego syna z pieniędzmi: dopiero przekonał się szczęśliwy ojciec, jak cnotliwego miał

syna, a razem, że on przyjaźń zawarł nie z płochym człowiekiem, ale z kawalerem ze wszech miar godnym. Bo trzeba wiedzieć, że rodowici Moskale, zwłaszcza potomkowie dawnych bojarów, są ludzie częstokroć uczciwi i moralni; tylko naród ich jest zhańbiony natłokiem rozmaitych przybyszów, którzy go obsiedli, w nim do znaczenia przyszli i zupełnie go opanowali: a że to są ludzie podli, dopuszczają się rozmaitych szkodliwstw; więc te spadają na naród tyle istotnie winny, że ich cierpliwie znosi, co zresztą jest poena peccati. Moskale są narzędziem uciskania innych narodów: z cudzą krzywdą rozszerzyli swoje granice, za to też są zawojowani u siebie przez garstkę cudzoziemców, którzy ich samych uciskają i nimi gardzą.

Po wielu latach, kiedyś ranny i więziony, zostawszy świadkiem jak zamordowano bezbronno p. Sawę, powieszonym był do Kazania z panem Moszczyńskim, kasztelanem inowrocławskim, z panem Pawszą, stolnikowiczem owruckim, i z innymi pocziwymi. W Kazaniu tyłu naszych znaleźliśmy, że gdyby kto spadł z księżycy, mógłby myśleć, że do polskiego miasta się dostał, pókiby się nie opatrzył, że w niem tylko same cerkwie, a kościoła żadnego. Tamecznym gubernatorem był natenczas generał Wojekow, w którym mieliśmy ojca, a nie zwierzchnika. Do mizernego lenungu, co nam rząd płacił, dodawał on z własnej kieszeni niemałe wsparcie i ile można było, osładzał nam nędzę; a to wszystko z powodu pana starosty chełmińskiego, któregośmy tam zastali. Kiedy bowiem przytransportowano go do Kazania, otrzymał rozkaz stawić się nazajutrz przed Wojekowym, gubernatorem: przychodzi, wprowadzają go na pokoje, gdzie zastaje jego z żoną, dwóch kawalarów i trzy damy, jak się dowiedział później, że to było potomstwo gubernatora; a ten do niego:

— Czy poznajesz mnie waćpan, panie Czapski?

On mu na to: — Bóg świadek, że nie przypominam sobie, gdziebym miał szczęście być znanym panu.

A gubernator: — Ja to jestem ten sam, któremu waćpan ocalił życie i honor. Żono i dzieci moje, padnijcie do nóg temu więźniowi! — I sam mu padł do nóg.

Dopiero poznał JW. Czapski owego chorążego, którego był wyratował swoją uczynnością. Rzucili się nawzajem w objęcia i poplakali się z czułości. Zaraz Wojekow umieścił go w swym domu z kilku kolegami, i tyle jemu i wszystkim nam wywiał się, że aż pan starosta miał sobie za powinność dać mu przestrożę, aby zbyt dużą dobrocią nie ściągnął na się podejrzania rządu. A tamten na to mu powiedział:

— Moja carowa jest wielka monarchini; patrzy ona na potęgę swoją, na rozszerzanie swej władzy, ale za nadto ma wysoką mądrość, aby plotki przed nią wiernemu słudze mogły uszkodzić; a gdyby inaczej było, wolę stracić łaskę u carowej,

za to żem poczciwy człowiek, niżeli stracić łaskę u Boga jako niewdzięcznik. —

I dla tego było nam wszystkim tak dobrze, że gdyby nasza ojczyzna nie była tak słodką, iż do niej nigdy Polak wdychać nie przestanie, byłibyśmy o każdej innej zapomnieli. Moskale umieją zobowiązywać, kiedy chcą i dla tego cudzoziemcy do niej się garną, którzy przynajmniej tyle krzywdy narodowi, ile pociechy rządowi przynoszą. Opływalimy we wszystko, bo prócz jenerała gubernatora znaleźliśmy wiele ludzkości i u innych rodowitych Moskali w Kazaniu zamieszkałych, którzy nam świadczyli nawet nie mało. Było tego dobrego przez kilka miesięcy, ale jak Puhaczew podniósł rokosz, zmieniło się nasze położenie. Wmawiał on wszystkim, że on jest tym carem Piotrem, którego przed laty zamordowano, i szedł z siłą ku Kazaniowi. Duchowieństwo jemu pomagało, bo było rozjątrzone na rząd, który popom zabrał ogromne nieruchome majątki, a natomiast mizerny żold naznaczył. Wojejkow bronił się z garstką żołnierzy, ale Kazania utrzymać nie mógł i ustąpił, dopełniwszy cudów waleczności, na któreśmy patrzali. Po zajęciu Kazania, Puhaczew dowiedziawszy się, że w nim znajduje się kilkuset konfederatów barskich, większą ich część kazał swobodnie puścić: tym sposobem wielu korzystając z zamieszek, co były po całej Moskwie, szczęśliwie przedarło się do ojczyzny. I tak wrócili obydwaj bracia Ciemniewscy, pan Szumlański, wojski halicki, pan Moszczyński, kasztelaniec, pan Sówczyński, com go później widział podkomorzym czerskim, pan Charliński, miecznik kijowski, pan Staniewicz, sam JW. Czapski i wielu innych; a drugich, między którymi się znajdowałem, jakoż i pan Potocki, wojewódzic wołyński, pan Chomętowski, podczaszy lubelski, pan Staniewicz, chorąży pancerny, pan Gruzewski, wojszczyzyc rosienski, pan Jelowicki, chorąży czernyhowski, i innych wielu kazał umieścić w wojsku swoim. Sam nasz przegląd robił Puhaczew, i kto z nas był rośły, tego brał do służby; a kto mały, tego wypuszczał na wolę, mając go za niezdatnego. Jednak nie wiem, z jakiej chimery wziął do swojego boku pana Zabłockiego, co był później konsulem rzeczypospolitej w Kremeńczuku, a miał postać tak szczupłą, że z tyłu na niego patrząc, można go było wziąć za trzynastoletniego chłopięcia. Pan Zabłocki do wielkiej u niego przyszedł wziętości. Puhaczew, że był kozakiem prostym, nieokrzesanym, bo ani czytać, ani pisać nie umiał, to kiedy się zapije, wszystko bywało każe różną i palić: a że pan Zabłocki był przy nim, jak u nich nazywają, jenerałem deżurnym, czasem rozkazu nie dopuścił spełnić; a jak się tamten wytrzeźwił i pamiętając wszelako, że dał jakiś rozkaz, którego nie spełniono, począł wrzeszczeć, to mu w żywe oczy dowodził, że żadnego rozkazu nie odbierał. Puhaczew kiedy niekiedy i poprzestał na jego zaparcie się, bo go bardzo

lubił; a względy te niczemu więcej tylko swojej przytomność był on winien.

Razu jednego w początkach jego służby, gdy Puhaczew, który wstydził się, że pisać nie umie, i chciał także za piśmiennego uchodzić, zawołał pana Zabłockiego, swojego już adjutanta, który pisywał rozkazy, jakie tamten wymyślał — i wzięwszy krede, zaczął na giwerę mazać niewiedzieć co, a potem zawoławszy swojego djaka, powiedział mu, pokazując giwerę:

— Ja ciebie do mojej służby przyjąłem na hramotnego; jeśliś nim jest, przeczytaj głośno, com napisał.

Djak mu odpowiedział, że tego nie potrafi przeczytać.

— A to taki hramotny, że mojego pisma nie umiesz czytać, i mój chleb darmo jesz? Zaraz mi czytaj!

— A kiedy car ze mnie żartuje, bo to nie jest pismo.

A Puhaczew: — Co! ty mnie kłamstwo zadajesz? Ja car pisaćbym nie umiał! — I natychmiast rozkazał, aby go na śmierć zaknutowano. Potem obrócił się do pana Zabłockiego i powiedział mu:

— Ty jesteś moim adjutantem i o tobie mówią, żeś hramotny; zaraz mnie przeczytaj, com tu napisał.

Położenie pana Zabłockiego nie było do zazdrości, a patrzcie jak się zgrabnie wywinął:

— Najjaśniejszy carze! kiedy Bóg ojciec co napisze, to chyba Bóg syn lub Duch święty przeczyta; bo równego chyba równy zrozumie. Żeby waszą cesarską mość pojąć, drugiego tak wielkiego cara sprowadzić by trzeba; ten chyba będzie tak mądrym, iż ich pojmie, a my nędzny proch i poddani swoje tylko pisma i nam podobnych czytać umiemy.

To się tak podobało Puhaczewowi, że go zaraz zrobił jenerałem deżurnym, i sam mu zaczął czytać to swoje niby pismo, w którym miało być: że Polska będzie potężną i Niemców w poddaństwo weźmie, i że on z nią wieczny sojusz zawiera i tak każe. Byliśmy często świadkami podobnych jego dziwactw, co dzień było co nowego i przewidywaliśmy, że wszystko na nic potem się skończy. Chociaż bowiem byli panowie niezyczliwi carowej, jak który z nich zbliżył się do Puhaczewa, widząc że to bałwan i więcej nic, zaraz odstrychał się od niego. My byliśmy wierni, bo on był nieprzyjacielem tej, co nas gnębiła, a na koniec wolność nam wrócił, więc dobre za nadobne. Ale zresztą tylko motłoch do niego się wiązał i hultajstwo, a z tem daleko zajść nie można, nie mając kogo do prowadzenia takich nieswornych i dzikich tłumów. Chociaż wojewodzie Potocki i pan Zabłocki, oraz pan Staniewicz i inni nasi mieli zdatność i poświęcenie, żaden z nich pułkami nie dowodził; były one pod komendą kozaków i djaków, a my Polacy składaliśmy orszak przyboczny cara. Naostatek on niczyjej rady nie słuchał i co godzina inny wiatr zawiewał w jego mózgowicę. Radził mu

pan Pótocky, a szczególnie pan Grużewski, aby prosto szedł na miasto Moskwę i tam kaszy narobił, mając popów po sobie; ale on bez potrzeby rzucił się w góry uralskie, gdzie go rozbito i żywcem wzięto razem z nami wszystkimi. W bitwie tej okazał się ostatnim tohórzem, jeżeli to bitwą godzi się nazywać; bo za pokazaniem się wojska carowej, cały ten motłoch i sam Puha-czew zaczął co prędzej uciekać. Puhaczewa na pal wbito, a nas do Smoleńska zapędzono i tam nas badano: czy my już w Polsce z góry wiedzieli, że ma być powstanie Puhaczewa; czyli on tylko z gctową rzeczą do nas trafił w Kazaniu? Były rozkazy carowej, aby jak najcierpliwiej inkwizycję z nas ciągnąć. W istocie gubernator smoleński z innymi dość ludzko się obchodził, ale do mnie i do pana Grużewskiego się przyczepił i o chlebie i o wodzie w ciemnicy nas trzymając, bez miłosierdzia z nami się obchodził; a to dla tego, że w samym początku naszego przybycia, kiedyśmy jeszcze wolni chodzili po mieście, poznaliśmy się z jednym popem tamecznym i rozmawialiśmy czasami z nim po łacinie, który nas uprzejmie przyjmował; co gdy donieśli gubernatorowi, ten, że nie był Wojekowem, ale po policji służąc, z felczerskiego syna wyszedł na człowieka, a w obyczajach i świecie nie bardzo wyżej stał od Puhaczewa, wniósł sobie, że musimy być bardzo uczeni, że cała rzecz na nas się opierała, i że trzeba nas było wy badać wszelkimi sposobami. Nim mnie o tej okoliczności oświecił później JW. wojewodzie wołyński, który dłużej odemnie bawił w Smoleńsku, już i sam nieco o niej się domyślałem, bo gubernator ciągnąc z nas śledztwo, wszystko nam powtarzał:

— Wy mądrzy ludzie, hramotni, po łacinie mówicie; i my mamy rozum na was. —

Szczególne to były inkwizycje. Pytał mnie na przykład: jak ja śmiałem wojować przeciwko carowej? i czy znam, co pisze jakaś żółta księga o buntownikach? Jam mu odpowiedział, że nie będąc carowej poddanym, nie jestem zgola buntownikiem. Na co on skoczył z krzesła i zaczął krzyżeć:

— Jak ty śmiesz mówić, żeś nie poddany carowej? Kto nie jest poddany carowej? Feldmarszałkowie, urzędnicy 1. klasy, mający błękitne wstęgi, są poddani carowej; a ty, co żadnego czynu nie masz, śmiesz mówić, żeś nie jest jej poddanym! —

I mnie poprzestawszy na grubiańskich wyrazach, zaczął mnie bić kulakiem po twarzy, że ażem spuchł, za każdym uderzeniem powtarzając:

— A co, czy ty nie poddany carowej? — A potem: — Zaraz mi gadać, jak będąc w Polsce, mogłeś wiedzieć, że Puha-czew bunt w Moskwie zrobi i Kazań zajmie? Kto o tem tobie mówił? —

Ja mu na to: — Przysięgam, że pokąd z Polski mnie nie wy-

wie
Kaz p
niemc
on
jaksie
bu:
nie
Gr
sur
ch:
siebe
mu
kc
i jsi
M
el
al
zi
w
T
PP
z
v
t
l
l
j
e
:
:
l

wieźli, nie tylko że nie wiedziałem o Puhaczewie i że ma zająć Kazań, ale nawet że Puhaczew i Kazań są na świecie.

— Oj, ty nie nie widziałeś! ty hramotny człowieku, co z popami po łacinie gadasz, o buncie Puhaczewa, że ma być, nie-wiedziałeś? A dla czegoż ty przystał do niego w Kazaniu?

Na to ja: — Miałem nadzieję, że za pomocą jego wrócę do mojej ojczyzny; a nakoniec jak wszedł Puhaczew do Kazania, on miał tam zwierzchność i musiałem słuchać co mi rozkaże, jak tu panu muszę być posłusznym.

— Co ty mnie robisz Puhaczewem! — i kazał mnie bić, abym się przyznał, jakie związki Konfederacja barska miała z tym buntownikiem. A ja tylko Boga brałem na świadka, że o niczem nie wiem i nie wiedziałem. Tego było kilka razy, toż i z panem Grużewskim trzymano mnie w więzieniu, gdzie prócz chleba suchego i wody, nic nie miałem, i kiedy koledzy nasi po mieście chodzili, nas trzymano w jamie. Pięknie nam posłużyło, żeśmy się z łaciną popisali.

Wtem jednej nocy wpada do naszej ciemnicy adjutant gubernatorski i obu nas wyprowadza aż za miasto, słowa nam nie mówiąc. Dopiero za miastem pokazawszy nam saneczki parokonne, kazał nam wsiąść, dał nam po dwadzieścia pięć rubli i powiedział:

— Jedźcie sobie do Polski i uciekajcie co prędzej.

My tedy dalej w drogę i nazajutrz jeszcze stanęliśmy szczęśliwie na ziemi Rzeczypospolitej, w województwie witebskiem. Moglibyśmy byli do naszych gniazd trafić i szukać spokojnego chleba, zwłaszcza pan Grużewski, co miał swoje dziedzictwo; ale natura wilka ciągnie do lasu, a Polaka do służenia ojczyźnie. Każdy z nas swoją drogą jak mógł dostał się w województwo krakowskie, gdzie konfederacja barska jeszcze trwała. Tam uściskaliśmy naszych kolegów, którzy mieli nas za przepadłych.

Dla czego zaś adjutant gubernatorski ułatwił nam ucieczkę, później się dowiedziałem, za powrotem do kraju, od pozostałych w Smoleńsku spółwięźniów. Oto carowa otrzymała doniesienie, że gubernator smoleński nieludsko się obchodził z niektórymi więźniami: bo byli Polacy, co mieli u niej wziętość, a chociaż to samo dowodziło, że nie najpoczciwiej szli, jednakże byli Polakami i za nami obstawali. Więc carowa wysłała do Smoleńska bardzo godnego jakiegoś senatora, aby się upewnić, czy to tak jest, lub nie. Gubernator chcąc utać swoje postępkę z nami dwoma, sam ułatwił nam ucieczkę; bo z innymi dość ludzko się obchodził, żądnych okrucieństw się nie dopuszczał i ich wyznań nie miał powodu się obawiać. Niech mu Bóg nagrodzi! Dobrze że nie kazał nas podusić, bo tym sposobem mogłby jeszcze lepiej zatrzeć co nabroił.

Tak to czasem nie masz złego, co by na dobre nie wy
w Smoleńsku tylko nas dwóch z pomiędzy wszystkich kon
ratów batogami bito — aleśmy za to ojczyźnie naszej pr
na nowo służyć mogli, kiedy nasi koledzy jeszcze długo p
musieli siedzieć na wygnaniu.

XIII.

SICZ ZAPOROZKA.

Choć urodziłem się Litwinem, ziemianinem nowogrodzkim, i to mam sobie za zaszczyt, przytem wzdłuż i w szerz kilkakrotnie całą Polskę przebiegłem, nie mogę nie przyznać, że Ukraina jest najpiękniejszą naszą dzierzawą. Tam ziemia prawie bez pracy obdarza rolnika niezliczonym plonem, bydlę tu czy się bez dozoru, najpiękniejsze konie i trzody liczne owiec okrywają pastwiska, a śpiewy wieśniaków i uroda wieśniaczek dowodzą, jak błogie jest ich życie. Słyszałem, że od czasu zaboru, gdy ogromne majątki naszych dawnych panów rozdrobniły się między przychodniów różnego gatunku, którzy często-króć za kradziony grosz ponabylali swoje dziedzictwa, namnożyło się podpanków, a tych nieludzkość do smutniejszego stanu przyprowadziło rolników tamecznych, niż gdzieindziej niewdzięczność roli. Wszystko to być może; ale mówię tylko o tem, co było za moich czasów i na com patrzył.

Pierwszy raz, kiedym poznał Ukrainę, nie była pora po temu zastanawiać się nad jej pięknością. Było to w r. 1763, gdy po przegranej naszej z Podhoryczaninem, ze szczątkami Konfederacji litewskiej szybkim pochodem i ledwo nie codzień bijąc się, przebiegaliśmy cały ten kraj szeroki, aby czempędzej dostać się na Wołoszczyznę, czegośmy mimo największych przeszkód dokazali przez waleczność i wytrwałność własną, a szczęście i przytomność naszego wodza, JO. księcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Byłem świadkiem, jak on ciągle na koniu zawsze się tam znajdował, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, a w najsmutniejszych przygodach żadną chmurką nie oziębiał naszych nadziei. W moich oczach pod Sawińcami, już blisko Dniestru, kresu naszych życzeń, kilka strażów karabinowych przeszło mu kurtkę, a kula armatnia uderzywszy

w ziemię o dziesiątek kroków od niego, powtórnym skoki padła przy samych nogach. Tę kulę ważącą dwanaście funt kazał książę podnieść, a później podobną teje wagi z szczerze srebra odlać i takową ofiarował Najświętszej Pannie boruński gdzie wisiała przed obrazem, nim w czasie ostatniej rewolu Moskale nie zrabowali jej, zrabowawszy kościół.

Ale w lat kilka potem miałem lepszą sposobność przytrzy się Ukrainie, kiedy po zawiązaniu się Konfederacji baskiej JW. Ogiński, wojewoda witebski, wysłał pana Azulewic Tatara, ale obywatela zacnie urodzonego, co był później pułkownikiem lekkiego pułku w wojskach Rzeczypospolitej, a ze m sąsadował aż do śmierci w wiosce swojej dziedzicznej. Ot z rozporządzeniem jeneralności, JW. Ogiński wysłał go Islam-Giraja, haną krymskiego, aby przy nim prowadził interesy Konfederacji i do niej się zgłaszał, o każdej rzeczy doradzając. Dla przesyłania wiadomości, które tylko ustnie mogły przechodzić, bo nie było sposobu w papierki się wdawać, ciągnąc przedzierając się pomiędzy nieprzyjaciół, wyprawiono z nas czterech młodzieży, na których spuścić się można było. P. Azulewicz także nie wiekiem, ale wziętością nas przewyższając, bo będąc biegłym w językach bisurmańskich, posiadał szczególną ufnosć wodzów Konfederacji i tej ufnosć nie zawiodł. Otóż było nas czterech jemu dodanych: pan Michał Ratyński, cześnikowicz miński, pan Wojciech Massalski, regentowi oszmiański, pan Mikosza, co dobrze bisurmańczyzny wycyzszy się, został później tłumaczem Rzeczypospolitej w Stambule i ja. Każdy z nas osobno musiał jechać dla uniknienia podrzeń; dopiero mieliśmy złączyć się w Humanu, gdzie pan Michał danowicz, rządca jeneralny, miał instrukcję od JW. Potockiego wojewody kijowskiego, swojego pana, aby nas opatrzył i wszystko, co tylko pan Azulewicz zarekwiruje; i chociaż nas ze Lwowa wyprawili, każdy swoją drogą szczęśliwie do Humanu trafił, oprócz pana Massalskiego, który został męczennikiem za ojczyznę i wiarę. Ten natrafiwszy na komendę pana Branickiego, wówczas łowczego koronnego, co już się zaprawiał krwią rodaków, został do niego przyprowadzony. Jakiś sługa pana łowczego wydał, iż go widział we Lwowie przy dworze JW. Paca, starosty ziołowskiego, marszałka jeneralnego Konfederacji. Zaczął go tedy pan Branicki wybadywać: od kogo gdzie i z czem jedzie? bo domyślał się, że z czem ważnym kusił go różnemi obietnicami, a nakoniec katował niemilosie. Ale gdy szlachetny młodzieniec, pamiętny swojej przysięgi ani łagodnością, ani groźbami, ani datkami, ani mękami nie dał się zachwiać, oddał go Branicki komendzie moskiewskiej która jako szpiega natychmiast go powiesić kazała.

Islam-Giraj był zapalonym przyjacielem Polaków, i ciągnął na Portę, by wojnę wypowiedziała Moskwa. Miał c

wielkie zaufanie u sułtana i świeżo był na nim wymóg, że przepukionych członków dywanu, którzy w r. 1763 rzeczywiście nas zgubili, poczęstowano stryczkiem jedwabnym. Teraz także, kiedy pan Azulewicz do niego był wysłany, popierał on jak mógł przez swoich stronników w Stambule JW. Potockiego, podczaszego litewskiego, który się biedził a biedził, aby sułtana nakłonić do wojny, i taki dopiął swojego, na przekorę całemu dywanowi, co mu ciągle szły bóty; bo zasiadający w nim nie wiele byli lepsi od tamtych, co gardłem opłacili swoją przedajność. Dopiął zaś pan podczaszy swego takim sposobem: Sułtan był bardzo gorliwy o swoją wiarę i radby chciał cały świat nakłonić do swojego Mahometa. Otóż JW. podczaszy wyczerpawszy wszelkie środki, takowego nakoniec się chyłta: Że posiadał doskonale język turecki i miewał prywatne posłuchania u sułtana, determinuje się iść do niego; a ze strony było wiadomo, że miał łaskę u sułtana; więc go do niego puszczono. Stanąwszy więc przed sułtanem, pada mu do nóg i mówi:

— Rządco prawowiernych! wybaw nas od niewoli moskiewskiej, a cały mój naród podda się pod wyznanie twojego proroka. Masz mnie w rękę; przysięgam ci, że w dniu tym, w którym się dowiem, żeś Moskali z naszej ziemi wypędził, publicznie dam się obrzezać. —

Sułtan ucałował go serdecznie, czego z wielkim wżyzrem nawet nie robił i natychmiast wojnę wypowiedział; 'bo już tu szło wyraźnie o honor Mahometa. A co to była za miłość ojczyzny, dać się potępić za nią! Trzeba bowiem wiedzieć, że pan podczaszy był bardzo żarliwym katolikiem, powiedziałbym żarliwym do zbytku, gdyby mógł być w tem zbytek. Nikt z nas nie był lepiej od niego przekonany, że tylko w naszym kościele można zostać zbawionym i co czeka tego, kto się poturcza. To kiedy później JW. a przewielebny Krasieński, biskup kamieniecki, jeden z wodzów naszej Konfederacji, którego brat rodzony, pan podkomorzy rożański, był marszałkiem jenerałnym w Koronie, jak JW. Pac na Litwie, wymówił mu po przyjacielsku, że za daleko się posunął: — Bóg mi jest świadkiem — odpowiedział podczaszy litewski — że nie dla rozpusty, ani z niedowiarstwa, byłem gotów opuścić prawdziwą wiarę, ale jedynie dla wyratowania biednej ojczyzny. Tuszę też sobie, żeby mnie za to miłosierdzie boskie nie ominęło; a gdyby inaczej się stało, to w piekle sam djabeł szanować by mnie musiał. — Na te słowa świętobliwy biskup, co był razem najgorliwszym obywatelem, nie nie odpowiedział, tylko westchnął i lzy mu się puściły.

Gdyśmy się połączyli w Humanu, a oplakawszy przycgodę naszego nieodżałowanego kolegi, którego krew woła o pomstę na zmoskwiciałym szlachcicu, co długim szeregiem zbrodni wyszedł na najmłodniejszego w narodzie pana, o duszy nieboszczyka nie zapomnieliśmy. Pan Roguszewski sprawił mu porządne

egzekwie w kościele OO. Bazylianów, na których nie tylko n ale nawet pan Azulewicz modlił się, choć był mahometańskie obrządku. Układaliśmy potem dalszą podróż. Trzeba było n udać się naprzód do Sycy Zaporozkiej. Semen Kozyra, koszo zaporożki, co zostawał w ścisłych stosunkach z wodzami Kc federacji barskiej, skończył był dopiero życie, jakośmy się o t dowiedzieli w Humaniu, i nadchodziły wybory na jego następ Ta strata była dla nas bolesną, bo on nam był przyrzekł pr łączyc się do nas z wojskiem, którego więcej trzydziestu tysi mógł zebrać. Tym sposobem Konfederacja wzmocniłaby się Ukrainie, której większa część była własnością panów bądź i mi dowodzących, bądź przynajmniej nam przychylnych, a pr tem wojska tureckie i Tatarów krymskich jakby weszły, nie wodnie cała Ruś zostałaby oswobodzoną. Szło nam więc n więcej o to, aby nowy koszowy był nam przyjazny; i mieliś po sobie Dziumdzuryka, pisarza Sycy, który tem mocniej n pomagał, że był podobno rodowitym szlachcicem polskim. (to skłonił ku nam Semena Kozyrę, bo miał być człowiekiem oczytanym, bardzo przebiegłym i wielką miał wziętość w całej Zaporozu. Byłby sam teraz wyniesiony na stopień koszoweg coby dla nas było bardzo pomyślnie; ale że wedle ich pr koszowy nie powinien był umieć ni pisać, więc mus poprzestać na pisarji, która była drugim stopniem dostojenstw i tem pomagał. Pan Roguszewski wyprawił nas do Sycy z g rzałką swojego skarbu, jako sług ekonomji humańskiej. Z b togam i w ręku idąc przy podwodach wołowych, tęśmy podr odbyli. Raz tylko byliśmy zatrzymani przez Dońców, którzy okazaniem świadectwa ekonomji puścili nas natychmiast. D dał nam był pan Roguszewski kilku doświadczonych kozakó humańskich, co już nieraz gościli w Sycy, a my dawaliśmy s im powodować tem chętniej, żeśmy widzieli ich szczerze pr wiązany mi do wspólnej naszej ojczyzny. Przybywszy do Jaho lika, miasteczka do włości humańskiej należącego, na które kończyły się dzierżawy rzeczypośpolitej, trafiliśmy właśnie i czas jarmarkowy. Lubo miasteczko składało się tylko z wielki karczmy skarbowej nad samą Siniuchą i z kilku domostw żyd wskich, zjechały się na jarmark tłumy Tatarów, Kozakó chłopów i Żydów, dla kupna lub przedaży koni, bydła, łoj ryby suszonej, smoły i innych jeszcze tamecznych towaró My z podwodami stanąwszy przy karczynie, a woły na paszę p ściwszy, weszliśmy do izby szynkowej i zastaliśmy w niej mi szanę różnych narodów, a każdego łatwo było poznać, ó którego należy. Tu Tatary w kozuszkach krótkich, których wł sterczał do góry, i w krymkach baranich, odznaczali się twar ogorzałą i oczyma małemi. Ukraińskich chłopów można by poznać po szlachetności ich rysów i czystości ich białych koszu na których czarność siermięgi wdzięcznie się odbijała. Głow

ogolone, na wierzchu których kóska szeroko spadająca aż na ramię, a seledcem przez nich nazwana, była jedynym szczytkiem ciemnej czupryny. Wielkie szarawary obwiązane szeroko czerwonym pasem, z po za którego wyglądała nahajka z rzemienia plecionego i jej srebrna rękojeść, zdradzały ukraińskiego kozaka. A moskiewskiego kacapa któżby nie poznał po długim szarafanie, ciemno błękitnym, zapuszczonej rudawej brodzie, włosach w okrąg postrzyżonych, twarzy jak księżyc w pełni, okrągłej, na której obojętność się malowała, i olbrzymich kościach wojnie sadłem opatrzonych. Kobiet nie było innych tylko Ukrainki, a tych było trzy rodzaje: baby, młodożyce i dziewczki. Baby miały głowy chustką związane, opończe ciemne barankami podszyte, zgola strój skromny, ich wiekowi przyzwoity; ale młodożyce i dziewczki, między którymi wiele było pięknej urody, były dość wykwintne w stroju: galony sute i kosztowne, korale gesto się ukazywały i dowodziły, że ich mężowie i rodzice byli majętni. Kiedyśmy weszli, wszyscy wtedy słuchali z największą uwagą ślepego bazarza, co grając na lirze, śpiewał im różne wypadki. Jedna pieśń jego opowiadała dokładnie najdrobniejsze okoliczności porwania księżniczki Ostrogskiej przez kniazia Dymitra Sanguszkę. Uważałem, że najwięcej zajmowało Ukraińców, kiedy wyliczał dobra kniazia Dymitra, szlachtę i kozaków jego dworu, jako też dobra księżny Ostrogskiej i sług jej płci obojej, wszystkich nazywając po imieniu. To jak wymieni jakie imię, co je nosi który z parobków, lub która z dziewczek przytomnych, zaraz powstaje śmiech i palcami pokazują tego, kto wymieniony. My ubrani jak chłopci ukraińscy, nie zwracaliśmy na siebie oczu. Pan Azulewicz siadł między Tatarami i zawierał z nimi znajomość i przyjaźń, co mu nie było trudno, gdyż mówił po tatarsku jak rodowitym językiem. Pan Mikosza zajął kaszę jaglaną, którą mu do izby Sajducha przyniosła; a pan Michał Ratyński był tylko dziewczkami zajęty i bardzo się do nich zalecał, czem mnie niemało zafrasował. Żaden z nas nie umiał tłumaczyć się językiem stosownym do przybranego stroju; aleśmy przynajmniej milczeli, a pan Michał ciągle z litewska coś plótł dziewczynnie i mógł tem nas wszystkich w niebezpieczeństwo wprowadzić, bośmy mogli natrafić jeszcze na moskiewską komendę; dopiero byłaby bieda! Nic wszakże nie mogło pana Michała oderwać od powabów Ukrainki, która choć czasem nasmiewała się z jego mowy, okazywała jednak, iż mu rada. Ja, lubo nie starszy od niego, tylko śpiewem bazarza byłem zajęty. Z tego śpiewu dowiedziałem się, że Artur Jełowicki, dziedzic czternaści wsi, był marszałkiem dworu księżnej Ostrogskiej, że na czele jej ludzi tak się był wslawił pod Soczawą przeciw Wołochom, że mu król Zygmunt ofiarował chorągwo nadworne litewskie. Ale on nie przyjął tego zaszczytu, z powodu, iżby księżna Ostrogska bez niego swemu dworowi rady nie dała; on zaś

wzrosłszy na usługach kniazia Ilji, miał sobie za obowiązek opuszczać jego wdowy, a według ewangelji, dwom panom żyć nie można. Jakoż dopiero po jego śmierci książę Dymitr najechał zamek ostrogski. Dowiedziałem się także, że k Czetwertyński, dziedzic Komajgroda, który kniaziom Dymitr i Wasilowi towarzyszył w tym najeździe, był synem Ostaf co swoim kosztem utrzymywał pułk kozaków dla rzeczypospolitej i wielce się jej zasłużył. Bardzo mu się chciało kasztel braclawskiej, którą miał już sobie obiecaną od króla. Ale ponieważ rada nie dopuszczali spełnić tej obietnicy, żądając, wrzód na wiarę rzymską przeszedł i dał dobry przykład i szlachcie ruskiej. Gdy więc będąc schyzmatykiem twar i mówić sobie o tem nie pozwalał, a z powodu niedotrzymania słowa był nieco rozjątrzony, patriarcha moskiewski dowiedziawszy się o tem, wyprawił do niego jakiegoś ihumena z przycją, aby do cara przyłgnął, za co nie kasztelanem, ale k ziem udzielnym braclawskim zostanie i będzie miał porę pom się nad rzeczypospolita, która krzywda odplaca jego zasług a on mu na to odpowiedział: — Krywda krywdoju, a czynna otczynnoju. Ja z jej nepryjatilom w pyśne budu wchodyty; ale ty jemu powiż, szczo kn Jewstafij Czetwertyńskij didyc Komajhordu, a kownyk Korola i rzeczypospolitoj polskoj tobies zaw: szczo maty, persze pobie a potim pomyłje a maczycha persze pomyłje, a potim pobie. I z tem go odprawił. Jak skończył bajarz śpiewać a czapkę n stawil, piętaki w nią padały, że aż się przepelniła.

Potem młodzież wzięła się do piasów: pierwszy raz widłem jak kozaka tańcuja. Osobliwie jeden młodzian prześlicie urody, z niewypowiedzianą zgrabnością tańczył: prysiudy, oni nazywaja, do ziemi robił, do góry skakał i znou spa hołubce bijąc; a to wszystko grając na bandurce, po naszym teorbanie, i śpiewając ukraińskie miłosne piosenki. Dzie ledwo go oczami nie zjadły. Ale co nas uderzyło najwięcej, kilku kozaków, których strój przepychem znacznie się różnił wszystkich innych. Mieli szarawary granatowe z galonem: tym szerokim, półkontusze ponsowe z wiszącami wylotami, paniki z białego atłasu, pasy jedwabne z złotemi frenzlami i czapki wysokie z siwego baranka, na wierzchu których widać jakoby worek ponsowy z kutasem złotym. Od kobiet widocznie stronili i usuwali się skwapliwie, kiedy przypadkiem która z nich się przybliżyła; ale wszystkich mężczyzn znajomych i z znajomych gorzalką i miodem traktowali, obowiązywali do ciał i sami tego pili. Żyd arędarz wiadrami na ich rozkaz trunosił; a co przyniesie wiadro, natychmiast już próżne. I także częstowali, z prostą, ale obowiązującą grzecznością, i teśmy nie mogli im odmówić spełnienia pary szklanek miodu.

Tu mię wzięła taka ciekawość, że lubom postanowił sobie ustnie otwierać, zapytałem Żyda, co to są za ludzie tak bogato ubrani? A on mnie: — Co to wy cudzy, że nie znacie zaporozkich kozaków? Oni w dziesięć podwóch z rybą chodzili do Humania i rybę przedali; ale że dowiedzieli się, że ich koszowy zomarli, nie mieli czasu tam zarobku swego przepić, bo spieszą nowego wybierać. Teraz z próżnemi furami na Kahorlik wracając do Siczy, tu wozy i woły poprzędawali. To moje szczęście! wszystko przepiją u mnie i goli do domu powrócą. Te bogate kupany oni w Humaniu sobie posprawiali, bo na Siczy nie godzi się im tak stroić. Nim słonko zajdzie, to wy ich zobaczycie tak ak chodzą u siebie. — Odpowiedź Żyda jeszcze więcej zaostrzyła moją ciekawość i niecierpliwie wyglądałem wieczora, gdyż dopiero przed samym zachodem słońca mieliśmy dalej ruszać, dla nieznośnego w dzień upału. Ale nie miałem potrzeby tak długo czekać: ledwo parę godzin upłynęło, zaczął Żyd ich rachować i zabrał im wszystkie pieniądze, że każdemu po kilka piątaków tylko się zostało. Naówczas kazali sobie podać katkę napełnioną żięgciem: i jeden po drugim w pięknej swojej odzieży, w nią włożył i zanurzwszy się po szyję, wylał z kadzi, rozbiarał się cały ubiór, jakby gardząc marnościami świata, razem z czapką równie powalaną, aby to wszystko zabrał kto zechce. Potem wzdriawszy koszule w łoju zmazane i siermięgi brudne, w których wyjechali byli z Siczy, wzięli w ręce batogi i wyszli dobrze pijani, nikomu nie mówiąc: bywaj zdrów.

Pan Michał Ratyński pomimo moich nalegań, żeby się wyśpał przed całonocną pieszą podróżą, nie mógł się wyrwać ze swoich zalotów; nawet się puścił w płasy z parobkami i dziewczkami, czem bardzo nas rozśmieszył, osobliwie jak poszedł pierwszy raz w życiu swoim w prysudy. Ale pan Azulewicz, pan Mikosza, kozacy humańscy, co z nami szli, i ja, namościwszy sobie w sieni hojnie słomy miętej, porządnego użyliśmy wczasu aż do godziny przeznaczonej na wyruszenie w dalszy pochód.

Dwa dni jeszczęśmy szli gołym stepem; ani pagórka, ani drzewka nigdzie nie było widać; tylko ogromna przestrzeń podobna do spokojnego morza, rozciągała się przed nami. Gdzie-niegdzie sterczały mogiły, oddalone jedna od drugiej w pewnym wyrachowanym porządku. Mogiły te służyły kozakom do stawienia czatów i do poznania drogi w czasie zimowych zamieci. Często także spotykaliśmy błakające się, wółdziczale trzody, które zimą i latem pasę się pod gołym niebem. Tak bezładną przestrzeń przebywszy, stanęliśmy w Gardzie nad Bohem, gdzie się zaczynały posiadłości siczowskich kozaków. Tam między skałami były porobione jazy, czyli tamy do łowienia ryb, i tam zastaliśmy assaulę, przy którym w niebytności pułkownika, będącego w Siczy na wyborach, zostawało dowództwo pułku korsuń-

skiego, stojącego w Gardzie na straży. Gdy nasi kozacy zameldowali nas asawule, przyjął on cały nasz orszak uprzemnie i dodał nam do konwoju jednego towarzysza siczowego z buzdyganem żelaznym, wielkim, najeżonym kolcami. Dowiedzieliśmy się od naszych kozaków, że widok tego buzdyganu jest dostateczną zasłoną od wszelkiej przykrości, mimo zwyczajną skłonność Zaporozców do rozboju; i lubo przechodząc przez ich zimowliki, byliśmy często nawiedzani od towarzyszów i ich czeladzi, a każdy będzie pił gorzałkę z podwód ile mu się podoba, ekonomja humańska na tem nie straci, bo byle kufę choć próżną przywieść do Siczy, koszowy za świadectwem konwojującego towarzysza, iż wypróbną została na drodze przez Zaporozców, zapłaci za nią jak gdyby była pełna. Ale że Zaporozce dzieli się na 40 pułków, z których każdy nosi nazwisko jakiegoś miasteczka ukraińskiego, jeżeliby przypadkiem konwojowane podwoły jaką szkodę poniosły, pułk, w którego obwodzie toby się stało, całkowitą szkodę musi wynagrodzić. Zaporozce pierwiej bardzo często rabowali Smilańszczyznę i Humańszczyznę; ale pan Ortyński, rządca tameczny, który umarł podczaszym braclawskim, ubezpieczywszy Humań w około fosą głęboką i ostrokołami, a wyćwiczywszy milicję nadworną JW. Potockiego, wojewody kijowskiego, nie tylko że ich odpierał, i raz tyle tej zgrai nabił, że aż pigę mogił na przedmieściu Humania na ich ciałach usypał, ale nawet samą Sicz napadł, zimowliki palił, trzody, stada zabierał, a Zaporozców wziętych żywcem w dyby zabijał i w Humaniu do ciężkich robót używał. Gdy się to kilkakrotnie zdarzyło, Bundur Mamałyg, coby był natenczas koszowym, zawarł z ekonomją humańską i smilańską wieczny traktat, przysięgłszy, że już odtąd Zaporozcy rabunków w Polsce popełniać nie będą, byleby za świadectwem władzy swojej mieli wolność przybywać dla handlu do Humania, Smiły i innych dzierżaw domów Potockich i Lubomirskich. Nawzajem zaś poddani tych włości, opatrzeni w świadectwa oficjalistów, będą mogli bezpiecznie udawać się do Siczy, jadąc przez Gardę, gdzie była straż zaporozka od granic rzeczypospolitej i buzdygan w ręku naczelnika dla ubezpieczenia przejeżdżających. Jeśli jaki Zaporozec przeciw temu traktatowi wykroczył, chociaż najmniejszej kradzieży dopuścił się, bądź we włościach pomienionych, bądź na podwodach buzdyganem konwojowanych, koszowy karał go śmiercią po osądzeniu sprawy przez sędziego Siczy, a napisaniu wyroku przez pisarza. Śmierć była zadawana następnym sposobem. Winnego przywiązywano u słupa, stawiono obok niego kadz gorzałki, a przy niej kładziono stos kijów: każdy kozak przechodząc koło niego, gorzałki się napił i kijem go uderzył, i póty bili i bili, póki mu życia nie odebrali. Takową śmierć niedawno ponosił Tymosz Podkujko Sołowej, ataman i poeta zaporozki, którego pieśni w obu Ukrainach śpiewają, a to z po-

wodu, że gdy koszowy Semen Kozyra (ten sam, co dopiero stał się dla nas nieodżałowaną stratą), częstując u siebie oficerów moskiewskich, przybyłych w interesach carowej, jak u nich w zwyczaju było, przy końcu obiadu kazał Podkujce grać na bandurze i śpiewać. On chcąc gościom podchlebić, ułożył na przede piosnkę, w której między innymi rzeczami było: że Lachy ubodzy, bo choć sami żonki mają, dla ich popów żonek nie wystarcza; Zaporozcy jeszcze ubożsi, bo choć popom dają żonki, sami bez nich obchodzić się muszą; a Moskale najbogatsi, bo mają żonki i dla siebie i dla swoich popów. Otóż po odprawieniu oficerów, koszowy oddał pod sąd Tymosza Podkujkę Sołoweja, że ważył się przyganiać ustawom koszowym, i jako przekonany o tę zbrodnię, był kijami ubity, pomimo że i względy u koszowego i wielką miłość miał w całym Zaporozu. Tak wielkie jest u nich uszanowanie dla swoich praw. Rzeczywiście oprócz popów nikt tam nie mógł mieć żony. Popów tych (najczęściej z rozstrzyżonych w Moskwie za hultajstwo) było wszystkiego czterdziestu, to jest po jednemu na pułk, i niektórzy z nich tylko byli żonaci; zresztą żadnej kobiety nie było w całej Siczy i żadnej nie wolno było nogą na jej posiadłości stanąć. Ludność zaporozka utrzymywała się raz przyjmowaniem zbiegów bądź z Polski, bądź z Moskwy, najczęściej najgorszych hultajów, a którzy na Siczy poddawszy się pod surowe prawodawstwo, jego przepisów wiernie dochowywali; raz hodowaniem chłopczyków za granicą Siczy kradzionych, których kozacy przyspasabiali za synów i dziedziców swego majątku. Jeżeli kozak umierał, nie zostawując przysposobionych synów, natenczas jego majątek na dwie części był dzielony: połowę brał koszowy, a druga połowa dostawała się cerkwi pułku, z którego był nieboszczyk. Tym sposobem cerkwie ich przechodziły do znacznego bogactwa. Koszowy oprócz tego miał wielką wyspę na Dnieprze, gdzie w kilku wsiach osadzeni chłopci żonaci, czynsz mu płacili i wyszynk gorzałki i miodu do niego należał. Często kozacy synów tych chłopów przyspasabiali. Koszowy i urzędnicy wielcy, których tylko było dwóch: pisarz i sędzia, ubogim odzieniem swoim nie różnili się od prostych kozaków, a ich skromne mieszkania mało co były wytworniejsze, odznaczały się tylko pięknocią i obszernością sadów. Dziesięcina pszczelna składała dochód pisarza i sędziego. Każdy pułkownik pobierał małą jakąś opłatę od koni, bydła i owiec, na utrzymanie kureni, a w każdym kureniu utrzymywał za to kozaków, co chleb piekli, jeść warzyli i gorzałkę szafowali dla wszystkich, bądź rejestrowych towarzyszy, bądź ich czeladzi, komu się podobało w kureniu hulać.

Tak rozmawialiśmy z kozakami humaniskimi o ustawach i obyczajach tego osobliwszego narodu, przechodząc pięknym krajem, co był jego siedliskiem. Bo już nie goły step, ale

gdzieniegdzie okazywały się gaje, a jary zieleniały olszyną i wierzbina; smutno było tylko, że śladu rolnictwa nie widać. Żadnej pracy nie chciał znosić Zaporoziec, rolnictwem się brzydził, a nawet sadem rzadko który się bawił: próżniactwo było ich jedyną pociechą. Przybyliśmy do miasta Sicz, jeśli to miastem godziło się nazwać. Czerdzieści długich drewnianych karczem, pośród których tworzył się rynek w regularny czworobok, a każda karczma należała do innego pułku; a z tego rynku wychodziły trzy gościńce: jeden pod chałupę koszowego, drugi pisarza, a trzeci sędziego. Chałupy obszerne, ale słomą pokryte, przy nich wielkie sady, szczególnie koszowego, którego mieszkanie tem jeszcze się odznaczało od drugich dwóch urzędników, że on jeden miał wielką murowaną stajnię, w której trzymał do pięćdziesiąt koni, co było całym jego zbytkiem. Stanąwszy na rynku, poszliśmy prosto do pisarza, któregośmy zastali siedzącego przed chałupą na zydlu, z fajką w gębie. Był to człowiek przynajmniej siedmdziesięcioletni, ale czerstwy. Rysy jego twarzy okazywały coś niepospolitego. Uprzedzony o naszym przybyciu, przyjął nas grzecznie i z panem Azulewiczem rozmawiał jak z poufałym przyjacielem, lubo pierwszy raz go widział. Zaprosił potem nas wszystkich na kwatery do siebie i wprowadziwszy do chałupy, rozmawiał z nami czystą polszczyzną, nawet nieco z litewską. Powiedział nam:

— Złe się stało: tylkoco obrali koszowym Jura Majborodę. Intryga popów, Moskwie zaprzędanych, jego wyniosła. Jest to fanatyk w schyzmie: uroił sobie, że jak Polska pobędzie się Moskali, to zmusi Sicz do unjii. Z tego powodu władza nim nasz protopop Sohaniczyn, brat archimandryty perejaślawskiego, zawzięty nieprzyjaciół Polaków: że jego siostrzeńca, jakiegoś czernca motryniańskiego monasteru, co był watagą hajdamaków i w domach szlacheckich okrucieństwa popełniał, wbito na pal w Żytomierzu. Pokąd będzie koszowym Majboroda, nie możecie się spodziewać od nas pomocy. Ja jeszcze przez jutrzejszy dzień wszystko lepiej wybadam; a potem niech który z panów nazad pospiesza do Konfederacji z tem, co wypadnie jej donieść. Teraz muszę iść na ceremonję wnijscia koszowego w swój obowiązek, co długo trwać nie będzie. Wy z daleka stojąc, możecie się temu przypatrzeć; potem wróćcie do mojej chałupy i na mnie zaczekacie. Będzie uczta wielka u koszowego, daje on wieczerzę dla całej Sicz: wszyscy się na śmierć popiją, oprócz mnie; bo w dzień wyboru koszowego i obchodu jego rocznicy, pisarz żadnego mocnego trunku do ust wzięść nie może, wedle praw naszych. Przy nim zostaje władza, a prawo chce, aby choć jeden przynajmniej był trzeźwy. —

To rzekłszy, wyszedł z papierem i kałamarzem w rękę, i z piórem za uchem, dla spisania aktu inauguracyjnego.

Po niejakiem czasie i my poszliśmy na rynek, gdzie już było mnóstwo kozactwa przed karczmą pułku czelwinińskiego, w której siedział nowy kozowy, niegdys assaula tegoż pułku. Z wielkimi okrzykami prowadziła go tłumacza z karczmy do domu kozowego, na dziedzińcu którego leżały cztery wozy przewrócone. Kozactwo natychmiast te wozy ziemią zasypało, tak, że się wzniosł kurhanek dość wysoki. Na wierzchołku tego kurhanka siadł nowo obrany kozowy, a czterdziestu towarzyszy rejestrowych, z każdego pułku po jednym, weszli do izby i porządnie zamiotłszy całą chałupę, wszystkie śmiecia w ogromny kosz zebrali, tak, że się napelnił; potem zaniesli go na kurhanek i z trudnością dźwignąwszy w górę, wyrócili na głowę nowego kozowego, który zupełnie śmieciami został obsypany; a pisarz głośno wyrzekł:

— Jak widzisz się okrytym tym śmieciem, tak w każdej potrzebie znajdziesz nas wszystkich koło siebie. —

Na tem skończyła się cała ceremonia inauguracji naczelnika Siczy, który też od owego zwyczaju przewracania na nim kosza nosił nazwanie kozowego. Zstąpiwszy z kurhanka, wszedł on zaraz do domu swojego i odtąd zaczynała się jego władza. Pierwszą jego czynnością było, iż odbił piwnicę swego poprzednika, zkąd natychmiast wszystek miód, wiszniak i gorzałkę kozactwo wytoczyło, zostawiając loch próżniuteńki. Wszyscy usiedli na ziemi, tak kozowy jak kozacy, około kotłów napełnionych barszczem, kaszą jaglaną, kluskami i pieczeniami wieprzowymi oraz baraniami. Każdy łyżką drewnianą brał z kotła na swoją misę ile mu się podobało, i wszyscy poczeli zajadać z wielkiem żarłocstwem, co kilka kęsów popijając szklankami wiszniak lub gorzałkę. Pisarz siedział osobno i to jadł co oni, ale prócz dzbanka wody nie miał innego napoju. Przybyłym kupcom i innym ludziom nienależącym do Siczy, między którymi byliśmy i my, kozowy bardzo gościnnie rozsyłał trunki i w misach jadła, o których nadmieniałem, a które lubo nie wymyślne, bardzo nam smakowały i panu Azulewiczowi, co prócz wieprzowiny, resztę z nami smacznie zajadał. Gdyśmy spostrzegli, że mózgownice tak kozaków jak i przybyłych zaczynają się zagrzewać spirytusem, wycofaliśmy się z tej zgrai i wróciliśmy do domu pisarza, gdzie była nasza gospoda.

Nie doczekawszy się gospodarza, około północy poszliśmy na spoczynek. Zrana pan Azulewicz oświadczył mnie, że tylko przez ten dzień wypocznę w Siczy, a nazajutrz o świtaniu udam się z próżnemi podwodami napowrót do Humania i ztamtąd mam jak najprędzej spieszyć do jeneralności z doniesieniem, że tu nic wskórać nie mogliśmy, a on sam puścił się do Bakczyse-
raju, bo cała nadzieja na Tatarach; a na siczowych kozaków nie ma co rachować, bo wszyscy popi są rozjątrzeni na Polskę, a pan Majboroda, nowy kozowy, jest ich narzędziem. Tyle

tylko możemy być pewni, że przeciwko nam działać nie będą. Dodał nam Dmudziuryk: kozacy prości sprzyjają Polsce, bo są przywiązani do swoich ustaw i przeczuwają, że Moskwę jak utwierdzi w Polsce swoje panowanie, nie scierpi ich swobód; podczas kiedy wolny naród nie byłby się gorszył z ich niepodległości. Ale starszyzna prawie cała już zepsuta: popi jej wmawiają, że carowa jak Polskę zabierze, to starostwa czehryńskie i czerkaskie podzieli między kozaków na własność; a koszewego, jeśli nakłoni kozactwo do zaprzysiężenia poddaństwa Rosji, zrobi hetmanem kozackim i całkowitą osiadłość Siczy da mu dziedzictwem. Tak to ci ludzie spodleni chcieli przedać wolność za dostatki, których nie dostaną: bo Moskwa żadnemu zdrajcy nigdy obietnicy nie dotrzymała.

Ostatni raz siedząc za stołem u pisarza i będąc tak blizkim pożegnania go, wedle wszelkiego podobieństwa na zawsze, odważyłem się mu powiedzieć: — Niech to pana pisarza dobrodzieja nie obraża, że tu jego chleb jedząc, może zbyt śmiały jestem w mojej ciekawości; ale mnie uprzejmość pańska do tej poufałości ośmiela. Co to za powód, że pan widocznie będąc szlachcicem polskim i mężem tyle światłym, że u nas równych mu nie wielu, zostałeś członkiem towarzystwa złożonego z ludzi, niech to pana nie obraża, prostych, włóczęgów i po większej części nieoświeconych?

On mnie odpowiedział na to: — Nie będę przed wami tał tajemnic mojego żywota, ani wypadki, które mnie tu zapędziły. Jestem szlachetnie urodzonym i moje przeznaczenie właściwe było i korzystać w wielkim narodzie z klejnotu szlacheckiego i posiadać znaczny majątek; jakoż w pierwszej mojej młodości byłem chorążym w kawalerji narodowej. Jestem ziemianinem województwa witebskiego, a moje prawdziwe nazwisko Wołk, familja znana Litwie. Mój ojciec był szczupłego majątku, ale szlachcic starożytnego narodu, za granicą wychowany. W wojnach króla Jana wsławił się i byłby doszedł może do wysokich zaszczytów, gdyby wiara jego nie stała mu na przeszkodzie: był z rodziców kalwinem. Jednak że był młody, przystojny, grzeszny, podobał się pannie Brzostowskiej, kasztelance mińskiej, jedynaczce, mającej znakomite dobra. Pomimo perswazji całej familji Brzostowskich, którzy z Jagiellończykami spokrewnieni, radziby mieć jak zwykle swoją krewną za jakim magnatem, nie a szlachcicem, chociaż dobrego rodu, ale którego dom le dwie do wojewódzkiego urzędu mógł się docisnąć, moja matka zależąc zupełnie od siebie, poszła za skłonnością serca. Mój ojciec osiadł na żoninej ziemi w temże województwie witebskiem, gdzie i jego samego było gniazdo. Żył na wsi, pilnował roli, pozyskał przyjaźń sąsiadów i tyle szanował przekonanie mojej matki, że w przeciągu długiego pożycia ani cień zgorzienia od niego na nią nigdy nie padł. Było nas dwoje dzieci:

ja i siostra odemnie młodsza; zezwolił ojciec, aby nas w wierze macierzyńskiej wychowano. Ojciec kilka razy na rok jeździł do Kopysia dla dopełnienia swoich obrządków, ale tak o cicho, że w domu nikt o tem nie wiedział. Zresztą we wszystkim powierzonechnie stosował się do wyznania matki: pościł z nią razem, bywał z nią w kościele, kapłanom łacińskim świadczył, jakby był katolikiem, a o religji nigdy nie mówił. Póki żył nasz proboszcz, człowiek prawdziwie świętobliwy, który nikogo nie wyłączał z miłości chrześcijańskiej i niczyjego przekonania nie potępiał, pożycie moich rodziców było szczęśliwe. Ale po jego śmierci jezuiti orszańscy znaleźli wstęp do naszego domu. Mój ojciec pomimo wstępu do całego tego zgromadzenia, przez przywiązanie, jakie miał dla żony, przeszkody temu nie stawiał. Owoż wkrótce wszystko się odmieniło. Ksiądz Rokita, przełożony jezuitów orszańskich, został spowiednikiem mojej matki, i co chciał, to jej wmówił: był to człowiek dość uczony, obywatel za granicą, a mianowicie w Rzymie, i posiadał wszystkie warunki do kierowania umysłów słabych. Najprzód próbował on mojego ojca nawrócić; ale ten zawsze go zbywał milczeniem, albo zwracał rozmowę do innego przedmiotu, i lubo nigdy nie ubliżył mu w grzeczności gospodarskiej, umiał jednak dać mu poznać, że w żadne ściśłości wdawać się z nim nie chce. Tymczasem z moją matką szło księdzu szczęśliwiej i odplacił mojemu ojcu za jego niechęć ku sobie. Jak zaczął jej prawić: że heretyk jest nieprzyjacielem Chrystusa; że kto papieża nie słucha, jest poganinem i zbrodniarzem; że prócz katolika, nikt nie wierzy w rzetelność swojej religji; że dysydemt każdy z uporu tylko i z pychy trzyma się swojego kacerstwa, a u różnowerców są tylko cnoty przyrodzone, które żadnego względu u Boga nie mają; że dla Chrystusa potrzeba opuścić i rodziców i dzieci i męża — tak obalamucił moją matkę, że przywiązanie do męża straciła. Po daremnych usiłnościach, aby ojciec zrewokował, nastąpiły kwasy, i nakoniec pożycie dwadzieścia lat szczęśliwe byłoby się rozeszło, gdyby zgryzoty ojcu mojemu śmierci nie przyspieszyły, właśnie jakby dla zapobieżenia tak wielkiemu zgorzeniu. Po śmierci ojca już żadnej przeszkody nie mieli Jezuita w owdładaniu zupełnem mojej matki i jej majątku. Kto tylko nie był z ich ręki, u dworu naszego nie mógł się utrzymać, bo nawet nie miał do niego przystępu. Dość, że w najpotoczniejszych okolicznościach matka niczego się nie miała bez zezwolenia księdza Rokity. Mojej siostrze wmówili powołanie do klasztoru i w klasztorze ją osadzili; toż i ze mną chcieli zrobić, ale nie dałem się nakłonić, a za wsparciem Brzostowskich, krewnych moich a ludzi możnych, zostałem chorążym pancernym kawalerji narodowej. Będąc młodym i burzliwym, nieraz bywając u matki, nie mogłem nie szydzić z postawy, jaką nasz dom przybrał, i dziwacznych obyczajów, które

jezuici wprowadzili. Ksiądz Rokita jak ja był poróżnił z moim ojcem, tak i odemnie jej serce odwrócił. Wmówił jej, że rozwiąże prowadzę życie, że do spowiedzi nie chodzę, że jestem kalwinem ukrytym; że majątek w moim ręku będzie tylko narzędziem obrazu Pana Boga, że moja matka żyjąc tyle lat z heretykiem, jest pod ciężkim grzechem, i że nie ma skuteczniejszego sposobu, aby go Pan Bóg wykreślił z księgi swojej sprawiedliwości, jak pozyskać wstawienie się świętego Ignacego, cały majątek oddając zakonowi, którego on jest założycielem. Słowem, kiedy ja pocziwie rzeczypospolitej służyłem, wszystko się gotowało do tego, aby mnie ogołocił z majątku. Zabrałem był znajomość z panną zacnego domu i posażną, starałem się o jej przyjaźń i wkrótce otrzymałem obietnicę od jej rodziców: już był dzień ślubu oznaczony za zezwoleniem mojej matki. W tym związku całe szczęście upatrywałem, bom szczerze kochał moją narzeczoną. Aż tu moja matka występuje z donacją całego majątku swojego Jezuitom, nie dla mnie, ani nawet dla siebie nie wyłączając, i sama osiada w Orszy na dewocji przy ich klasztorze. Rodzice mojej narzeczonej widząc mnie gołym, zerwali ze mną i powiedzieli: — Wybaczej, panie chorąży, ale sam widzisz jak się rzeczy mają: nie masz gdzie naszej córki zawieść, a my dziecka na włóczęgę puścić nie możemy. — Udałem się do OO. Jezuitów, błagałem księdza Rokitę, żeby choć cząsteczkę majątku mnie oddali, przekładałem że sama ludzkość tego po nich wymagała. Ksiądz Rokita odpowiedział mi z łagodnym uśmiechem: że majątek bywa częstokroć dla świeckich narzędziem grzechu, u duchownych zaś na chwałę tylko boską obrocony; że jako dobry katolik powinienem wolę matki szanować, ciesząc się owszem, że jej dostatki będą teraz obrócone odtąd na ćwiczenie młodzieży w bogoboju i nawracanie pogan. Że duchowni, którym dar ten powierzony, z boleścią serca nie mogą zrobić najmniejszego udziału, albowiem alienując fundusz kościelny, podpadliby exkomunji; ale w mojej mocy, jeśli mam ku temu powołanie, korzystać z tego majątku, wstępując do Towarzystwa Jezusowego; że nakoniec cokolwiek postanowię z sobą uczynić, oni nie przestaną modlić się za synem ich dobrodziejki. To wyrzekłszy i uniżenie mi się skłoniwszy, prosił, abym wybaczył, iż nie może ze mną dłużej bawić, bo spieszy do konfesjonału. Wyszędłem z klasztoru w największej złości i palając zemstą, udałem się do dóbr niegdyś mojej matki, zebrałem tam kilku sług nieboszczyka ojca, oddalonych za namową Jezuitów, i łatwo ich podburzywszy, przygotowałem do mego zamiaru. Uzbrowieni wpadliśmy w nocy do klasztoru orszańskiego: własną ręką zamordowałem księdza Rokitę, a dwóch innych jezuitów, co bywali w naszym domu, moi towarzysze zakuli, mając do nich jakiś żal. Resztę powiązaliśmy i cały klasztor zrabowawszy, podzieliśmy się znaczną gotowizną.

Potem rozeszliśmy się, każdy w inną stronę szukać schronienia. Już mi nie było czego siedzieć w Polsce: jezuici wtenczas byli mocniejsi jeszcze niż teraz; nie mogąc nie ściągnąć na siebie podejrzania, wcześniej czy później nie ominęłaby mnie kara przeznaczona na świętokradców i zbójców. Kryłem się jakiś czas po przychylnych domach. Gdy właśnie Sicz zaporozka przeniosła się była niedaleko granic Rzeczypospolitej: tam się udałem, aby przynajmniej żyć blisko tej ojczyzny, w której nie mogłem już mieszkać bezpiecznie. Nabyłem tu zasług i znaczenia: już przeszło lat czterdzieści jak piastuję urząd pisarza, a Bóg mi świadkiem, iż żadnej okoliczności nie omieszkalem, aby być użytecznym ojczyźnie i rodakom. Żadna zgryzota mojego sumienia nie dręczy, chociaż mój postępek z księdzem Rokitą był okrutny; ale gdzie prawodawstwo obywatela nie zaślania od łupieżstwa, samemu sobie sprawiedliwość godzi się robić. Zresztą zestarzałem się na Siczy, jej obyczaje przyjąłem i do nich nawykłem. Między kozakami, zwłaszcza prostymi, są wielkie cnoty i zapalona ich miłość do swobody nie może nie ująć szlachcica polskiego. Starszyzna jest popsuta, a Moskwa niczego nie zaniedbuje, aby do ostatka ją znikczemnić. Pokochałem szczerze nasze ustawy i to mnie tylko teraz udręcza, że przewiduję, iż Moskwa nas pochłonie, chociaż ja stary tego się nie doczekam. Wiercie mnie, panowie bracia, że do naszej Rzeczypospolitej polskiej jestem przywiązany nie tylko jako jej ziemianin, ale jako pełen przekonania: że skoro ona upadnie, żaden naród wolności nie zachowa.

Pożegnałem się czule z panem pisarzem siczowym i przy łasce Pana Boga wróciłem szczęśliwie do Konfederacji, z czem mnie do niej odprawiono. Przez całą prawie drogę rozmyślałem nad postępkami pana Wołka. Zaporozkie to sumienie: najść na klasztor, zrabować go, porząnąć zakonników i jeszcze nie mieć nic sobie do wyrzucenia! Prawda, że oni nie lada mu się przysłużyli. Korzystać z pobożności matki, by dziecko wydziedziczyć, bez przyczyn w statucie litewskim objętych, tylko dla tego, że ojciec był kalwinem! Ale też imać się świętokradztwa i morderstwa, to jeszcze gorzej! Tylko co nam wchodzić w cudze sumienie? Niech każdy się rachuje z panem Bogiem jak może, a Bóg każdego sprawiedliwie osądzi, tak pana Wołka, jako i księdza Rokitę. Dość, że pan Wołek był zawsze dobrym Polakiem, popierał naszą sprawę ile mógł, i nam był rad w swoim domu z całego serca; a jeśli źle zrobił, to i Bolesław Śmiały i Kazimierz wielki czyliż nie zrobili podobnie? Ten utopił księdza Baryczkę, co go mają za świętego w województwie sandomierskiem; tamten zamordował św. Stanisława biskupa, który jest świętym dla całego świata: przecie gdy obydwa ci królowie pokutowali, jeden z własnej ochoty, drugi pomimo-wolnie, pewien wielki teolog, mój znajomy mniemał, że i oni

sami są świętymi, na co się chętnie zgadzam. Więc i pan pisarz siczowy mógł swój postępek oplakać i jak się należy umrzeć. A że to dawno już tak lub owa nastąpiło, może tedy i on jest teraz świętym i już u Pana Boga prosi za tę ojczyznę, którą w życiu tak mocno miłował, czego ja mu również z całej duszy życzę.

XIV.

PAN LESZCZYC.

Chociażby mnie zrzęda i dziwakiem za to nazwano, wszelako wypowiadam się z przekonania mojego, że już dziś nigdzie nie masz praw między ludźmi. Są rozkazy, urzędzenia, ustawy, często mądre i zbawienne: ale nie ma prawa. Bo żeby prawo było prawem, trzeba mu czegoś więcej, niż to, że jest mądrym i zbawiennem: trzeba aby miało u podległych sobie miłość i wiarę, trzeba żeby do wykonania onego, kiedy niesmaczne, nie kruki, ani żołdacy zmuszały, ale przekonanie wewnętrzne i sumienie ciągnęło. Ztąd mi się widzi, że prawodawca nie tyle mądrym, ile świętobliwym być powinien, bo prawdziwe prawo nie jest rzeczą jedynie ludzką i bez jakiegoś boskiego natchnienia obejść się nie może. Władza prawodawcza nie była dawniej jak dziś urzędem lub rzemiosłem, ale powołaniem; prawnictwo nie było nauką, ale obyczajem. Myśmy nie znali takich, jak teraz widziałem w Wilnie, profesorów, co za roczne pensje, opał i kwaterę, uczą prawa krajowego i tłumaczą je. Naszymi nauczycielami były: doświadczenie, obcowanie z ludźmi doświadczonymi, chodzenie około spraw, przypatrywanie się sądom, przysłuchiwanie się rozmowom dotyczącym się związków i interesów familijnych, a nakoniec gospodarstwo i życie domowe. Bez tego wszystkiego niech tam kto i dziesięć lat w Wilnie siedzi pod profesorem, niech wszystkich praw na pamięć ponaucza się, dla tego prawnikiem nie będzie. Bo żeby być prawnikiem, rozumie się gdzie jest prawo, trzeba być obywatelem. Jskóż u nas prawie każdy obywatel był prawnikiem i kiedy bywało zapiszą się na kompromis, nawet na jakiego magnata, ten chociaż pewnie w palestrze nie był, nikogo jednak nie prosił, by mu dekret napisał. A kto był prawdziwym obywatelem, ten nie kończył na tem, że miał dobra, ale miał wiarę, nałogi, tryb

życia, myśli obywatelskie, i dla tego był prawnikiem, a w razie potrzeby i prawodawcą: bo takiemu Pan Bog instynktu nie odmawiał. To też kiedy człowiek w ręce weźmie statut litewski, albo dawne konstytucje koronne, czyta je jakby jakie modlitwy: taką pobożność, taki duch boży w nich widać. Sprawdzają się obietnica naszego Zbawiciela: «Gdzie kilku was zbierze się w moim imieniu, będę z wami.» A że nasi prawodawcy, dawni królowie i panowie rady, zawsze się w imię Zbawiciela zbierali, dla tegoż ich prawa były częścią religji naszej: bo i one od Boga pochodziły. Czy mogą się tem pochwalić ościenne ustawy? — Czytałem z uwagą najdoskonalszy ze statutów tegoczesnych, kodeks Napoleona. Jest to rzecz bardzo mądra, bardzo pożyteczna; wszystko tam objęte, wszystko przewidziane; ale ci, co to pisali, w imię mądrości, w imię konieczności, a nie w imię Boga się zbierali. I dla tego do wykonania tych ustaw potrzeba mnóstwa urzędników, a siepaczów, a wart, a więzień, a szpiegów, a kosztu, że ledwo nie możnaby było drugie tyle wojska utrzymać za to na obronę kraju. Bo każdy wie, że ten kodeks jest tylko rzeczą ludzką, a każdy człowiek sobie samemu przynajmniej tyle rozumu i światła przyznaje, ile innym ludziom; dla tego siły potrzeba: więc już nie prawo, ale siła rządzi, i to tak wszędzie. — W jednej Polsce było inaczej.

W Nowogrodku gród miał tylko dwóch pacholków do zamiatania izby sądowej: oni składali całą siłę jurysdykcji, a przecie ludzie możni z rozkazu sądu grodzkiego wieże odsiadawali; bo jak ksiądz kiedy u spowiedzi pokutę naznaczy, warty grzesznikowi nie dodaje! tak i gród dekret tylko ogłaszał, a strona sama go spełniała. Przyjeżdżał osądzony do grodu, przed nim oświadczył gotowość, potem szedł na wieżę i tam naznaczone niedziele wysiedziawszy, przed tymże grodem manifest zanosił, że swoje odbył, i powracał do domu z sumieniem czystem; albowiem kto prawu zadość uczynił, nie miał nic sobie do wyrzucenia względem ojczyzny, szacunek publiczny mu się wracał i mógł spać spokojnie. Wielkie było zamilowanie obywateli dla swoich praw u nas. A nie słuchać prawa, to była taka hańba, że kiedy na kim publikatę albo dekret nakazujący wieżę ogłoszono, a on się odciągał, to oczu nie śmiał podnieść między ludźmi. Złąd kiedy szlachcic został bardzo skrzywdzony, obity na przykład, nie rwał się do korda jakby za łada przymówkę, ale udawał się do prawa; a grzywny, które w nawiazce swojej krzywdy na napastniku zyskał, hańby mu nie robiły: bo dopełnienie woli prawa owszem sławę przynosiło. Gdy JW. Kalinowski, starosta grodowy winnicki, skrzywdzony został na publicznym gościńcu przez pana Potockiego, starostę kaniowskiego, który go kazał wyciągnąć z pojazdu i obatożyć (jak mnie o tem mówił w. Szczeniowski, starosta trechtymirowski, w czasie Konfederacji jesszcze); to pan Kalinowski, chociaż był możny i przy-

tem do korda tęgi, nie wyzwał na rękę pana kaniowskiego, jakby gardząc prawem pospolitem, albo jak gdyby u nas zwierzchności nie było; ale drogą prawa szukał sprawiedliwości i znalazł ją, bo pana kaniowskiego na dwunastoniedzielną więzę osadził, a tak wielki basarunek na nim zyskał, że nie potrzebując się z niego bogacić, ale obracając na chwałę Pana Boga, wymurował piękny kościół z obszernym i pięknym klasztorem, w którym dotąd OO. Kapucyni mieszkają. Jak kiedy człowiek, że nie jest aniołem, przeciw Panu Bogu zgrzeszy: spowiada się, pokutę odbędzie i tem powstaje; tak obywatel, kiedy przeciw prawu wykroczył, w temże samem prawie znachodził środki do powstania: pokutę prawną znosząc. Najwięksi panowie w więzy siedzieli, kiedy który z nich nabroili, chociaż za łeb nikt go nie ciągnął. I nie tylko on odsiedział, ale i gorsze rzeczy: bo kiedy kto prawnie był osadzony na gardło, a był tchórzliwego serca, to własna familja jego sama się przyczyniała, aby dekret nie został bez wykonania. Obywatel ścięty z woli prawa, familji swojej nie skaził; dekret zaś niespełniony jakby wisiał nad nią. Panu Samuelowi Zborowskiemu głowę zdjęto w Krakowie za zniewagę majestatu królewskiego; a dla tego panowie Zborowscy najpierwsze urzęda piastowali, i z tego powodu żaden z nich na sławie nie cierpiał. Byli prawda niektórzy bracia Samuela skazani później na banicję; ale sami nie mało złego nabroili, powatając na zwierzchność własną, a szukając opieki u zagranicznego rządu. Wszakże jeden z nich, pan Jan, kasztelan gnieźnieński, brat rodzony pana Samuela, gdy był stateczny obywatel i wielki senator, umarł w wieku sędziwym pełen sławy i szacunku publicznego, i nikt jemu nie wymawiał, że miał braci lotrów.

Czasem sam winowajca podawał dobrowolnie głowę pod miecz, wołąc umrzeć obywatelem, niż ochraniać nędzny żywot, który i tak wiecznie trwać nie będzie, i żyć w niesławie. W czasie Konfederacji barskiej, pan Baworowski, podstarosta trębowelski, jeden z konsyljarzy tej konfederacji, mąż ojczyźnie zasłużony, który z nami do ostatka bronił Częstochowy, gdzie z blizka miałem zaszczyt go poznać, razu jednego na obiedzie u pana Puławskiego, starosty wareckiego, gdzie i ja na szarym końcu siedziałem (a zajadaliśmy pieczeń końską, bo nie była pora wymyślać), opowiadał nam, że jego ojciec będąc także podstarostą trębowelskim, musiał ferować dekret śmierci na obywatela majtnego, jakiegoś pana Leszczyca, z którym kiedyś był w szkołach i nawet żył w przyjaźni. Ten pan Leszczyca zakochał się był w rodzonej swej siostrzenicy i chciał się z nią łączyć; jakoż i ona nie była od tego. Wiadomo, że namiestnicy Chrystusa Pana zastrzegli, aby krewni nawet do czwartego stopnia nie wiązali się do małżeństwa, czego dotąd kościół wschodni przestrzega, ale nie wiem jak dalej będzie; bo że nie mają

papieża, któryby w przypadku wielkiej potrzeby im to prawo zwolnił, sami po zwierzęcu chęć będą się rozgrzeszać a. którym wypadnie z krewnymi się żenić. U nas przez długi czas sami monarchowie od krewnych unikać musieli; bo za taką kazirodztwa papież ich wyklinali, chcąc aby oni dawali z sobą przykład posłuszeństwa prawu kościelnemu, a nie gorszyli poddanych. Ale potem jak wymyślono, słusznie czy niesłusznie, że monarcha nie może mieć żony innej, tylko córkę jakiegoś także monarchy, i zaczęto mniej się gorszyć, gdy który z nich żył z poddanką po byłęcemu, niż gdyby ją wziął za żonę po bożemu. Więc ponieważ monarchów na palcach łatwo policzyć, wkrótce nie sposób było znaleźć królewicowi królowny, coby z nim jakiegoś pokrewieństwa nie miała, zwłaszcza że oprócz nas i Węgrzynów, wszędzie nie wybieralni, ale spadkowi królowie panowali. Udawano się zatem do papieżów, aby temu poradzić, bo taki królowi spadkowemu potrzeba żony; a że *cuius est condere, ejus est tollere*, więc papież na szczególne wypadki dawali dyspensy, a królowie tak się między sobą zaczęli wiązać, że królewska żona nie raz, ani dwa, ale kilkadziesiąt razy jest krewną mężowską, aż nakoniec zwiodły się rody królewskie. Zamiast tych rośliwych, pięknych i walecznych monarchów, których obraży widujęm, i o których tyle wielkich rzeczy czytamy, powyradzały się jakieś nikle, chorowite, bojaźliwe, do szwerców podobniejsze niż do królów licha, że już ludy zaczynają się sromać swojego posłuszeństwa, i jeden naród po drugim pozbywa się naprzykrzonych a paskudnych tych rodów; a na czem to wszystko się skończy, tego nie wiemy, jeno co nam do tego, niech każdy o sobie myśli. Dość, że za granicą i magnaci zaczęli iść za przykładem królów i między sobą się wiązać, a papieżom naprzykrzać się o dyspensy, dla tego oni i ród swój zwiedli, choć nie tyle. Jeżeli się na ciele jeszcze całkowicie utrzymują, może dla tego, że ich matkom łatwiej było na to poradzić, niż królewskim żonom; na umyśle już całkiem upadli. Za granicą już tylko mieszczuchy książki piszą i uczą naród rozumu: oni po sądach mecenasują, ba! nawet prawa stanowią, i naród im wierzy, bo mają rozum, a szlachta poszła w poniewierkę, jako dumna samem głupstwem. To kiedy do nas napłynęło szlachty francuskiej, co tu uciekała w czasie koliszczyzny tamecznej, że cudze zawsze się podoba, panowie i panie chwytali tych zbiegów, jako nauczycieli mądrości. Wielu z nich widziałem, a żadnego nie znalazł takiego, coby umiał po łacinie. Z przeproszeniem panów naszych, nie znalazłem, że to byli głupcy, i nie dziwiłem się, że ich przedzono: bo rządzący powinien mieć więcej światła niż rząd. A kiedy go ma mniej, niech ustąpi, jeśli nie chce czegoś gorszego się doczekać. U nas magnaci nie składali stanu oddzielnego; byli szlachtą, byli narodem, na przestronnem polu

obierali żon dla synów; dla tego też wysoki rozum ich się brzymał. A który magnat francuzki czy niemiecki prawo napisał, lub narzeczcie książkę porządną ułożył? Niech go pokazaż. Z korzennych i z bławatnych sklepów wychodzą tam prawodawcy, statyści, rymotwórcy, dziejopisarze. Nie tak jak u nas: Sławy Sapiehy, Piotry Herbuty, Maksymiljanowie Fredry, Wacławy Rzewuscy, Ignacowie Krasiccy, Ignacowie Potoccy, Taddeusze Czaccy, co wszyscy byli jaśnie wielmożni i siedzieli na urzędach swych przodków.

I u nas zdarzało się, że magnat żenił się z krewną; z tego bywała nawet pocięcha dla kraju, bo nulla regula sine exceptione; wtedy tylko źle, kiedy to się zagęszcza, jak za granicami. Ale u nas chwala Panu Bogu nie łatwo było o dyspensę nawet magnatowi, a szlachcicowi tak trudno, że i myśli podobnej do głowy nie przypuścił.

Pan Leszczycy będąc bardzo zakochany, wyrabiał się jak mógł w nuncjaturze i nie mało kosztu poniósł, a tak i dyspensy nie wskórał. Bo trzeba było dowieść, że się dom na pannie kończy, że z domu majątek wyjdzie, i inne jakieś przyczyny kanoniczne położyć. A że się jeszcze nie nauczone konsystorzom podawać fałszywych inkwizycji na krzywoprzysięstwo opartych, pan Leszczycy musiał z kwitkiem powrócić. Ale że już zabrnął w namignotność, przywabił synowicę do swojego domu i sam siebie dyspensując, zaczął z nią mieszkać po bydłocomu, z wielkiem zgorzzeniem całej ziemi trębowelskiej. Krewni zrazu perswadowali, aby się opamiętał; potem gdy na wszystko był głuchym, o takowe porubstwo zapozwali go do urzędu i sprawa się wytoczyła przed grodem, w którym pan Baworowski podstarostował. Po odhytych inkwizycjach, po wysłuchaniu świadków, po roztrząśnieniu dowodów i odwodów, zbrodnia okazała się tak jasno, że nie było sposobu mitygować ostrości prawa. Pan Baworowski osądził pana Leszczycza na gardło. Ale po ogłoszeniu dekretu pan Leszczycy umknął, jak się potem okazało, na Węgry, i śladu po sobie nie zostawił. Grod swoje zrobiwszy i zadość uczyniwszy sumieniowi, nie troszczył się o pana Leszczycza, gdzie się on obraca. Lat wiele minęło, nikt o tem już nie gadał, i co tam kogo mogło ochodzić, że dekret leży niewyegzekwowany w grodzie, kiedy winowajca może już i tak umarł? Dość, że majątek pana Leszczycza spadkobiercy wzięli, a pan podstarosta synowi kiedyś o tem wspomniął z dyskursu, o o rzeczy dawnej. Umarł pan podstarosta, umarł jego następca, a pan Baworowski, co u nas był konsyljarzem, otrzymany urząd, piastowany niegdyś przez ojca. Wkrótce potem pojawił się człowiek w wieku podeszłym i stawi się przed nim, przyznając się, iż jest tym samym Leszczycem, którego ojciec jego na śmierć dekretował; że nigdy mól serca gryźć mu nie przestał, za to iż wzgardził prawem ojczystem i od jego spełnie-

nia się uchylił; że nie mogąc dłużej znieść wewnętrznych udręceń, przychodzi poddać się wyrokowi, i tylko prosi, aby o jego duszy nie zapomniano. Jakoż najprzykładniej pokilkakrotnie, bo nikt jego do śmierci nie naglił, spowiadał się, ciało i krew Pańską przyjął i cały tydzień jedynie z Bogiem obcował za pośrednictwem kapłana, a to w dworku otwartym i bez straży, z którego mógł wyjść, gdzieby mu się podobało. Potem przeszedł do grodu, oświadczając swoją gotowość, i nazajutrz w asystencji księdza poszedł na rynek, na którym kat go czekał. Tam wzięwszy ostatnie błogosławieństwo od księdza przemówił do narodu, zalecając mu bojaźń Boga i posłuszeństwo prawu, a tak czule, że to był sądny dzień, tyle po całej Tręb narobił płaczu. Nakoniec ukląkł i wprzódy kata przez prawą rękę pocałowawszy, prosił go, aby podczas, gdy się biał modlił, rzecz swoją zrobił. Jakoż wymawiał imię Jezusa, i Józefa, kiedy mu głowa na ziemię upadła.







3 6105 010 629 546

FG 113
B5
v. 5

DATE DUE

APR 18 1983



STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
STANFORD, CALIFORNIA

04305

